

Conan: Droga do tronu

Howard Robert



calibre 0.9.27

ROBERT E. HOWARD

CONAN

DROGA DO TRONU

(WYBÓR I POSŁOWIE: ANDRZEJ ZIEMBICKI)

SCAN-DAL

CZERWONE ĆWIEKI

(Przełożył: Stanisław Czaja)

Powróciwszy do królestw hyboryjskich, jał się znów Conan najemniczego rzemiosła, ale armia, w której służył, została zdradą rozbita w południowej Stygii. Przez sawanny czarnych królestw dotarł tedy Cymmeryjczyk do wybrzeża i przystąpił do piratów z Wysp Baracha. Raz jeszcze imię Amra - Lew, pod którym znany był Conan za czasów Belit, głośnym echem odbiło się w portach. Utraciwszy na koniec okręt, związał się barbarzyńca z Wolną Kompanią niejakiego Zaralla i w przygranicznym Sukhmecie, gdzie oddział ów stacjonował, począł się straszliwie nudzić...

1. CZEREP NA SKALE

Niewiasta zatrzymała strudzonego wierzchowca. Stał na rozkraczonych nogach, opuściwszy głowę, jakby giał ją ku ziemi ciężar zdobnych złotymi chwastami cugli z czerwonej skóry. Wyjęła stopę ze srebrnego strzemienia i zeskoczyła z szamerowanego złotem siodła. Przymocowawszy wodze do gałązki młodego drzewa, wsparła dłonie na biodrach i jęła rozglądać się wkoło.

Niegościnnie było otoczenie. Olbrzymie drzewa przeglądały się w małym stawie, z którego przed chwilą pił jej wierzchowiec, gęstwa krzów ograniczała pole widzenia, od góry zamknięte wyniosłym sklepieniem ze spletanych gałęzi. Kobieta wzruszyła kształtnymi ramionami i szpetna klątwa spłynęła z jej ust.

Była wysoka, o piersi pełnej, członkach krągłych, lecz krzepkich. Cała jej postać o niezwyklej zdawała się świadczyć sile, która wszelako nie odbierała jej przemożnego powabu kobiecości. Niewiastą była, bez względu na postawę swą i szatę. Ta bowiem, miast sukni, z krótkich a szerokich składała się spodni, które kończąc się na szerokość dłoni przed kolanami, w talii podtrzymywane były jedwabną szarfą noszoną w miejsce pasa. Jaskrawe buty z cienkiej skóry sięgały niemal kolan, a dopełniała stroju jedwabna bluza o szerokim kołnierzu i obfitych rękawach. Jedno z kształtnych bioder obciążał prosty, obosieczny miecz, drugie - długi sztylet. Jej rozwiane złote włosy, równo przycięte na wysokości ramion, opasywała wstęga szkarłatnego atłasu.

Na tle posępnego, pierwotnego lasu malownicze i niezwykle sprawiała wrażenie. Łacniej wyobrazić by ją sobie można, jak wsparta o barwiony maszt patrzy na pierzaste obłoki i kołujące nad okrętem mewy. Kolor mórz wyzierał z jej ogromnych oczu. I tak być powinno, albowiem zwano ją Valerią z Czerwonego Bractwa, zaś czyny jej w pieśni sławiono i balladzie, gdziekolwiek zbierali się żeglarze.

Próbowała przeniknąć wzrokiem ponury zielony dach ze spletanych gałęzi i ujrzeć skryte za nim niebo, lecz w końcu dała za wygraną, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

Zostawiła za sobą spletanego konia i ruszyła na wschód, spozierając od czasu do czasu w kierunku stawu, by zapamiętać drogę. Przygnębiała ją panująca w lesie cisza. W wysokich gałęziach nie śpiewały ptaki, żaden szmer nie zdradzał obecności drobnej zwierzyny. Wiele mil przebyła w owej krainie wszechobecnego milczenia, zakłócanego tylko stukiem kopyt jej wierzchowca.

Pragnienie zaspokoiła przy stawie, ale teraz poczuła gwałtowny głód i jęła szukać tych owoców, którymi żywiła się, odkąd wyczerpała zapasy z toreb przytroczonych do siodła.

Dostrzegła przed sobą złomy ciemnego kamienia pnące się w górę ku czemuś, co wyglądało jak postrzępiona turnia wznosząca się wśród drzew. Jej szczyt ginął w chmurze listowia. Być może, pomyślała, wznosi się ponad wierzchołki drzew i można z niej będzie ujrzeć to, co leży dalej - jeśli w ogóle jest tam coś innego od owej puszczy bez granic, przez którą jechała tyle dni.

Wąziutki upłaz tworzył naturalną ścieżynę prowadzącą w górę stromego zbocza. Gdy pokonała jakieś pięćdziesiąt stóp, znalazła się na wysokości otaczającego skałę pasa listowia. Drzewa

wprawdzie rosły dość daleko, ale sięgały turni niektóre z ich gałęzi, tworząc wokół kamienia ów zielony welon. Brnęła przez gąszcz liści, nie widząc nic ni w dole, ni w górze, lecz nagle ujrzała w prześwicie błękitne niebo i wyszła w czysty, gorący blask słońca, i zobaczyła pod swymi stopami dach lasu.

Stała na szerokiej półce, prawie równej z wierzchołkami drzew, z której strzelała skalna iglica, będąca szczytem turni. Ale na jeszcze jedną rzecz zwróciła uwagę, jej stopa bowiem uderzyła o coś ukrytego w kobiercu martwych liści pokrywających półkę. Odgarnęła je, by ujrzeć szkielet ludzki. Doświadczonym okiem zmierzyła wyblakłe kości, nie dostrzegając złamań lub innych oznak przemocy. Człek ten zemrzeć musiał naturalną śmiercią, po co jednak wspinał się przedtem na wyniosłą skałę, wyobrazić sobie nie mogła. Wdrapała się na szczyt iglicy i omiotła wzrokiem otoczenie. Dach lasu - posadzką raczej będący z jej punktu widzenia - równie jak z ziemi był nieprzenikniony. Nie widziała nawet stawu, przy którym zostawiła wierzchowca. Spojrzała ku północy, w kierunku, z którego przybyła. I tu falował zielony ocean, dalej sięgający i dalej, aż ku wątlej linii błękitu, co w istocie pasmem była wzgórz, które przebyła wiele dni temu, by pogrążyć się w ten liściasty bezmiar.

Taki sam obraz na zachodzie ujrzała i wschodzie, choć brakowało wzgórz w tych kierunkach. Gdy wszelako wzrok zwróciła na południe, zeszywniała i dech zamarł jej w piersi. Oto bowiem w mili las poczynał rzednąć, ustępując miejsca usianej kaktusami równinie. A w głębi owej równiny wznosiły się mury i wieże grodu.

Zakłęta z wielkiego zdziwienia, rzecz bowiem do wiary nie była podobna. Nie zdziwiłyby jej innego rodzaju ludzkie sadyby - przypominające ule chaty czarnych, wyryte w skałach siedziby tajemniczej rasy brązowej, która, jak głosiły legendy, zamieszkiwała w części niezbadanych regionów. Ale niezwykłym było doświadczeniem znaleźć warowny gród o tyle tygodni marszu od najbliższych przyczółków jakiegokolwiek cywilizacji.

Czując zmęczenie w dłoniach dzierżących obłą iglicę, opuściła się na półkę skalną niezdecydowana, co dalej czynić. Z daleka przybyła - z obozu najemników obok granicznego miasta Sukhmet wśród trawiastych sawann, gdzie desperacy awanturnicy z mnogich krain strzegą stygijskich dominiów przed najezdami, które na kształt czerwonej fali napływają z Darfaru.

Ślepa była jej ucieczka w krainy, o których nie wiedziała nic. I teraz miotła się w rozterce między pragnieniem, by udać się wprost do miasta na równinie, a instynktowną obawą podpowiadającą, by dalekim obejść je łukiem i dalej podążać samotnym szlakiem.

Szelest liści w dole rozwiął jej myśli. Odwróciła się jak kot, chwytając za miecz, lecz nagle zastygła bez ruchu na widok stojącego przed nią męża.

Olbrzymem był niemal, a mięśnie piętrzyły się pod skórą, której słońce nadało barwę brązową. Podobnie był do niej odziany i tylko miast szarfy nosił szeroki skórzany pas. Miecz ogromny i puginał wisiały u pasa.

- Conan, Cymmeryjczyk! - wykrzyknęła kobieta. - Czego szukasz na moich śladach?

Grymas wykrzywił mu oblicze, a jego srogie błękitne oczy zapłonęły światłem, które pojęłaby każda kobieta, i jęły wędrować po wabnych kształtach, zatrzymując się na dłużej przy wypukłych piersiach, okrytych lekką szatą.

- Zali nie wiesz? - zaśmiał się. - Albow to nie okazywał ci uwielbienia od pierwszej chwili?

- Ogier by tego nie uczynił jaśniej - odparła ze wzgardą. - Alem się nie spodziewała spotkać cię tak daleko od baryłek i garnków Sukhmetu. Czyś po prawdzie szedł za mną z obozu Zaralla, czy cię za łotrostwa przepędzili?

- Dobrze wiesz, że nie ma Zarallo tylu zbirów, by mnie z obozu przegnać - skrzywił się. - Wiadoma rzecz, że za tobą podążał. I rzekę ci, że masz, dziewczko, szczęście. Kiedyś zadźgała tego stygijskiego oficera, utraciłaś łaskę i opiekę Zaralla, a od zemsty Stygijczyków banicją musiałaś się ratować.

- Wiem ja to - odparła ponuro - ale com miała uczynić? Pojmujesz, dlaczego to zrobiłam.

- Ano - zgodził się. - Gdybym tam był, to sam bym go wypatroszył. Atoli jeśli niewiasta w obozach, wśród zbrojnych mężów żyć pragnie, rzeczy takich winna się spodziewać.

Valeria tupnęła nogą i zakląła.

- Czemuż nie pozwolą mi żyć jak oni?

- To oczywiste! - Znów omiółł ją chciwym spojrzeniem. - Aleś mądrze uczyniła czmyhając. Stygijczycy pasy by z ciebie darli. Brat owego oficera podążał twym śladem, szybciej, mniemam, niżbyś się spodziewała. Tuż był za tobą, kiedym go dopadł. Konia miał lepszego. Kilka jeszcze mil, a gardło by ci poderznął.

- No i ... - spytała wyczekująco.

- No i co? - odrzekł zaskoczony.

- No i co z tym Stygijczykiem?

- A jak przypuszczasz? - burknął niecierpliwie. - Jasna rzecz, że go ubił, ścierwo zostawiając sępom. To mnie zadzierżyło i małom śladu twego nie stracił, gdyś przekraczała skaliste partie wzgórz. W innym razie dawno bym cię dogonił.

- I pewnie myślisz wlec mnie na powrót do obozu Zaralla? - warknęła.

- Głupot nie powiadaj - zaprzeczył. - Pójdź, dziewczyno, nie bądź taką jędzą. Innym jest od owego Stygijczyka, którego zakłułaś, i ty to wiesz.

- Golec i włóczykij - zakpiła.

Roześmiał się jej w twarz.

- A ty za kogo się masz? Nawet na nowe łaty do portek cię nie stać. Nie omami mnie twa wzdarda. Dobrze wiesz, że większymi okrętami dowodził i cięższe watahy do boju puszczał, niż tobie się zdarzało. A co do tego, że golec - któryż z korsarzy nie jest nim przez większą część życia? Galeon nie pomieściłby złota, którym we wszystkich portach świata roztrwonił. I to też wiedzieć powinnaś.

- Gdzie tedy owe okręty wspaniałe i owi chłopcy mężni, którymiś dowodził?

- Przeważnie w głębinach - odparł beztrąsko. - Ostatni mój korab zatopili Zingaranie u wybrzeży Kush - oto dlaczego się przyłączył do Wolnej Kompanii Zaralla. Ale kiedyśmy przemaszerowali do granicy z Darfarem, pojąłem, że się oszukał. Żołd lichy, wino kwaśne i nie lubię czarnych wieści. A tylko takie zjawiały się w obozie obok Sukhmetu - kółka w nosach, zęby spiłowane, ba! A tyś dlaczego przyłączyła się do Zaralla? Daleko od słonych wód leży Sukhmet.

- Czerwony Ortho kochanicę swą chciał ze mnie uczynić - odrzekła ponuro - wtedy pewnej nocy, gdy kotwiczyliśmy u wybrzeży kushyckich, skoczyła za burtę i popłynęła do lądu. Obok Zabheli to było. Tam shemicki kupiec rzekł mi, że przywiódł Zarallo swą Wolną Kompanię na południe, by strzec granicy z Darfarem. Nic lepszego na widoku nie miałam, więc się przyłączyła do zmierzającej na wschód karawany i w końcu dotarłam do Sukhmetu.

- Czystym było szaleństwem tak gnać ku południowi, jakżeś uczyniła - stwierdził Conan - a zarazem rzeczą niegłupią, bo patrolom Zaralla nie mogło przyjść do głowy, by w tej cię szukać stronie. Jeny brat człeka, któregoś skłóła, trafił na twój ślad.

- A cóż ty czynić zamierzasz? - spytała władczo.

- Skręcić na zachód - odrzekł. - Nigdy nie był tak daleko na wschodzie, jak na południu. Wiele dni drogi stąd ku zachodowi leżą otwarte sawanny, gdzie czarne ludy wypasają bydło. Mam wśród nich przyjaciół. Dotrzemy do wybrzeża i statek jakiś znajdziemy. Po uszy mam dzungli!

- Tedy bywaj - odrzekła. - Ja inne mam plany.

- Głupia! - Po raz pierwszy przemówił z gniewem. - Daleko sama przez ten las nie ujdiesz.

- Ujdę, jeśli zechcę.

- Co zatem zrobisz?

- Nie twoja sprawa - parsknęła.

- Moja, moja - odrzekł cicho. - Zali myślisz, że po tym tak daleko za tobą podążał, by teraz zawrócić i z kwitkiem odjechać? Bądź rozumna, dziewczyno, uczynić ci krzywdy nie mam zamiaru.

Postąpił ku niej, a ona odskoczyła do tyłu, dobywając miecza.

- Precz, psie barbarzyński, boć rozplątam jak pieczone prosię!

Zatrzymał się niechętnie i zapytał:

- Chcesz, bym ci zabawkę tę zabrał, a potem nią wyplazował?

- Słowa! Nic jeno słowa! - zakpiła, a światła jak błysk słońca na błękitnej wodzie zatańczyły w jej oczach.

Wiedział, że to prawda. Nie narodził się taki, co by Valerię z Czerwonego Bractwa mógł rozbroić gołymi rękoma. Warknął, czując kotłujący w duszy kłęb sprzecznych uczuć. Zły był, a przecie zdziwiony i pełen uznania dla jej rezolucji. Płonął chęcią, by to ciało cudowne w żelaznym zmiążyć uścisku, a przecie wolał dziewczyny nie krzywdzić. Rozdarty był między pragnieniem, by krzepko nią potrząsnąć, a pragnieniem, by czule pieścić. Wiedział, że jeśli na krok jeszcze się zbliży, miecz pograży się w jego sercu. Po wielokroć widział Valerię ubijającą mężów w granicznych potyczkach i karczemnych burdach, i złudzeń nie żywił. Szybka była i drapieżna jak tygrysica. Mógł dobyć swego olbrzymiego miecza i oręż wytrącić jej z dłoni, ale wstrętna mu była myśl, aby ostrze, nawet bez zamiaru uczynienia krzywdy, kierować przeciw niewieście.

- Niech demony porwą twą duszę, kocico - oznajmił rozdrażniony. - Zabiorę twój...

Ruszył ku niej, bo namiętność uczyniła go bezrozumnym, a ona zamierzyła się do śmiertelnego pchnięcia. I nagle drgnęli oboje, a Conan, w którego dłoni błysnął wielki miecz, zwinął się w miejscu jak kot. Gdzieś w lesie buchnęły jęki i kwiki przerażające, przemieszane z trzaskiem pękających kości.

- Lwy mordują konie! - wrzasnęła Valeria.

- Lwy? Bzdura! - parsknął Conan i zabłysły mu oczy. - Czyś słyszała ryk lwa? Anim ja nie słyszał. Uważ, jak kości trzeszczą - nawet lew nie narobiłby tyle hałasu ubijając konia.

Pobiegł w dół po skalistym występie, a ona poszła w jego ślady, pamięć bowiem o waśni musiała ustąpić miejsca odwiecznej zasadzie awanturników, by się zjednoczyć przeciw wspólnemu niebezpieczeństwu. Jęki ucichły, gdy przebijali się przez zielony welon okrywających skałę liści.

- Znalazłem twego konia spętanego u stawu - wymamrotał stąpając tak bezszelestnie, że przestała się dziwić, iż zaskoczył ją na skale. - Swego przywiązałem obok i śladem twym poszedłem. Uwważaj teraz!

Wychynęli z pasa liści i ujrzeli dolne partie lasu, nad którymi zielona płatanina gałęzi rozsnuwała swój mroczny baldachim. Przenikające przezeń smużki słonecznego blasku rozpraszały się tu w wątlą jaspisową poświatę. Gigantyczne pnie drzew, nie bardziej oddalonych niż o sto kroków, widmowe były i ledwie widoczne.

- Konie za tą tam gęstwiną być powinny - wyszeptał Conan. - Słuchaj!

Lecz Valeria już usłyszała i mróz przeniknął do jej żył; odruchowo wsparła swą białą dłoń na brązowym, muskularnym ramieniu kompana. Zza drzew dobiegał suchy trzask miażdżonych kości, dźwięk rozdzieranego mięsa i cała gama zgrzytów, mlaskań i pochrząkiwań towarzyszących

potwornej uczcie.

- Nie lwy czynią ten hałas - szepnął Conan. - Coś zje nasze konie, ale to nie lwy. Na Croma...

Dźwięki umilkły nagle i Conan cicho zaklął. Zerwał się wietrzyk, wiejący z ich strony ku miejscu, gdzie skrywał się niewidoczny drapieznik.

- Nadchodzi! - mruknął Conan, wznosząc swój miecz.

Gęstwina gwałtownie zafalowała, a Valeria mocniej ścisnęła ramię Conana. Choć nieświadoma wiedzy dżungli, wiedziała przecie, że mało jest zwierząt zdolnych podobnie rozkołysać wysoki las.

- Wielki być musi jak słoń - wymamrotał Conan, wtórując jakby jej myślom. - Jakież diabelstwo...
- jego głos zamarł gwałtownie.

Z gąszczu łeb wyrzwał, rzekłbyś, ze snu koszmarnego. Rozwarta paszcza ukazywała rząd ociekających poźółkłych kłów; nad monstrualnymi szczękami grymasem obrzydłym marszczył się jaszczurczy pysk. Olbrzymie ślepią, niczym tysiącrotnie powiększone oczy pytona, patrzyły nieruchomo na sparaliżowanych ludzi, którzy przylgnęli do skały. Krew plamiła obwisłe łuskowate wargi i kapała z ogromnej mordy.

Łeb, znacznie większy niż łeb największego krokodyła, tkwił na długiej pancерnej szyi, z której sterczały rzędy żłobkowanych kolców, a dalej, miażdżąc krzewy i drzewka, wyłoniło się ciało tytaniczne, olbrzymi baryłkowaty korpus na przedziwnie krótkich nogach. Białawy brzuch szorował niemal po ziemi, gdy kolczasty grzbiet wyżej się wznosił, niżby mógł sięgnąć Conan stanąwszy na czubkach palców. Długi, zakończony ogromnym kolcem ogon, ogon niewiarygodnie wielkiego skorpiona, włókł się daleko z tyłu.

- Z powrotem na skałę, szybko! - rzucił Conan, popychając dziewczynę. - Nie myślę, żeby mógł się wspiąć, ale sięgnie nas, jeśli stanie na zadnich łapach...

Miażdżąc i gnąc krzaki i pomniejsze drzewa, potwór sunął przez gęstwę, a oni mknęli ku szczytowi skały, jak liście niesione wichrem. Nim pogrążyła się Valeria w zielony gąszcz listowia, zerknęła za siebie i ujrzała, że przerażający olbrzym stoi na tylnych słupowatych nogach, dokładnie tak, jak przepowiadał Conan. Panika wkradła się w jej serce. Stojąc pionowo, ogromniejsza zdawała się być bestia niż przedtem, a jaszczurczy pysk sięgał koron drzew.

I wtedy żelazna dłoń Conana zawarła się na jej przegubie i siła straszliwa wciągnęła ją w zieloną płataninę, a potem w gorący blask słońca na mgnienie przed tym, jak przednie łapy potwora opadły na skałę, która zadrzała i jęknęła, zda się, pod olbrzymim ciężarem.

Tuż za uciekinierami wychynął z gałęzi ogromny łeb i przez mrozącą krew w żyłach chwilę patrzyli na obramowany zielenią okropny pysk o rozwartych szczękach i płonących ślepiach. A potem gigantyczne kły trzasnęły w powietrzu i łeb zniknął, jakby pogrążył się w jeziorze. Zerkając przez połamane gałęzie zobaczyli, że potwór siedzi na zadnich łapach u stóp skały i nieruchomo spogląda w górę.

Valeria zadrżała.

- Jak długo pozostanie?

Conan kopnął czaszkę spoczywającą wśród liści.

- Ten biedak wspiąć się tu musiał, umykając przed nim lubo jego krewniakiem. I szczył z głodu. Kości całe. To bydlę smokiem jest niechybnie, o którym czarni gadają w legendach. Jeśli tak, nie poniecha nas, pókiśmy żywi.

Valeria spojrzała nań nieprzytomnie, zapominając o dawnej niechęci. Próbowwała pokonać panikę. Po tysiackroć dowiodła swej szalonej odwagi w bitwach na morzu i lądzie, na śliskich od krwi pokładach wojennych galer, na murach szturmowanych miast, na zdeptanych piaszczystych plażach, gdzie desperaci z Czerwonego Bractwa kąpali noże w krwi towarzyszy, walcząc o przywództwo.

Ale wizja tego, co ją czeka, ścinała krew. Cios szabli w ogniu bitwy był niczym; ale siedzieć beczynn timer bezradnie na nagiej skale, czekając głodowej śmierci, obłączona przez potworny relikw dawniejszych epok - ta myśl słała przez jej duszę fale panicznego lęku.

- Oddalać czasem się musi, by zreć i pić - powiedziała bezradnie.

- Blisko ma do jednego i drugiego - odrzekł Conan. - Spasł się teraz końskim mięsem i jak prawdziwy wąż długo wytrzyma bez strawy i wody. Choć nie śpi po żarciu jak węże. Tak czy owak, na skałę nie wlezie.

Conan mówił obojętnie. Był barbarzyńcą i przerażająca cierpliwość puszczy i jej mieszkańców stała się cechą jego natury w równym stopniu jak żądze i niepohamowany gniew. I w największych tarapatach zachowywał chłód, na jaki nie zdobyłby się człek cywilizowany.

- Zali nie moglibyśmy wdrapać się na drzewa i umknąć, przeskakując jak małpy z gałęzi na gałąź?
- spytała z rozpaczą.

- Myślałem o tym. Zbyt cienkie są gałęzie tykające skały. Złamią się pod nami. A poza tym coś mi się zdaje, że to bydlę mogłoby każde w okolicy drzewo wyrwać z korzeniami.

- Tedy mamy tu siedzieć na zadkach i czekać, aż z głodu zdechniemy? - wrzasnęła z furją, kopiąc czaszkę, która ze stukiem potoczyła się po skale. - Nie chcę! Zejdę na dół i zetnę mu łeb piekielny!

Conan siadł na kamiennym występie u stóp iglicy. Z błyskiem zachwytu patrzył na jej płonące oczy i sprężystą rozdygotaną postać, ale świadom, że jest zdolna w tej chwili na każde się porwać szaleństwo, nie pozwolił, by zachwyw ów zadźwięczał w jego głosie.

- Siadź - mruknął, ujmując ją za przegub i sadzając sobie na kolanie. Zbyt była zaskoczona, by stawić opór, gdy wyjął jej miecz z dłoni i na powrót wsunął do pochwy. - Siedz cicho i uspokój się. Stal jeno połamiesz na jego łuskach. Na jeden kęs mu starczysz lubo rozbije cię swym kolczastym ogonem jak jajo. Wybrniemy z tego jakoś, ale nie wtedy, gdy damy się pierwej zgryźć i połknąć.

Nic nie rzekła i nie uczyniła, by ramię jego zrzucił ze swej kibici. Strach ją dławił i było to nowe uczucie dla Valerii z Czerwonego Bractwa. Siedziała tedy na kolanie swego towarzysza z potulnością, co wielce zaskoczyłaby Zaralla, który ochrzcił był Valerię mianem diablicy z piekielnego haremu.

Conan igrał leniwie z jej kręconymi, złotymi włosami, zajęty, widno, tylko swym podbojem. Ani szkielet u stóp, ani potwór u skały nie rozpraszały go ani też nie przytępiały zainteresowania dziewczyną.

Jej zaś niespokojne oczy, wędrujące wśród listowia, odkryły na tle zieleni barwne plamy. Były to owoce, wielkie ciemnopurpurowe kule wiszące na gałęziach drzewa, którego szerokie liście wyróżniały się osobliwie żywą i bogatą zielenią. I uświadomiła sobie dręczący głód i pragnienie, choć to drugie napastować ją poczęło dopiero od chwili, gdy zdała sobie sprawę, że nie może zejść ze skały, by pójść do stawu.

- Nie musimy głodować - rzekła. - Są owoce w zasięgu ręki.

Conan zerknął w kierunku, który ukazywała.

- Jeśli je zjemy - mruknął - nie trza będzie zębów smoka. Czarni ludzie z Kush zwą je Jabłkami Derkety. Derketo zaś jest Królową Umarłych. Wypij odrobinę ich soku albo pokrop nim skórę, a zemrzesz szybciej, niż- byś stoczyć się zdołała do stóp tej skały.

- Och! - zamilkła zmieszana. Pomyślała ponuro, że nie ma ucieczki od ich przeznaczenia. Nie widziała drogi ratunku, a Conan zdawał się być zajęty tylko jej talią i kręconymi lokami. Jeśli nawet myślał o ucieczce, nie dawał tego po sobie poznać.

- Gdybyś zdjął ze mnie ręce na chwilę dość długą, by wspiąć się na ten szczyt - rzekła kokieteryjnie - ujrysz coś, co wielce cię zaskoczy.

Rzucił jej pytające spojrzenie i wzruszając potężnymi ramionami uczynił, o co prosiła. Przyklejony do skalnej iglicy patrzył nad lasem. Długą chwilę stał potem w milczeniu, jak brązowa statua.

- Wiera, gród warowny - mruknął. - Tam zmierzałaś, gdyś mnie chciała samego posłać ku wybrzeżom?

- Ujrzałam go tuż przed twoim przybyciem. Nie wiedziałam o jego istnieniu, gdym opuszczała Sukhmet.

- Któż by pomyślał, miasto - tutaj! Nie myślę, by Stygijczycy dotarli kiedy tak daleko. Ale czy mogli miasto podobne wznieść czarni? Stad nie widzę na równinach, upraw, ludzi...

- Zali myślałaś dostrzec coś z takiej odległości?

Wzruszył ramionami.

- Cóż, mieszkańcy i tak pomóc nam nijak nie mogą. Ludy Czarnych Krain wrogie są zwykle obcym.

Naszpikowaliby nas włóczniami.

Przerwał i zastygł w milczeniu, jakby zapomniał, o czym ma mówić, gapiąc się na purpurowe kule łysekające wśród liści.

- Włócznie! - wymamrotał. - Głupiec przeklęty, zem o tym wcześniej nie pomyślał. Oto masz, co dziewczka urodziwa z męża rozumem czyni!

- O czym gadasz? - spytała.

Nie odpowiadając, zbiegł ku pasmu liści i spojrzał przez nie w dół. Trwał tam niezmiennie ogromny potwór, wpatrując się w skałę z przerażającym uporem właściwym rodowi gadziemu. Tak, w erach dawno minionych, mogli spozierać jego krewniacy na jaskiniowych praprzodków człowieka, szukających ratunku na wysokich skałach.

Sklął go Conan bez gniewu i jął ścinać gałęzie, próbując sięgnąć jak najgrubszych ich części. Poruszenia listowia zaniepokoiły bestię, która powstała na cztery łapy i biła przeraźliwym ogonem na wsze strony, wyrywając przy tym młode drzewka jakby to były trzaski. Uważnie obserwował go Cymmeryjczyk kątem oka i gdy zdało się Valerii, że potwór znów zamierza rzucić się na skałę, Conan odskoczył i wspiał się na półkę z przygarścią ściętych gałęzi. Były to trzy smukłe pręty, długie na stóp siedem, nie grubsze zaś niż kciuk. Zerwał również nieco krzepkich choć cienkich lian.

- Zbyt lekkie te gałęzie na drzewce do włóczni, a pnącza nie grubsze od sznurka - rzekł, ukazując gąszcz otulający skałę. - Ciężaru naszego nie zdzierzą. Atoli w jedności siła - oto co nam, Cymmeryjczykom, mawiali aquilońscy renegaci, gdy się na wzgórzach zjawiali, by wojów werbować na kraju własnego pustoszenie. My wszelako zawsze walczyliśmy klanami i plemionami.

- A cóż, do stu piorunów, ma to do owych kijaszków? - zapytała.

- Czekaj, a ujrzysz.

Złożywszy pręty do kupy wraził między nie rękojeść swego puginału, a potem omotał mocno lianą, otrzymując tym sposobem krzepką włócznię siedmiostopowej długości, zakończoną srogim ostrzem.

- I cóż po tym - rzekła - skoroś sam mówił, że stal łusek bestii nie przesiecze?

- Nie cały on łuskami okryty - odrzekł Conan. - Różnymi sposoby panterę można skórować.

Podszedł do krawędzi skały, wystawiwszy włócznię, i ostrożnie grot jej pograżył w jednym z Jabłek Derkety. Odchyłał się przy tym jak najdalej, by uniknąć ciemno - purpurowych kropli spływających z rozciętego owocu. Wyciągnął w końcu ostrze i ukazał jej błękitną stal pokrytą matowym, szkarłatnym nalotem.

- Nie wiem - powiedział - czy rzecz ta poskutkuje, czy nie, ale dość tu jadu, by ubić słonia. Ale... cóż, zobaczymy.

Valeria szła tuż za nim, gdy stąpił w dół pod zasłoną z liści. Z wielką ostrożnością, dzierząc

zatruty oręż z dala od siebie, wytknął głowę spomiędzy gałęzi i ozwał się do potwora:

- I na cóż tak czekasz, pokręcony wyrodku z krokodylicy i skorpiona? Nuże, wystaw mordę obmierzłą, długoszyi robaku - czy zaś wolisz, bym zszedł do cię i twe padło bękartie kopniakami od kości odbił?

Więcej tego było, o kwiecistości nieporównanie bogatszej, aż Valeria, edukowana przecie między wybornymi w słownym kunszcie żeglarzami, oczy rozwarła szeroko z wielkiego zadziwienia. A i na potworze przemowa Cymmeryjczyka zdała się wywierać wrażenie. Jak natarczywe ujadanie psa zatrważa i rozwściecza większe i z natury spokojniejsze zwierzęta, tak i hałaśliwy głos człowieka lęk budzi w jednych, szął zasię nieopanowany w innych bestiach. Nagle, z niezwykłą szybkością, porwało się tytaniczne bydlę na swe mocarne zadnie łapy, prężąc zarazem ciało i szyję w desperackiej próbie sięgnięcia owych zjadliwych karłów, których natarczywe bzyczenie zakłócało pierwotną ciszę jego pradawnej dziedziny.

Ale Conan dokładnie ocenił odległość. Jakieś pięć stóp pod nim olbrzymi łeb przebił zasłonę liści w daremnym ataku. I gdy potworne szczęki rozwarły się na kształt paszczy gigantycznego węża, wraził włócznię w czerwoną gardziel. Pchnął całą mocą obu muskularnych ramion i długie ostrze puginału po rękojeść pograżyło się w ciele, ścięgnach i kości. Szczęki zawarły się konwulsyjnie, łamiąc na drzazgi uczynione z trzech prętów drzewce, Conan zaś zachwiał się na swym stanowisku i byłby spadł, gdyby stojąca za nim dziewczyna nie uchwyciła go za pas w desperackim geście. Przytrzymał się skalnego występu, odzyskując równowagę i mrukliwie wyraził swą wdzięczność.

W dole tarzał się potwór, jak pies, któremu w oczy sypnięto pieprzem. Trząśł łbem, darł go pazurami i najszerzej jak mógł rozdziawiał paszczę. W końcu udało mu się przycisnąć nogą złomek drzewca i wyrwać ostrze. A potem uniósł łeb o rozwartej paszczę, z której tryskała krew, i spojrzał na skałę z tak rozumną, rzekłbyś, i uporną furją, że zadrżała Valeria i dobyła miecza. Łuski na karku i bokach bestii zmieniły kolor z rdzawobrazowego na jaskrawoczerwony. I co najstraszniejsze, potwór przerwał swe milczenie, a dźwięki dobywające się spomiędzy jego skrwawionych szczęk nie przypominały niczego, co wydają ziemskie stworzenia.

Z głuchym, drażniącym rykiem smok rzucił się na skałę, będącą fortecą jego wrogów. Raz za razem potężny łeb przebijał gałęzie, a szczęki zawierały się na pustym powietrzu. A potem cały swój straszliwy ciężar rzucił o skałę, aż ta zadrżała od podstawy po szczyt, i stojąc na zadnich łapach, ujął ją przednimi i próbował wyrwać, jakby to było drzewo.

Ów pokaz pierwotnej siły i furii zmroził krew w żyłach Valerii, lecz Conan zbyt był w swoich odruchach pierwotny, by czuć coś więcej niżli ciekawość pełną zrozumienia. Dla barbarzyńcy nie istniała aż taka przepaść między nim i innymi ludźmi a zwierzętami, jak to miało miejsce w duszy Valerii. Ów potwór był dla Conana po prostu inną formą życia, różną odeń tylko postacią cielesną. Przypisywał mu cechy podobne własnym i w jego gniewie widział odpowiednik własnych uniesień, a w rykach gadzie powtórzenie własnych przekleństw, którymi bestię obrzucał. Czując więzy pokrewieństwa z wszelkimi dzikimi kreaturami, nawet smokami, nie mógł doznać owego lęku i odrazy, które ogarniały Valerię na widok srogości potwora.

Siedział tedy i obserwował spokojnie, zwracając uwagę na rozmaite zmiany, jakie zachodziły w

jego ryku i poczynaniach.

- Jad zaczyna działać - ozwał się z przekonaniem.

- Wierzyć mi się nie chce. - Valerii zdało się śmieszne, aby cokolwiek, nie wiedzieć nawet jak śmiernicobójcze, mogło mieć wpływ na ową górę mięśni i szafu.

- Ból słysząc w jego ryku - oznajmił Conan. - Zrazu był ledwie zły, bo go coś w szczękę kłuło. Teraz czuje ukąszenie trucizny. Patrz! Chwieje się. Oślepnie za parę chwil. Czym nie mówił?

I oto zachwiał się potwór i łamiąc krze popędził przez las.

- Zali umyka? - spytała Valeria niepewnie.

- Bieży do stawu! - Conan zerwał się w podnieceniu na nogi. - Pali go trucizna. Chodź! Za parę chwil oślepnie, ale po zapachu dotrzeć może na powrót do skały i jeśli wciąż woń naszą będzie czuć, pozostanie, póki nie padnie. A i jacy kuzyni jego mogą się zjawić zwabieni rykiem.

- Na dół? - Valeria była przerażona.

- Wiadomo! Dobieżemy do miasta! Mogą tam nam łby pościnać, ale to tylko możemy uczynić. Tysiąc innych smoków możemy spotkać na drodze, ale tu śmierć jest pewna. Za mną, spiesz się!

Zbiegł w dół, zwinnie jak małpa, przystając tylko, by pomóc mniej sprawnej towarzyszkę, która nim ujrzała, jak wspina się Cymmeryjczyk, miała się za równą każdemu mężowi - czy to w olinowaniu statku, czy na stromym skalistym urwisku.

Wkroczyli w półmrok pod zasłoną z gałęzi i cicho zeszli na ziemię, choć Valeria była pewna, że bicie jej serca w całej słycać okolicy. Donośne odgłosy chłeptania i łykania dobiegały zza gąszczy świadcząc, iż smok pije u stawu.

- Wróci, gdy tylko kałdun napełni - wymamrotał Conan. - Godziny miną, nim go trucizna powali - jeśli powali...

Gdzieś w dali słońce ginęło za horyzontem i puszcza pomroczyła jeszcze, a w mglistym półświatle jeły tańcować czarne cienie. Conan pochwycił dłoń Valerii i co sił w nogach oddalał się od podnóża skały. Mniej czynił hałasu niż wietrzyk błędzący pomiędzy pniami drzew, lecz Valerii zdawało się, że jej miękkie buty zdradzają ich ucieczkę całej puszczy.

- Nie myślę, by mógł iść po śladach - mruknął Conan - ale jeśli wiatr poniesie ku niemu naszą woń, wy wachać nas potrafi.

- Mitro - błagalnie wyszeptała Valeria - spraw, by wiatr zacichł!

Jej twarz rysowała się w półmroku bladym owalem. W wolnej dłoni ścisnęła miecz, atoli dotyk wykładanej skórą rękojeści budził w niej poczucie bezradności.

Wciąż dzieliła ich od skrajów lasu znaczna przestrzeń, gdy usłyszeli za sobą łomot i trzaski. Valeria zagryzła wargi, by nie wybuchnąć płaczem.

- Goni nas! - szepnęła z lękiem.

Conan potrząsnął głową.

- Nie wyczuł nas na skale, tedy błądzi po lesie, próbując chwycić woń. Chodź! Teraz miasto albo śmierć! Zdoła wyrwać każde drzewo, na które byśmy się wspięli. Oby nie zerwał się wiatr.

Las przed nimi poczynął rzednąć, za nimi zaś był nieprzeniknionym oceanem cieni, z którego wciąż dobiegały złowieszcze trzaski, gdy smok na oślep poszukiwał swych ofiar.

- Równina - szepnęła wreszcie Valeria. - Jeszcze trochę i...

- Na Croma! - zaklął Conan.

- Mitro! - szepnęła Valeria.

Wprost od nich wiatr powiał ku czarnej puszczy. Natychmiast ryk okropny zatrzęsł gęstwiną i nieregularne, bezładne stuki i trzaski ustąpiły miejsca nieprzerwanemu łomotowi, gdy runął smok jak huragan ku miejscu, skąd dobiegała go woń nieprzyjaciół.

- Uciekaj! - warknął Conan, a oczy błysnęły mu jak chwyconemu w paść wilkowi. - Tylko to nam zostaje!

Żeglarskie buty nie szyte są dla gonitwy, a życie pirata nie czyni zeń biegacza. Po stu krokach Valeria dyszała ciężko i poczyniała się potykać, z tyłu zaś nie łomot już dochodził, a grzmot jednostajny, potwór bowiem wychynął z lasu na wolną przestrzeń.

Żelazne ramię Conana owinęło się wokół kibici niewiasty, na pół unosząc ją z ziemi, i biegli z szybkością, na jaką sama żadną miarą nie potrafiłaby się zdobyć. Gdyby zdołali czas jeszcze jakiś uniknąć zębów bestii, zdradliwy wiatr mógłby odmienić kierunek - nie zmieniał wszelako, a rzucone przez ramię szybkie spojrzenie powiedziało Conanowi, że potwór tuż jest za nimi, pędząc jak niesiona huraganem wojenna galera. Odepchnął tedy Valerię od siebie tak mocno, że przeleciała kilkanaście stóp, nim na kształt zmiętego łachmana opadła u podnóża najbliższego drzewa, sam zaś przegroził drogę rozwścieczonemu gigantowi.

Przekonany, że śmierć nadchodzi, działał Cymmeryjczyk zgodnie ze swym instynktem, i z całym impetem rzucił się na straszliwą bestię. Skoczył jak dziki kot i ciął potężnie, czując jak miecz głęboko tonie w opancerzonym łuskami łbie. A potem siła niesamowita odrzuciła go na bok, i koziółkował przez pięćdziesiąt stóp, tracąc dech cały i świadomości połowę.

Sam nie potrafiłby powiedzieć, jak się pozbierał i powstał na nogi. Jedyna myśl, jaka świtała w jego oszołomionym mózgu, dotyczyła dziewczyny, która nieprzytomna i bezradna leży na samej drodze rozpędzonego smoka. Nim oddech na nowo zaświstał w krtani, stał już nad nią z mieczem w garści.

Tam leżała, gdzie ją pchnął, ale już próby czyniła, by usiąść. Nie tknęły jej ani kły szabliste, ani nogi wszystko na swej drodze miażdżące. Samego zaś Conana bark zapewne na bok odrzucił, gdy zapominając o ofiarach, popędził potwór do przodu w nagłej męce śmiertelnych skurczów. I pędził tak bez opamiętania, aż nisko zwieszony łeb zderzył się z rosnącym na jego drodze gigantycznym drzewem. Siła zderzenia tak była wielka, że wyrwała drzewo z korzeniami i wytrząsała mózg z potwornego czerepu. Drzewo runęło na smoka i oszołomieni ludzie ujrzeni, jak liście i gałęzie drżą wstrząsane konwulsjami bestii, którą skrywały - potem wszystko ucichło.

Conan pomógł Valerii powstać i puścili się oboje w chwiejny bieg. Po chwili dotarli na bezdrzewną równinę, spowitą cichym półmrokiem.

Conan przystanął na moment i spojrzał do tyłu na hebanowy gąszcz. Ani liść tam zadrżał, ani ptak zakwilił. Drzewa stały w takiej ciszy, jaka panować musiała przed stworzeniem człowieka.

- Chodź - mruknął Conan. - Żywoty nasze na cienkiej wiszą strunie. Jeśli inne smoki wyleżą z lasu...

Nie musiał kończyć zdania.

Dalekie było miasto, gdy patrzyli skroś równinę, dalsze, niż zdawało się być ze skały. Serce Valerii boleśnie kołatało w piersi, dławiąc ją niemal. Za każdym krokiem spodziewała się usłyszeć trzask krzaków i ujrzeć następny koszmar ogromny, jak wyłania się z gęstwy, by ruszyć ich tropem. Ale nic nie zakłócało ciszy.

Gdy mila oddzieliła ich od lasu, Valeria odetchnęła z ulgą. Poczęła tajać jej zmroźona grozą pogodna pewność siebie. Słońce już zaszło i ciemność gęstniała nad równiną, ledwie rozświetlana gwiazdną poświatą, która rozsianym tu i ówdzie kaktusom dawała pozór gnomów.

- Nie masz tu bydła ani pól zaoranych - mruczał Conan. - Jakże ci ludzie żyją?

- Bydło do zagród na noc mogli spędzić - zasugerowała Valeria - a pola i pastwiska są po drugiej stronie grodu.

- Może - odparł - choćem ze skały nic nie widział.

Księżyc wzniósł się nad miastem, a mury i wieże czarno zarysowały się w żółtej poświacie. Valeria zadrżała. Czarny w świetle księżyca, wyglądał ów gród osobliwy posepnie i groźnie.

Podobna widać myśl powstała i w głowie Conana, zatrzymał się bowiem, rozejrzał wokół i rzekł:

- Tu pozostaniemy. Daremnie w nocy do bram kołatać, bo i tak nas nie wpuszczą. Nie wiada, jak nas przyjmą, tedy lepiej siły odzyskać. Po snu paru godzinach sposobniejsi będziemy do walki czy ucieczki.

Podszedł do kaktusowych zarośli krąg jakby tworzących - pospolite dość zjawisko na południowych pustyniach. Mieczem swym wyrąbał przejście i ukazując je Valerii, rzekł:

- Od węzów przynajmniej będziemy bezpieczni.

Z lękiem obejrzała się ku czarnej linii odległego o jakieś sześć mil lasu.

- Co zaś, jeśli smok z puszczy wylezie?

- Straż będziemy trzymać - odrzekł, choć nie powiedział, cóż w podobnym razie pomóc by to mogło. Patrzył na miasto. Żaden blask nie rozjaśniał wieżyc i kopuł. Było wielką mroczną zagadką, tajemniczo zarysowaną na tle rozświetlonego księżycem nieba.

- Legnij i śpij. Ja pierwszą wartę obejmę.

Zawahała się, patrząc nań niepewnie, ale siedział u wejścia ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywał się w mrok, a miecz spoczywał na kolanach. Bez słowa położyła się tedy na piasku w środku kolczastego kręgu.

- Zbudź mnie, gdy księżyc stanie w zenicie - rozkazała.

Nic nie rzekł i nawet na nią nie spojrział. Ostatnim jej wrażeniem, nim pogrążyła się w sen, był widok jego muskularnej postaci, nieruchomej jak odlana z brązu statua, czarną bryłą rysującej się na tle nisko zawieszonych gwiazd.

2. PRZY BLASKU OGNISTYCH KLEJNOTÓW

Valeria obudziła się z drzeniem i uświadomiła sobie, że szary świt rozciąga się nad równiną.

Siadła, trąc oczy. Conan krzątał się obok kaktusów, obcinając ich mięsiste liście i ostrożnie wrywając z nich kolce.

- Nie zbudziłeś mnie - powiedziała z wyrzutem. - Pozwoliłeś mi spać całą noc!

- Zmęczona byłaś - odrzekł. - A i zadeczek mu-siałaś mieć obolały z długiej jazdy. Wy, piraci, nie zwyczajniście końskiego grzbietu.

- Cóż tedy rzec o tobie? - odgryzła się.

- Byłem munganem, nimem został piratem - odrzekł. - A oni żyją w siodle. Chwile snu chwytałem jak pantera czająca się u ścieżki na przejście sarny.

I w rzeczy samej, dziarsko wyglądał olbrzymi barbarzyńca, jakby noc całą w złotym przespał łożu. Usunąwszy kolce i twardą skórę, wręczył dziewczynie gruby, soczysty liść kaktusa.

- Wraż zęby w ten kąsek. To strawa i napitek dla ludów pustyni. Byłem kiedyś wodzem Zuagirów, pustynnego plemienia, które żyje z obłuskiwania karawan.

- Zali jest coś, czymżeś nie był? - z mieszaniną niewiary i zachwyty spytała dziewczyna.

- Nigdy nie był królem hyboryjskiej dziedziny - skrzywił się, odgryzając ogromny kęs kaktusa. - Ale marzy mi się i to. Któregoś dnia mogę nim zostać, bo niby czemu nie?

Potrząsnęła głową, dziwując się jego spokojnej zuchwałości, i poczęła jeść. Liść nie był podniebieniu niemiły, i pełen chłodnego, sycącego pragnienie soku. Skończywszy posiłek, wytarł Conan dłonie w piasek, powstał, przeczesał palcami swą gęstą czarną grzywę, zapiął pas z mieczem i rzekł:

- Cóż, ruszajmy. Jeśli lud z miasta gardła nam zamierza poderżnąć, uczynić to może równie dobrze teraz, nim gorąc dnia na dobre się nie zacznie.

Valeria pomyślała, że jego ponury żart, choć niezamierzony, wieszczym okazać się może. Również wtedy zapięła swój pas i powstała. Minęły lęki nocy, a ryczące smoki z odległego lasu wspomnieniem były tylko mglistym. Buńczucznie kroczyła u boku Cymmeryjczyka. Bez względu na to, jakie leżały przed nimi niebezpieczeństwa, wrogowie będą ludźmi. A Valerii z Czerwonego Bractwa nie zdarzyło się spotkać człeka, który by lęk w niej zbudził.

Conan zerkał na nią z uczuciem podziwu, gdy maszerowała obok niego zamaszystym krokiem, równie jak jego szybkim.

- Jak góral raczej chodzisz, niż jak żeglarz - powiedział. - Musisz być Aquilonką. Słońce Darfaru nie uczyniło twej białej skóry brązową. Wiele księżniczek mogłoby ci pozazdrościć.

- Jestem z Aqilonii - odparła. Jego komplementy już jej nie złościły, a widoczne uwielbienie - sprawiało przyjemność. Gdyby inny mąż zastąpił ją na warcie, pozwalając spać, wpadłaby we wściekłość, zawsze bowiem gniewnie odrzucała próby mężczyzn, by ją chronić lub oszczędzać przez wzgląd na płęć. Ale tajemną radość sprawił jej fakt, że Conan to uczynił. I nie wykorzystał jej lęku, ani płynącej zeń słabości. W końcu, pomyślała, niezwykłym był człekiem.

Słońce powstało za miastem, a wieże zabłysły groźną purpurą.

- Czarne w księżycu - mruknął Conan, z oczyma, w których zapełgały światelka barbarzyńskiego fatalizmu - a czerwone jak krew i krew zwiastujące w słońcu dnia. Nie podoba mi się ten gród!

Ale szli dalej i Conan zauważył, że ani jedna droga nie wiodła ku miastu z północy.

- Nie zdeptało bydlę pastwisk po tej stronie miasta - powiedział. - I pług ziemi nie tknął przez lata, a może wieki. Ale patrz: uprawiano tu niegdyś rolę.

Valeria dostrzegła pradawne rowy irygacyjne, które ukazywał, miejscami prawie zasypane, gdzie indziej zarosłe kaktusami. W zakłopotaniu zmarszczyła brwi, gdy oczy jej przebiegły równiną rozciągającą się ze wszech stron miasta, aż ku linii puszczy, która tworzyła niewyraźny olbrzymi krąg. Wzrok za ów krąg nie sięgał.

Niepewnie popatrzyła na miasto. Ni hełmy, ni ostrza włóczni nie połyskiwały na flankach, nie

brzmiały trąbki, z wież nie płynęły wezwania... Cisza tak doskonała jak cisza puszczy okrywała mury i wieżyce. Słońce wysoko już stało nad wschodnim horyzontem, gdy stanęli przed wielką bramą w północnym murze, w cieniu wyniosłego parapetu. Plamy rdzy pstrzyły żelazne okucia potężnych wrót z brązu. Pajęczyny jak grube draperie zwieszały się z zawiasów, rygli i ćwieków.

- Przez lata nikt jej nie otwierał! - oświadczyła Valeria.

- Martwy gród - potwierdził Conan. - Oto dlaczego rowy zasypane i pola nie tknięte.

- Wszelako kto ów gród zbudował? Kto w nim mieszkał? Gdzie się podział, gdy miasto opuścił?

- Nie wiada. Może klan wygnańców stygijskich. A może nie. Inaczej Stygijczycy budują. Może wrogowie ich przegnali albo zaraza wytrzebiła.

- Tedy skarby wciąż gdzieś tam leżą, pyłem obrastając i pajęczyną - rzekła Valeria, w której jąła się budzić właściwa jej rzemiosłu zachłanność, krzepiona kobiecą ciekawością. - Zdołamyż te wrota rozewrzeć? Rozejrzyjmy się nieco!

Conan z powątpiewaniem zbadał ciężką bramę, ale wsparłszy o nią swe ogromne ramiona, pchnął całą siłą muskularnych barków i ud.

Z przeraźliwym zgrzytaniem zardzewiałych sworzni brama ciężko ruszyła, a Conan wyprostował się, dobywając miecza. Valeria zerknęła przez jego ramię i wydała dźwięk, świadczący o niemałym zaskoczeniu.

Za bramą bowiem nie było ulicy ani placu, zwykłych w takim miejscu. Wrota otwierały się na długi, szeroki korytarz, niewyraźny w oddali i kresu na pozór nie mający. Tytaniczne miał proporcje, posadzkę zaś uczynioną z kwadratowych płyt wyciętych z osobliwego czerwonego kamienia, który tlić się zdawał niewidocznym płomieniem. Ściany zaś wyłożone były zielonym minerałem.

- Jaspis, albowiem jest Shemitą - rzekł Conan.

- W takiej ilości? - zaprotestowała Valeria.

- Wystarczająco dużo zrabował go khitajskim karawanom, żeby wiedzieć, o czym gadam - upewnił ją. - To jaspis!

Łukowate sklepienie z lapislazuli zdobiły kiście wielkich zielonych kamieni, roztaczających jadowitą poświatę.

- Zielone klejnoty ogniste - mruknął Conan. - Tak zwą je ludzie z Punt. Gada się o nich, że są skamieniałymi oczami owych pradawnych gadów, które starożytni zwali Złotymi Wężami. Świecą w ciemności niby oczy kota. Nocą rozświetlają ten korytarz, ale diabelska to iluminacja. Rozejrzyjmy się. A nuż znajdziemy skarby ukryte?

- Zaprzyj wrota - poradziła Valeria. - Wolałabym nie umykać przed smokiem w tym korytarzu.

Conan skrzywił się i odrzekł:

- Nie myślę, żeby smoki wyłaziły kiedy z lasu. - Uczynił wszelako, o co prosiła, a po chwili ukazał złamany rygiel po wewnętrznej stronie bramy.

- Zdało mi się, gdym na wrota z zewnątrz napierał, że coś trzasło. Ten rygiel świeżo jest złamany. Rdza go niemal na skroś przeniknęła. Jeśli ludzie stąd czmychnęli, czemu brama zaryglowana była od środka?

- Uciekli innym wyjściem - odpowiedziała Valeria.

Zastanawiała się, ile też stuleci minęło, odkąd światło dnia wdarło się do korytarza otwartą bramą. Słońce wszelako znajdowało jakoś drogę do wnętrza i oni rychło ją znaleźli. Wysoko, w łukowatym sklepieniu, otwory były podłużne, a w nich tkwiły świetliki - opalizujące płyty z materii jakiejś krystalicznej. W cienistych plamach między nimi zielone klejnoty migały jak oczy rozdrażnionych kotów. Pod ich stopami jaskrawa posadzka żarzyła się coraz to innymi kolorami i odcieniami płomienia. Iść po niej, to jak przemierzać komnaty Piekieł, gdy złowrogie gwiazdy migocą nad głową.

Jedna nad drugą trzy obramowane balustradami galerie bieging wzdłuż korytarza po każdej z jego ścian.

- Gmach cztery ma poziomy - stwierdził Conan - a to pomieszczenie dachu sięga. Długie jest jak ulica, ale zda się, odrzwia na końcu widzę.

Valeria wzruszyła białymi ramionami.

- Tedy wzrok masz lepszy niż ja, choć wśród żeglarzy za bystrooką uchodzę.

Na chybił - trafił wybrali jedne z drzwi i przeszli przez amfiladę komnat, których posadzka taka sama była jak w korytarzu, a ściany wyłożone jaspisem, marmurem, kością słoniową lubo chalcedonem i zdobione fryzami z brązu, złota i srebra. W sklepieniu tym samym demonicznym blaskiem lśniły zielone kamienie. W ich magicznej poświacie intruzi posuwali się jak zjawy.

W niektórych komnatach nie było owej iluminacji, a wrota straszyły czernią jak wejście do Piekieł, i te Conan z Valerią omijali, trzymając się izb oświetlonych.

Pajęczyny wisiały po kątach, ale kurz nie gromadził się ani na posadzkach, ani na uczynionych z marmuru, jaspisu czy karneolu zydlach i stołach wypełniających komnaty. Tu i tam wisiały draperie z owego jedwabiu, który znany jest jako khitan i praktycznie niezniszczalny. Nigdzie nie znaleźli okien czy drzwi na ulice wiodących albo place. Każde drzwi otwierały się zawsze na następną izbę.

- Czemuż nie docieramy do ulicy - dziwiła się Valeria. - Ten gmach wielki być musi jak seraj króla Turanu.

- Zaraza ich nie wytrzebiła - rzekł Conan, dumający nad tajemnicą pustego miasta - albowiem znaleźlibyśmy szkielety. Może złe moce tu hulają i wszyscy uciekli. Może...

- Może! Może! - przerwała Valeria gwałtownie. - Nigdy się nie dowiemy. Spójrz na te fryzy. Ludzie są na nich wyobrażeni. Do jakiego też należą ludu?

Conan popatrzył i pokręcił głową.

- Nigdy nie widział podobnych. Ale coś w nich jest wschodniego. Vendhya lubo Kosala.

- Byłeś może w Kosali królem? - spytała, kpina maskując ciekawość.

- Nie, alem był wodzem wśród Afghulów, którzy żywią w Górach Himeliańskich u granic Vendhyi. Ten lud wspiera Kosalan. Ale po cóż mieliby Kosalanie tak daleko ku zachodowi gród wznosić?

Portrety przedstawiały smukłych mężów i kobiety o delikatnie rzeźbionych, egzotycznych rysach. Odziani w przezroczyste szaty, przyozdobieni mnogimi klejnotami, wyobrażeni byli głównie w czasie uczt, tańca i miłosnych uciech.

- Wschodni lud, bez ochyby - powtórzył Conan - skąd wszelako - nie wiem. Żywot wiedli obrzydłe, widno, pokojowy albo byłyby tu obrazy walk i wojen. Wejdźmy po tych schodach.

Z komnaty, w której stali, wiodła w górę spirala z kości słoniowej. Przebyli trzy piętra i znaleźli się w obszernej izbie na najwyższym poziomie gmachu. Świetliki w suficie rozjaśniały wnętrze, a w dziennym blasku blado migały ogniste klejnoty. Zajrzeli we wszystkie drzwi, które - z wyjątkiem jednych - otwierały się na podobnie rozświetlone komnaty. Owe zaś jedyne drzwi prowadziły na galerię zawieszoną nad salą o wiele mniejszą niż ta, z której rozpoczęli wędrówkę.

- Piekło! - Valeria zniechęcona opadła na jaspisową ławę. - Ludzie, którzy tu żyli, musieli uciekając wszystkie skarby zabrać ze sobą. Dość mam łażenia na ślepo po tych pustych izbach.

- Wszystkie górne komnaty zdają się oświetlone - rzekł Conan. Chciałbym okno znaleźć wychodzące na miasto. Zajrzyjmy w te drzwi.

- Ty zajrzy - poradziła Valeria. - Ja tu posiedzę i stopom dam odpocznienie.

Conan zniknął w drzwiach przeciwległych do tych, które otwierały się na galerię, a dziewczyna wyciągnęła się na ławie z rękoma podłożonymi pod głowę. Poczynają ją przygnębiać owe ciche izby i sienie z płonącymi kiśćmi zielonych kamieni i ognistą posadzką. Pragnęła, by znaleźli wreszcie drogę, która pozwoli im opuścić labirynt i wyjść na ulice. Zastanawiała się daremnie, czyje stopy skradały się po tych płomienistych posadzkach w minionych stuleciach, ileż czynów okrutnych i tajemniczych oświetliły migające zielone klejnoty.

Cichy szmer wyrwał ją z zadumy. Stała na nogach z mieczem w dłoni, nim zdała sobie sprawę, co ją zaniepokoiło. Conan nie wrócił, ale wiedziała, że to nie jego posłyszwała kroki.

Dźwięk dochodził gdzieś zza wychodzących na galerię drzwi. Bezszelestna w swych butach z miękkiej skóry podbiegła do nich, przestąpiła balkon i spojrzała w dół, między ciężkimi kolumnami balustrady.

Człowiek skradał się przez salę.

Widok ludzkiej istoty w mieście, które mieli za opuszczone, srogim był zaskoczeniem. Klęcząc za kamienną balustradą, z nerwami napiętymi jak struny, Valeria obserwowała tajemniczą postać.

Człek ów żadną miarą nie przypominał figur wyimaginowanych na fryzach. Nieco powyżej średniego wzrostu, ciemną bardzo miał cerę, choć nie należał do ludów czarnych. Był nagi, tylko biodra okalała mu skąpa jedwabna chusta, ledwie kryjąca muskularne uda, wokół smukłej talii ściągnięta skórzanym pasem na dłoń szerokim. Długie czarne włosy opadały na ramiona w prostych kosmykach, nadając mu dziki wygląd. Wychudły był, ale węzły mięśni sterczały z jego ramion i nóg, pozbawione owej cielesnej otoczki, która nadaje kształtom miłą dla oka harmonię. Zbudowany był tak oszczędnie, że niemal odpychająco.

Wszelako nie postać jego, a zachowanie uderzyło obserwującą go niewiastę. Skradał się przygięty do ziemi, bez przerwy rozglądając się na boki. W prawej dłoni dzierżył nóż o szerokim ostrzu, który drżał, powodowany, zda się, przemożnym jakimś i samoistnym uczuciem. Człek ów był przerażony, groza niewypowiedziana trzymała go w swych objęciach. Gdy zwrócił w jej stronę głowę, ujrzała między kosmykami czarnych włosów lśnienie dzikich oczu.

Nie zauważył jej. Na palcach przebył sień i zniknął w otwartych drzwiach. Po chwili usłyszała zdławiony krzyk i znów zapadła cisza.

Trawiona ciekawością prześlizgnęła się przez galerię, docierając do drzwi położonych dokładnie nad tymi, które przekroczył nieznajomy. Otwierały się na inną galerię, otaczającą przestronną komnatę. Ta izba była na drugim piętrze, a jej sufit niżej się znajdował niż sklepienie dużej sali. Oświetlały ją tylko ogniste kamienie i ich niezwykły zielony blask nie docierał do miejsc zacienionych przez balkon.

Oczy Valerii zrobiły się okrągłe. Człek, którego widziała, wciąż był w komnacie. Leżał twarzą do dołu na ciemnopurpurowym dywanie w samym środku komnaty. Jego ciało było bezwładne, ręce rozrzucone szeroko. Zakrzywiony nóż leżał obok.

Zastanawiała się, dlaczego leży tak nieruchomo, a potem oczy jej zwęziły się, gdy spojrzała na dywan. Obok leżącego miał inny kolor - barwił się jaśniejszą, intensywną purpurą.

Drżąc z lekka, uklękła tuż za balustradą, starając się wzrokiem przebić cień zgęszczony pod galerią. Nie zdradził żadnej tajemnicy.

Nagle kolejna postać włączyła się w ponury dramat. Człek, podobny do pierwszego, wyłonił się z drzwi po przeciwległej stronie.

Jego oczy załśniły, gdy ujrzał ciało rozciągnięte na podłodze, i wyrzekł coś, co brzmiało jak „chicmec”. Leżący nie drgnął.

Przybysz podbiegł doń, schylił się, ujął za ramię i przewrócił na wznak. Zdławiony krzyk wyrwał się z jego ust, gdy głowa bezwładnie opadła do tyłu, ukazując szyję przeciętą od ucha do ucha.

Przybysz puścił ciało, pozwalając mu opaść na skrwawiony dywan, i porwał się na nogi, drżąc jak liść na wietrze. Jego twarz była spopielała maską. Gotów umykać, zastygł nagle nieruchomo jak statua i patrzył rozszerzonymi oczyma.

W mroku pod balkonem światło się pojawiło i zaczęło rosnać; demoniczne lśnienie, którego nie powodowały ogniste klejnoty. Włosy Valerii dęba wstały, gdy na to patrzyła, albowiem - ledwie widoczna w pulsującej poświacie - ludzka czaszka unosiła się w powietrzu, ludzka lubo osobliwie niekształtna, i to z niej właśnie widmowe lśnienie zdawało się płynąć. Wisiała tam, bezcielesna, dobytą z nocy i cienia, coraz wyraźniejsza; ludzka a przecie nie ludzkiej przynależna istocie.

Człek na dole stał nieruchomo, niczym wcielenie strachu paraliżującego, nie odrywając wzroku od zjawy. A ta oddzieliła się od ściany, towarzyszył jej zaś groteskowy cień. Z wolna ów cień przybrał kształt ludzkiej postaci, której nagi tors i członki lśniły blaskiem, jaki kości mają zbiele. Spoczywający na jej barkach czerep, spowity w swą złowrogą aureolę, patrzeć się zdawał jamami oczodołów, od których oszołomiony intruz nie mógł, widno, wzroku oderwać. Stał jak mumia z orężem zwisającym z bezwładnych palców, mając oblicze człowieka, na którego mag złożył brzemię potężnego zaklęcia.

I uświadomiła sobie Valeria, że nie tylko strach go obezwładniał. Było bowiem w pulsującym lśnieniu coś, co odbierało moc myślenia i działania. Nawet ona, bezpieczna na swym wyniosłym stanowisku, czuła nikły wpływ owej emanacji, która samemu rozumowi zdawała się zagrażać.

Koszmar pełził ku ofierze, a ta poruszyła się na koniec, wszelako po to tylko, by upuściwszy miecz opaść na kolana, w dłoniach kryjąc twarz. Bezsilnie oczekiwał nieszczęśnik ciosu szabli, która załśniła w dłoni zjawy, stojącej nad nim jak triumfująca śmierć nad ludzkością.

Valeria zachowała się zgodnie z pierwszym porywem swej nieobliczalnej natury. Jednym tygrysim skokiem przesadziła balustradę i zeskoczyła na posadzkę za plecami potwornej postaci. Ta odwróciła się na odgłos, jaki uczyniły jej miękkie buty, w pół jednak była jeszcze ruchu, gdy opadło żarłoczne ostrze Valerii, której serce wezbrało radością, kiedy poczuła, że miecz ciało siecze i kość śmiertelną.

Zjawa wydała głos gulgoczący i padła, przecięta przez ramię, mostek i kręgosłup, a wtedy potoczyła się po ziemi płonąca czaszka, ukazując czuprynę czarną i ciemne oblicze, skrzywione w grymasie śmierci. Człowiek bowiem był pod maską przerażającą, człowiek temu podobny, któren wciąż nieruchomo klęczał na podłodze.

Unióś był głowę na odgłos ciosu i wrzask ubijanego, i teraz patrzył w oszołomieniu swymi dzikimi oczyma na białoskórą niewiastę, która stała nad trupem ze skrwawionym mieczem w dłoni.

Powstał chwiejnie, niewyraźnie mamrocząc, jakby rzeczy widziane rozum mu odebrały. I zdziwił się wielce, kiedy dostrzegł, że kobieta go pojmuje. Gadał w języku stygijskim, choć dialektu, którego używał, nie znała.

- Kim jesteś? Skąd przybywasz? Co czynisz w Xuchotl? - A potem ciągnął nie czekając na odpowiedź: - Aleś wszak przyjacielem; nieważne - boginką czy demonem! Ubiłaś Płonący Czerep! I

człek pod nim się skrywał! Za demona go mieliśmy, którego o n i wezwali z katakumb! Słuchaj...

Urwał swą rzecz nieskładną i zeszywniał, nastawiając uszu z bolesnym wytężeniem. Dziewczyna nic nie słyszała.

- Spieszyc się musimy - wyszeptał. - Oni są na zachód od Wielkiej Sali. Mogą nas okrążyć! Może się już skradają!

Ujął jej przegub w konwulsyjny uścisk, z którego trudno było się wyrwać.

- Kimże są ci „oni”? - pragnęła wiedzieć.

Patrzył na nią, jakby dziwując się bezmiarowi jej niewiedzy.

- Oni? - zająknął się z lekka. - Jak to, lud Xotalanca! Klan człeka, któregoś ubiła. Sadyby mają przy bramie wschodniej.

- Powiadasz tedy, że gród jest zamieszkaany? - wykrzyknęła.

- A tak, a tak. - Kręcił się w miejscu niecierpliwie. - Odejdźmy stąd! Chodźmy szybko! Musimy wracać do Tecuhtli!

- Gdzie to jest? - indagowała.

- W części przy bramie zachodniej! - Znów ułapił ją za przegub i ciągnął w kierunku drzwi, którymi przybył. Wielkie krople potu spływały z jego ciemnego czoła, a oczy płonęły przerażeniem.

- Poczekajże! - warknęła, zrzucając jego dłoń. - Łapska z dala, boć łeb rozłupię. O co w tym wszystkim idzie? Kim jesteś? Gdzie chciałbyś mnie zaciągnąć?

Wziął się w garść i rzucając wokół niespokojne spojrzenia, jął mówić tak szybko, że słowa zlewały się w jedną trudną do zrozumienia całość.

- Zwą mnie Techotl. Jestem z Tecuhtli. Ja i ten człek, co tam leży z poderzniętym gardłem, przyszlismy do Sal Milczenia, spodziewając się zaskoczyć paru Xotalanków. Aleśmy się rozdzielili i kiedym tu powrócił, zastałem go zaszlachtowanego. Płonący Czerep to uczynił, wiem, i zrobiłby ze mną to samo, gdybyś go nie ubiła. Ale mógł nie być sam. Inni może skradają się z Xotalanc! Bogów samych przechodzą dreszcze na myśl o tym, co czynią z ludźmi, których pojmagają żywcem!

Zaczął się trząść jak w febrze, a jego ciemna twarz przybrała barwę popiołu.

Valeria zerknęła nań z ukosa. Czowała w tej gadaninie głębszy sens, ale nie potrafiła go uchwycić.

Odwróciła się ku czaszce, która wciąż jarzyła się i pulsowała na posadzce, i już zamierzała tknąć ją tytułem próby swą obutą stopą, gdy człowiek, zwący się Techotlem, z wrzaskiem skoczył do przodu.

- Nie ruszaj jej! Nie patrz nawet na nią! Śmierć czai się w niej i szaleństwo! Czarnoksiężnicy z Xotalanc znają jej sekret - w katakumbach ją znaleźli, gdzie spoczywają kości straszliwych królów, co władali Xuchotlem w czarnych stuleciach przeszłości. Patrzenie na nią mrozi krew i wysusza mózg człeka, który nie pojmuje jej tajemnicy. Dotknięcie szaleństwo powoduje i zniszczenie!

Spojrzała nań chmurnie i niepewnie. Nie budziła wielkiego zaufania jego żyłasta postać i węzowate kudły. W jego oczach, ukryte pod blaskiem przerażenia, czaiło się osobliwe światło, którego nigdy nie widziała w oczach człowieka o zupełnie zdrowych zmysłach. A przecie jego ostrzeżenia zdawały się rzetelne.

- Chodź! - błagał, sięgając po jej dłoń i znów się cofając, gdy przypomniał sobie groźne ostrzeżenie. - Jesteś obca. Nie wiem, jakie się tu dostała, ale gdybyś była boginką lub demonem, co w pomoc przybywa ludowi Tecuhtli, nie musiałabyś o wszystko pytać. Musisz być z za wielkiego lasu, skąd i nasi przybyli przodkowie. Ale jesteś przyjacielem, bo inaczej nie ubiłabyś mojego wroga. Chodź szybko, nim Xotalankowie znajdą nas i usieką!

Z jego szpetnej, pełnej emocji twarzy, przeniosła wzrok na odrażającą czaszkę, żarzącą się jaskrawo na posadzce, tuż obok trupa. Była jak czaszki, które widuje się w sennych koszmarach, niezaprzeczalnie ludzka, a przecie zdeformowana w ogólnym swym zarysie.

Istota, do której należała za życia, musiała sprawiać wrażenie potworne i nieziemskie. Za życia? Wydawało się, że sama posiada jakiś rodzaj życia. Rozwarła na Valerię szczęki i zatrzasnęła je. Promieniowanie stało się jaśniejsze, żywsze, a zarazem spotężniał pozór nierzeczywistości, majaku; to był sen; całe życie było snem... natarczywy głos Techotla wywołał Valerię z mglistych mórz, ku którym dryfowała:

- Nie patrzaj na czerep! Nie patrzaj na czerep! - Z daleka dobiegał ów głos, z pustki niezmięzonej.

Wstrząsnęła głową Valeria, jak lew, co grzywą potrząsa. Wzrok jej wrócił.

Techotl gadał szybko:

- Za życia mózg straszliwy mieściła, mózg króla czarnoksiężników! I wciąż jest w niej życie, i ogień magii ze światów nieziemskich!

Z przekleństwem na ustach skoczyła Valeria jak pantera i czerep rozprysnął się na mrowie płonących kawałków pod ostrzem jej miecza. Gdzieś w komnacie, a może w pustce kosmicznej lubo w mglistych sferach jej podświadomości, nieludzki głos zawył z bólu i gniewu.

Techotl szarpał jej ramię i bełkotał:

- Rozbiłaś go! Zniszczyłaś! Żadne czarne sztuki Xotalanków nie zdołają go wskrzesić! Odejdźmy stąd! Odejdźmy teraz szybko!

- Ja odejść nie mogę - zaprotestowała. - Druh mój gdzieś jest w pobliżu i...

Przerwała widząc, że rozszerzają się jego oczy i straszliwie blednie twarz. Odwróciła się w

chwili, gdy czterech mężów, którzy wpadli przez czworo drzwi, jęło otaczać ją i Techotla.

Byli podobni do tych tubylców, których dotychczas spotkała - te same postronki mięśni sterczące z chudych poza tym członków, te same gładkie stalowoczarne włosy, to samo szalone lśnienie w szeroko rozwartych oczach. Byli odziani i uzbrojeni jak Techotl, ale na piersi każdego z nich widniał wizerunek białej czaszki.

Nie było wezwań ani okrzyków bojowych. Jak żądne krwi tygrysy, mężowie z Xotalanc skoczyli do gardeł swych wrogów. Techotl przyjął ich z desperacką wściekłością - uniknął szerokiego zamachu szabli i zwarłszy się z przeciwnikiem, obalił go na posadzkę, gdzie jęli się toczyć i zmagać w morderczym milczeniu.

Trzech pozostałych opadło Valerię, a oczy ich czerwone były jak oczy wściekłych psów.

Zabiła pierwszego, który znalazł się w jej zasięgu, nim ten zdążył zmierzyć się do ciosu, rozszczepiając mu czaszkę swym długim, prostym ostrzem.

Zeszła z linii pchnięcia, odbijając zarazem cios z góry. Jej oczy tańczyły, a usta śmiały się bezlitośnie. Znów była Valerią z Czerwonego Bractwa i pomruk stali dźwięczał w jej uszach jak ślubna pieśń.

Jej miecz minął ostrze próbujące zastawy i na głębokość dwóch dłoni zatonał w brzuchu okrytym skórzanym pasem.

Raniony sapnął boleśnie i opadł na kolana, ale jego rosły kompan runął w groźnym milczeniu, zadając taki huragan ciosów, że nie miała Valeria okazji do kontrataku. Cofała się jednak z zimną krwią, parując ciosy i czekając na możliwość celnego ugodzenia przeciwnika. Nie mógł długo obsypywać jej tym rozszalałym gradem uderzeń. Jego ramię osłabnie, płucom zabraknie tchu, pocznie się chwiać - wtedy jej ostrze bez trudu odnajdzie drogę do serca.

Zerknęła w bok i ujrzała, że Techotl klęczy na piersi przeciwnika, próbując uwolnić z jego uścisku dłoń ze sztyletem i pogrożyć go w gardle leżącego.

Pot kroplił się na czole walczącego z nią męża, a jego oczy płonęły jak węgle. Najpotężniejsze uderzenia nie mogły złamać obrony Valerii. Gorączkowo łapał powietrze i jął chybiać. Postąpiła krok do tyłu, by go sprowokować - i poczuła, że uda jej znalazły się w żelaznym uścisku. Zapomniała o rannym, spoczywającym na posadzce...

Podniósł się był na kolana i oburącz ułapił nogi dziewczyny, jego zaś kompan zaskrzeczał triumfalnie i począł zachodzić Valerię od lewej strony. Gwałtownymi ruchami próbowała się wyrwać, na próżno jednak. Mogłaby się uwolnić od przyklejonego do swych nóg przeciwnika jednym krótkim uderzeniem miecza, ale w tej samej chwili rozłupałoby jej czaszkę wygięte ostrze rosłego wojownika. Ranny wgrzyzał się zębami w jej udo jak dzika bestia.

Opuściła lewą rękę i chwyciła go za długie kudły, odchylając mu głowę do tyłu, aż ujrzała błysk lśniących zębów i dziko wywrócone oczy. Wrzasnął gniewnie wysoki Kotalanc i skoczył, uderzając

całą siłą ramienia. Niezgrabnie odparowała cios tak potężny, że płaska strona jej własnego miecza trafiła ją w czoło, aż iskry ujrzała przed oczyma i zachwiała się niepewnie. Znów wzniósł się w górę oręż wroga, który wydał przy tym niski, zwierzęcy ryk triumfu - i nagle olbrzymia postać wyrosła za jego plecami, i piorunowo błysnęła stal. Urwał się wrzask wojownika i padł Kotalanc jak wół pod rzeźnickim toporem, a mózg prysnął z rozłupanego do szyi czerepu.

- Conan! - sapnęła Valeria. W porywie szału zwróciła się ku przeciwnikowi, którego długie włosy wciąż dzierżyła w garści.

- Piekielny psie! - Świsnęło jej ostrze, przecinając powietrze w uderzeniu tak szybkim, że tylko błysk było widać, i bezgłowe ciało osunęło się na ziemię, tryskając fontanną krwi. Odrzuciła odrąbaną głowę na środek izby.

- Co, u diabła, się dzieje? - Conan ze swym wielkim mieczem w dłoni stanął okrakiem nad trupem ofiary, rozglądając się w oszołomieniu.

Techotl podniósł się znad drgającego ciała ostatniego Xotalanka, otrząsając ze sztyletu czerwone krople. Krwawił z głębokiej rany w udzie i patrzył na Conana szeroko rozwartymi oczyma.

- Co to wszystko znaczy? - powtórzył Conan, który nie otrząsnął się jeszcze z zaskoczenia faktem, że zastał Valerię wplątaną w srogi bój z tymi osobliwymi ludźmi, i to w mieście, jak sądził, pustym i nie zamieszkanym.

Powróciwszy z bezcelowej wędrówki po górnych komnatach i nie znalazłszy Valerii w izbie, w której ją zostawił, podążył za bitewnym hałasem, co dotarł do jego zaskoczonych uszu.

- Pięć martwych psów! - wykrzykiwał Techotl, którego płonące oczy odbijały szatańskie uniesienie. - Pięciu ubitych! Pięć purpurowych ćwieków na czarną kolumnę! O, dzięki wam, bogowie krwi!

Wysoko uniósł drżące dłonie, a potem z obliczem demona opluł ciała wrogów i podeptał ich twarze, tańcząc z upiornej uciechy.

Jego świeżo pozyskani sprzymierzeńcy patrzyli nań w osłupieniu, a Conan zapytał w języku aquilońskim:

- Kimże jest ten szaleniec?

Valeria wzruszyła ramionami.

- Powiada, że zwą go Techotl. Pojęłam z tego, co paplał, że jego lud mieszka po jednej stronie tego zwariowanego grodu, a ci tam, po drugiej. Może lepiej z nim pójdźmy. Przynajmniej jest przyjazny, a ów drugi klan, widno, nie jest.

Techotl przestał tańcować i słuchał, głowę przechyliwszy na bok na podobieństwo psa, a triumf walczył o lepsze ze strachem w jego szpetnym obliczu.

- Teraz uchodźmy - szepnął. - Dokonaliśmy dość. Pięć martwych psów! Dobrze przyjmie was mój lud! Uhonoruje! Ale odejźmy! Daleko jest do Tecuhltli. W każdej chwili mogą Kotalankowie nadciągnąć w sile zbyt wielkiej, nawet na oba wasze miecze!

- Prowadź! - mruknął Conan.

W oka mgnieniu wstąpił Techotl na schody wiodące ku galerii, dając im znak, by podążali jego śladem, co też uczynili, krocząc szybko, aby nie stracić go z oczu. Gdy osiągnęli galerię, wpadł w drzwi po stronie zachodniej i prowadził przez amfiladę komnat, oświetlanych przez okienka w suficie lub ogniste kamienie.

- Cóż za osobliwe miejsce! - wymamrotała Valeria pod nosem. - O co w tym wszystkim idzie?

- Crom wie! - odrzekł Conan. - Chociem widział ludzi jego rasy. Żywią na brzegach Jeziora Zuad, u gra-nic Kush. To jakiś rodzaj skundlonych Stygijczyków, przemieszanych z innym narodem, co ze wschodu przybył do Stygii parę setek lat temu i został wchłonięty. Zwą ich Tlazitlanami. Ale gotówem się założyć, że nie oni wzniesli to miasto.

Nie wyglądało na to, by zmniejszał się lęk Techotla w miarę jak oddalali się od komnaty, w której pozostawili trupy. Wciąż odwracał głowę nasłuchując, czy nie odezwą się głosy pogoni, i z czujnym natężeniem wpatrywał się w każde mijane drzwi.

Mimo woli drżała i Valeria. Nie bała się ludzi. Ale osobliwa posadzka pod stopami, niesamowite klejnoty nad głową, zgęszczające jeszcze swym światłem przyczajone pod sklepieniem cienie, i tajemnicze lęki ich przewodnika, budziły w jej sercu nienazwaną obawę, poczucie skrytego, nieludzkiego niebezpieczeństwa.

- Mogą być między nami a Tecuhltli - wyszeptał w pewnej chwili Techotl. - Baczyć musimy, czy zaś nie przysposobili zasadzki!

- A czemuż to nie wyleziemy z tego piekielnego pałacu, by dalej podążać ulicami? - spytała Valeria.

- Nie ma ulic w Xuchotl - odrzekł. - Ani placów, ani podwórców. Całe miasto zbudowane jest na kształt olbrzymiego pałacu pod jednym, wielkim dachem. Ulicą nazwać by najwyżej można Wielką Salę, co przecina gród od bramy północnej do południowej. Bramy miejskie to jedyne wrota otwarte na świat, ale żyjący człek nie przekroczył ich od lat pięćdziesięciu.

- Jak zaś długo wy tu mieszkacie? - zapytał Conan.

- Jam urodził się w Tecuhltli trzydzieści pięć lat temu. Nigdy nogi za miastem nie postawił. Na miłość bogów, idźmy cicho! Te sale pełne być mogą przyczajonych demonów. Olmec opowie wam wszystko, gdy dotrzemy do Tecuhltli.

W ciszy tedy sunęli po komnatach, a zielone kamienie ogniste migotały nad ich głowami i pod stopami żarzyła się posadzka, aż zdało się Valerii, że mkną oto przez czeluście piekielne, wiedzeni przez ciemnoskórego, kudłatego goblina.

Gdy przekraczali nad miarę szeroką komnatę, kazał im się Conan zatrzymać. Jego ćwiczony w dziczy słuch ostrzejszy był nawet od słuchu Techotla, wykształconego przecie przez lata walk w owych cichych korytarzach.

- Po prawdzie myślisz, że wrogowie twoi mogą być przed nami gotując zasadzkę?

- Skradają się po tych izbach przez cały czas - odrzekł Techotl - tak, jak i my. Sale i komnaty między Tecuhltli a Kotalanc spornym są obszarem i nikt nimi nie włada. Zwiemy je Salami Milczenia. Czemu zaś pytasz?

- Bo ludzie są w komnacie przed nami - odrzekł Conan. - Słyszałem brzęknięcie stali o kamień.

Znów dreszcze chwyciły Techotla, który szczęki musiał zewrzeć, by nie stukały mu zęby.

- A może to twoi kompani - zasugerowała Valeria.

- Lepiej nie sprawdzać - rzucił i skoczył jak dźgnięty nożem. Skręcił w bok i dał nura w drzwi komnaty, z której w dół wiodły schody z kości słoniowej.

- Prowadzą do nie oświetlonego korytarza w dole! - syknął, a wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło. - Tam też mogą się czaić. Może to wszystko fortel, by na dół nas zwabić. Wszelako wierzymy, że na górze przy-gotowali pułapkę. Teraz szybko!

Cicho jak duchy zbiegli po schodach i stanęli przed wejściem do korytarza czarnego jak noc. Chwilę nasłuchiwali, a potem wtopili się w mrok. Skóra na plecach Valerii pokryła się gęsią skórką, gdy zdało się dziewczynie, że lada chwila zatonie w nich miecz. Tylko żelazne palce Conana na jej ramieniu świadczyły o cielesnej obecności towarzyszy. Mniej czynili hałasu niż koty. Ciemność była absolutna. Jedną wyciągniętą dłonią dotykała Valeria ściany, od czasu do czasu wyczuwając drzwi. Korytarz zdawał się nie mieć końca.

Nagle zelektryzował ich dźwięk dobiegający z tyłu. Nowy dreszcz przebiegł Valerię, gdy rozpoznała odgłos, jaki wydają ostrożnie otwierane drzwi. Jacyś ludzie weszli w korytarz za ich plecami. I w tym momencie potknęła się Valeria o ludzką czaszkę, która potoczyła się po podłodze z głośnym stukiem.

- Biegiem! - wrzasnął Techotl z nutą hysterii w głosie i już był daleko, pędząc w dół korytarza niczym duch.

Znów poczuła Valeria, jak unosi ją Conan do góry i wlecze w ślad za oddalającym się przeciwnikiem. Nie lepiej niż ona widział w ciemnościach, ale wiedziony swym instynktem, nie mylił drogi. Bez jego pomocy dawno by upadła albo zderzyła się ze ścianą. Biegli, a za nimi coraz bliżej słyhać było uderzenia stóp ścigających ich ludzi. Nagle Techotl wrzasnął:

- Schody! Za mną! Och, szybko!

Z ciemności wychynęło jego ramię i chwytając dłoń Valerii, pomogło jej utrzymać równowagę,

gdy zachwiała się na jednym ze stopni. Na poły niesiona, na poły ciągnięta, pięła się w górę spiralnych schodów. W pewnym momencie puścił ją Conan i odwróciwszy się, jął nasłuchiwać, mówił mu bowiem słuch i instynkt, że wrogowie siedzą już niemal na ich karkach. A nie wszystkie dźwięki pochodziły od biegnących, ludzkich stóp!

Coś pełzło po schodach, wiło się, szurało, mroząc swą obecnością powietrze. Ciął Conan ogromnym mieczem i poczuł, że przecina ostrze coś, co ciałem mogło być i kością, by zatonać wreszcie w stopniu. Poczł dotyk na stopie, zimny jak muśnięcie mrozu, a potem ciemność w dole rozdarły przerażające uderzenia i konwulsje, i krzyknął człowiek w agonii.

Pomknął Conan w górę i wpadł w drzwi, ku którym wiodły schody.

Techotl i Valeria byli już po drugiej stronie, a gdy dołączył do nich Cymmeryjczyk, Techotl zatrzasnął drzwi i zasunął rygiel - pierwszy rygiel, jaki zauważył Conan, odkąd przekroczyli bramę grodu.

Przecięli dobrze oświetloną komnatę, kiedy zaś ją opuszczali, odwrócił się Conan do tyłu i dostrzegł, że drzwi uginają się i trzeszczą, jakby napierano na nie z wielką siłą. Choć Techotl nie zwolnił ani nie zaniechał ostrożności, zdawał się być pewniejszym siebie. Sprawiał wrażenie człowieka, który dotarł na znajome obszary i wie, że przyjaciele są w zasięgu głosu.

Conan wszelako na powrót obudził w nim przerażenie, gdy zapytał:

- Cóż to było za bydlę, którym ciął na schodach?

- Jakiś Xotalank - odrzekł Techotl, nie oglądając się za siebie. - Mówiłem ci, że sale roją się od nich.

- To nie był człowiek - mruknął Conan. - To coś pełzało i zimne było jak lód. Myślę, że je przeciął na dzwona. Spadło na ludzi podążających z tyłu i chyba zgmiotło jednego w śmiertelnych konwulsjach.

Drgnęła głowa Techotla i spopieląło jego oblicze. Gwałtownie przyspieszył kroku.

- Pełzacz to był! Potwór, którego z katakumb wezwali na pomoc! Czym jest, nie wiemy, aleśmy znajdowali ludzi okrutnie przezeń zmasakrowanych. W imię Seta, pospieszajmy! Jeśli puścili go naszym śladem, gonić nas będzie do samych wrót Tecuhltli!

- Wątpię - mruknął Conan. - Nielicho że go na schodach drasnął.

- Spieszmy! Spieszmy! - jęczał Techotl.

Przemknęli przez kilka rozświetlonych zielono komnat, przekroczyli obszerną salę i zatrzymali się przed gigantycznymi wrotami z brązu.

- Tecuhltli - powiedział Techotl.

3. LUD WIECZNEJ ZEMSTY

Techotl walnął zaciśniętym kułakiem w brązowe wrota i zaraz potem stanął bokiem, by móc zerkać do tyłu na długą sień.

- Ubijano tu ludzi, którzy już za bezpiecznych się mieli - wyjaśnił.

- Czemu nie otwierają? - zapytał Conan.

- Patrzą na nas przez Oko - odrzekł Techotl. - Zaskoczył ich wasz widok. - Podniósł głos i zawołał: - Rozewrzyj bramę, Excelanie! To ja, Techotl, ze mną zaś są przyjaciele z wielkiego świata za lasami!... Otworzą - upewniał sprzymierzeńców.

- Tedy niechaj się lepiej spieszą - rzekł Conan ponuro. - Coś słyszę, pełźnie po korytarzach, tam, przed sienią.

Spopieląło znów oblicze Techotla, który jął bębnić pięściami we wrota, wrzeszcząc - Otwórzcie, głupcy, otwórzcie! Pełzacz nas goni!

Thukł jeszcze i krzyczał, gdy bezszelestnie rozwarły się odrzwia, ukazując wejście przegrodzone ciężkim łańcuchem, sponad którego błyskały ostrza włócznie i czujnie spoglądały srogie oczy. Potem łańcuch opadł i Techotl, gorączkowo wczepiwszy się w ramiona przyjaciół, dosłownie przewlókł ich przez próg. Szybkie spojrzenie, które rzucił Conan przez ramię, nim zatrzasnęły się wrota, ukazało mu mglistą perspektywę sieni, a w jej krańcu niewyraźnie zarysowany węzowy kształt, pełznący wolno i ciężko. Ogromne matowe cielsko wylewało się z drzwi, a odrażający, krwawy łeb chwiał się niepewnie...

Gdy znaleźli się w kwadratowej komnacie, strażnicy zasunęli ciężkie rygle i zabezpieczyli wrota łańcuchem. A wrota owe uczynione były tak, by wytrzymać trudy oblężenia.

Strażników zaś było czterech, tej samej ciemnoskórej i prostowłosej rasy co Techotl, zbrojnych we włócznie i przywieszone u boków miecze. W ścianie obok bramy tkwił skomplikowany system zwierciadeł tak ustawionych, że przez wąską szczelinę w murze wypełnioną krystaliczną substancją można było wyzierać na zewnątrz, nie będąc samemu widzianym. Sądził Conan, że to wspomniane przez Techotla Oko.

Strażnicy z wielkim zdziwieniem spoglądali na przybyszów, nie zadając wszelako żadnych pytań, a i Techotl nic rzec im nie raczył. Poruszał się teraz z taką pewnością siebie, jakby w chwili przekraczania progu spadł zeń płaszcz lęku i niezdecydowania.

- Chodźcie! - pospieszał swych nowych przyjaciół, ale Conan obejrzał się na wrota.

- Co zaś z tymi, którzy nas ścigali? Nie będą bramy szturmować?

Techotl pokręcił głową.

- Wiedzą, że nie w ich mocy rozbić Bramy Orła. Umkną do Kotalanc ze swym pełzającym diabłem. Chodźcie, zawiodę was do władców Tecuhltli.

Jeden ze strażników rozwarł przed nimi drzwi na wprost wrót, którymi przybyli: znaleźli się w korytarzu, który podobnie wszystkim izbom na tym poziomie rozjaśniony był przez Świetliki i grona migających kamieni. Tu wszelako, inaczej niż w pomieszczeniach, przez które wędrowali, nie brakło oznak zamieszkania. Aksamitne tkaniny zwieszały się ze lśniących jaspisowych ścian, bogate kobierce spoczywały na purpurowej posadzce, karła zaś, ławy i sofy z kości słoniowej wyściełane były miękkimi ałasowymi poduchami.

Korytarz kończył się zdobnymi drzwiami, których nie strzegł żaden wojownik. Bez ceregieli pchnął owe drzwi Techotl i wprowadził przyjaciół do obszernej komnaty, gdzie trzydzieści może osób, ciemnoskórych mężów i niewiast, spoczywających na ałasowych łóżach, zerwało się z okrzykami zdziwienia.

Mężczyźni, z wyjątkiem jednego, byli podobni do Techotla, zaś kobietom, lubo ciemnoskórym i dzikookim, nie brakło swego rodzaju mrocznej urody. Odziane były w sandałki, złote staniki i skąpe jedwabne spódnice, przewiązane haftowanymi złociście szarfami; czarne włosy, równo przy-cięte na wysokości ramion, spływały spod srebrnych diademów.

Siedziska z kości słoniowej ustawione na jaspisowym postumencie zajmowała para różniąca się nieco od wszystkich obecnych w komnacie. Olbrzymi mąż o niebywale szerokiej piersi i byczym karku w przeciwieństwie do pozostałych mężczyzn nosił brodę, stalowoczną i gęstą, która opadała niemal do szerokiego pasa. Odziany był w szatę z purpurowego jedwabiu, co za każdym ruchem właściciela innym połyskiwała odcieniem; jeden z szerokich rękawów, podwinięty do łokcia, ukazywał nabite węzlastymi mięśniami przedramię. Skrzyły się klejnoty, którymi usiana była podtrzymująca jego krucze włosy przepaska.

Siedząca u jego boku niewiasta zerwała się ze zdławionym okrzykiem na widok przybyszów i ledwie spojrzawszy na Conana, utkwiała płonący wzrok w Valerii. Była wysoka, gibka - i najpiękniejsza w całej komnacie. Odziana jeszcze oszczędniej niż inne niewiasty, miast spódnicy nosiła po prostu dwa skrawki złotopurpurowej materii, z przodu i z tyłu podtrzymywane pasem, sięgające zaś po-niżej kolan. Staniczek i diadem zdobiły mnogie brylanty. I tylko w jej oczach, jedynej z ciemnoskórego ludu, nie czał się błysk szaleństwa.

Wydawszy okrzyk nic więcej nie rzekła i tylko stała w napięciu, z zaciśniętymi dłońmi, wpatrując się w Valerię.

Mąż na tronie z kości słoniowej ani drgnął.

- Książę Olmeku - ozwał się Techotl, chyląc się w pokłonie i szeroko rozkładając ramiona o zwróconych ku górze dłoniach. - Przywiódłem sprzymierzeńców z ziem za lasami. W Komnacie Tezcoti Płonący Czerep ubił Chicmeka, mego towarzysza...

- Płonący Czerep! - drżący, lękliwy szept przebiegł po izbie.

- A tak! Przybyłem i ujrzałem leżącego z poderżniętym gardłem Chicmeka. I nimem zdążył czmychnąć, dopadł mnie Płonący Czerep, a kiedym nań spojrzeł, krew moja zastygła jak lód i stopniał szpik w moich kościach. Anim mógł walczyć, ani uciekać. Tylko na cios mogłem oczekiwać. I wtedy przybyła ta białoskóra niewiasta i zarąbała go swym mieczem, i patrzcie! - pies to był tylko z Xotalanc, ze skórą wymalowaną na biało, z żywą czaszką ; starożytnego czarnoksiężnika wetkniętą na łeb! Teraz w stu kawałkach leży czerep, a pies, co go nosił, trupem jest tylko!

Nieopisana okrutna uciecha brzmiała w ostatnich słowach i odbiły ją echem niskie, dzikie okrzyki cisnących się wokół słuchaczy.

- To jeszcze nie koniec! - wrzasnął Techotl. - Więcej wam powiem. Kiedym rozmawiał z niewiastą, czterech nas napadło Xotalanków! Jednogom zakłuł - rana zieje w mym udzie, by zaświadczyć, jak okrutny to był bój. Dwóch zabiła ona. Ale mocno nas już przyciskali, gdy ten mąż włączył się do walki i czwartemu łeb rozszczepił! A tak! Pięć szkarłatnych ćwieków wbitych będzie w słup zemsty!

Ukazał wznoszącą się za wywyższeniem czarną hebanową kolumnę. Setki czerwonych punktów pstrzyły jej i wypolerowaną powierzchnię - jasnoszkarłatne łby wielkich miedzianych ćwieków wbitych w czarne drewno.

- Pięć czerwonych ćwieków za pięć xotalańskich żywotów! - radował się Techotl, a okropna uciecha malująca się na twarzach słuchaczy odbierała im ludzki pozór.

- Kim są ci ludzie? - spytał Olmec głosem niskim jak dobiegający z oddali ryk bawołu. Nikt z ludu Xuchotl nie mówił głośno. Było tak, jakby wchłonęli w swe dusze wieczną ciszę pustych komnat i bezludnych sal.

- Jestem Conan, Cymmeryjczyk - odrzekł barbarzyńca krótko. - A ta niewiasta to Valeria z Czerwonego Bractwa, aquilońska piratka. Jesteśmy dezterami z armii na granicach Darfaru, daleko na północy, i pragniemy dotrzeć do wybrzeży.

Kobieta na wywyższeniu poczęła mówić głośno i szybko:

- Nigdy nie dotrzecie do wybrzeża! Nie masz ucieczki z Xuchotl! Resztę żywota spędzicie w tym mieście!

- Co masz na myśli? - warknął Cymmeryjczyk, kładąc dłoń na rękojeści miecza i stając tak, by mieć przed oczyma całą komnatę. - Zali powiadasz, żeśmy więźniami?

- Tego na myśli nie miała - wtrącił Olmec. - Przyjaciółmi waszymi jesteśmy. Nie zatrzymamy was wbrew woli. Atoli lękam się, że pewne okoliczności uniemożliwią wam opuszczenie Xuchotl.

Zerknął na Valerię i szybko opuścił wzrok.

- Ta niewiasta - rzekł - to Tascela, księżniczka Tecuhtlów. Teraz niechaj strawa i jadło zostaną podane naszym gościom, bez wątpienia bowiem są głodni i strudzeni długą drogą.

Ukazał stół z kości słoniowej, przy którym, wymieniwszy ukradkowe spojrzenia, zasiedli awanturnicy. Cymmeryjczyk był pełen podejrzeń: jego srogie błękitne oczy nieustannie omiatały komnatę, a miecz spoczywał na podorędziu. Wszelako zaproszenie do picia i jedzenia rzadko kwitował odmową.

I coraz częściej przyciągała jego wzrok Tascela, która jednak z uporem wpatrywała się w białoskórą towarzyszkę Conana.

Techotl, który strzępem jedwabiu owinął był zranioną nogę, zasiadł do stołu, aby służyć swym przyjacielom, poczytując to sobie najwyraźniej za przywilej i wyróżnienie. Uważnie oglądał jadło i napitek przynoszone w złotych naczyniach i półmiskach, kosztując wszystkiego, nim podał gościom. Gdy jedli, Olmec w milczeniu siedział na swym tronie z kości słoniowej, obserwując ich spod szerokich czarnych brwi. Obok, z łokciami wspartymi na kolanach i podbródkiem w dłoniach, siedziała Tascela. Jej ciemne, tajemnicze oczy płonące osobliwym światłem ani na chwilę nie odrywały się od sprężystej postaci Valerii. Za tronem księżniczki ciemnoskóra, posępna lecz urodziwa dziewczyna powoli poruszała wachlarzem ze strusich piór.

Na strawę składały się egzotyczne owoce, nie znane wędrowcom, lecz smakowite, do picia zaś podano lekkie czerwone wino o nader ostrym posmaku.

- Przybyliście z daleka - ozwał się w końcu Olmec. - Czytałem księgi naszych ojców. Aquilonia dalej leży niż ziemie Stygijczyków i Shemitów, za królestwami Argos i Zingara; Cimmeria zaś jeszcze jest dalej niż Aquilonia.

- Włóczęgowską oboje mamy naturę - odrzekł Conan beztrąsko.

- Atoli jakeście przedostali się przez puszcę, pojąć żadną miarą nie mogę - ciągnął Olmec. - W dniach dawno minionych tysiąc wojów ledwie przebiło się przez jej niebezpieczeństwa.

- Napotkaliśmy po prawdzie kusonogie okropieństwo, słonia rozmiarem przenoszące - rzekł obojętnie Conan, wyciągając przed siebie kielich, który Techotl napełnił z wyraźną przyjemnością - ale kiedyśmy je ubili, żadne więcej nie spotkały nas kłopoty.

Karafka z winem wysunęła się z dłoni Techotla i rozbiła się na posadzce. Spopieliała jego ciemna skóra. Olmec zerwał się na nogi i znać było, że również pozostałych przejęła groza, wydali bowiem niskie sapnięcie lęku i zaskoczenia. Niektórzy opadli na kolana, jakby nogi nie mogły utrzymać ciężaru ciała. Tylko Tascela zachowywała się tak, jakby nic do niej nie docierało. Conan rozglądał się oszołomiony.

- W czym rzecz? - spytał. - Na co się tak gapicie?

- Ty... ty zabiłeś boga-smoka?

- Boga? Smoka ubiłem. Bo niby czemu nie? Zeżreć nas próbował.

- Ale smoki są nieśmiertelne! - wykrzyknął Olmec. - Jeden drugiego zdolny jest pokonać, ale żaden człek nigdy smoka nie ubił! Tysiąc wojów, co pod wodzą naszych przodków przedzierało się do

Xuchotl, nie mogło dać im rady! Na ich łuskach miecze pękały jak gałązki!

- Gdyby przodkowie wasi wpadli na myśl, aby pogrążyć ostrza włóczni w trującym soku Jabłek Derkety - pouczał go Conan z pełnymi ustami - a potem wrazić je w oko albo paszczę, albo inne podobne miejsce, rychło by się przekonali, że nie bardziej smoki są nieśmiertelne niż pierwszy lepszy kawał chodzącego mięsiwa. Ścierwo leży wśród drzew, na samym skraju puszczy. Jeśli wiary nie dajecie, idźcie je obejrzyć.

Olmec pokręcił głową, nie z niedowierzania, ale wielkiego zdziwienia.

- To za sprawą smoków skryli się nasi przodkowie w Xuchotl - rzekł. - Nie poważyli się przebyć równiny i na powrót pogrążyć się w dżungli. A i tak tuziny ich ginęły w paszczach bestii, nim dotarli do miasta.

- Tedy nie wasi przodkowie Xuchotl wznieśli? - spytała Valeria.

- Wielce już był starożytny, gdy po raz pierwszy przywędrowali w te regiony. Jak zaś długo stał, tego nawet jego zwyrodniali mieszkańcy nie wiedzieli.

- Lud twój przybył znad Jeziora Zuad? - pytał Conan.

- A tak. Więcej niż pół stulecia temu plemię Tlazitlan zbuntowało się przeciw stygijskiemu królowi i pokonane w bitwie umknęło na południe. Długie tygodnie wędrowali przez sawanny, pustynie i wzgórza, aż dotarli do wielkiej puszczy. Tysiąc ich było wojów, z niewiastami i dziećmi.

- I w puszczy owej spadły na nich smoki, i wielu porwały na strzępy. I umykał przed nimi lud w gorączce przerażenia, aż dotarł na równinę - w jej środku ujrzał miasto Xuchotl.

- Rozbili obóz pod murami, nie ośmielając się opuszczać równiny, noce bowiem przerażały odgłosami bojów, jakie w głębinach puszczy toczyły potwory. Walczyły ze sobą nieustannie. A przecie nie pojawiały się na równinie.

- Mieszkańcy grodu zamknęli bramy i z murów obsypywali nasz lud deszczem strzał. I równina uwięziła Tlazitlan, jakby pierścień dżungli był ścianą nieprzebitą, albowiem ponowna wyprawa w gęstwiny czystym byłaby szaleństwem.

- Tej nocy przybył potajemnie do obozu niewolnik z miasta, człek ich krwi, co w młodości przebył lasy jako jedyny ocalały z oddziału wojowników, który w lasy owe był się nieopatrznie zapuścił. Smoki pożarły jego towarzyszy, on zaś sam przyjęty został w mury grodu, by wieść żywot raba. Zwał się Tolkemec.

Ogień zapłonął w jego oczach na dźwięk tego imienia, a wielu obecnych splunęło, mamrocząc pod nosem bluźnierstwa.

- Obiecał rozewrzeć naszym wojownikom bramy, a prosił w zamian o to tylko, by wszystkich pojmanyh żywcem w jego oddano ręce.

- Przed świtem otworzył wrota i woje runęli do środka, i komnaty Xuchotl spłynęły czerwienią. Kilka ledwie setek ludzi zamieszkiwało miasto, smętne przeżytki wielkiego niegdyś narodu. Tolkemec gadał, że dawno, dawno temu ze wschodu przybyli, ze Starej Kosali, kiedy to przodkowie ludu, co obecnie zasiedla Kosalę, nadciągnęli z południa i przegnali precz dawnych mieszkańców. Długo wędrowali na zachód, aż znaleźli tę okoloną lasem równinę, którą naówczas zamieszkiwało czarne plemię.

- Z czarnych uczynili niewolników i jęli wznosić gród. Ze wzgórz na wschodzie sprowadzali jaspis i marmur, i lapislazuli, i srebro, złoto, i miedź. Stada słoni dostarczały im kłów. Gdy ukończyli budowę, rabów wycięli w pień. A ich czarnoksiężnicy straszliwej użyli magii, by zapewnić miastu bezpieczeństwo, mocą bowiem nekromancji wskrzesili smoki, co niegdyś żyły w tych regionach i których olbrzymie kości poniewierały się w dżungli. Te kości w ciało odziali i tchnęły w nie życie, i bestie znów kroczyły po ziemi, jak w owych czasach odległych, gdy świat był młody. Ale zaklęcie magów dzierżyło je w puszczy, zabraniając wyłazić na równinę.

- Przez wiele stuleci żył lud Xuchotl w swym mieście, uprawiając pola za murami, dopóki mędracy nie nauczyli się hodować owoców, które ziemi nie potrzebują, lecz pokarm z czystego czerpią powietrza - naówczas pozwolili wyschnąć rowom irygacyjnym i coraz gnuśniejszy wiedli żywot, aż jął ich toczyć rozkład. Wymierającą byli rasą, gdy nasi przodkowie przebili się przez lasy i dotarli na równinę. Nie żyli już wielcy czarnoksiężnicy i lud zapomniał o starożytnej magii. Ni czarami nie potrafili walczyć, ni mieczem.

- Tedy wycięli ich nasi przodkowie, z wyjątkiem setki, którą żywcem oddano w ręce Tolkemeka, co niegdy był ich rabem; przez wiele dni i nocy sale dźwięczały echem ich jęków i skowytów...

- Przez czas jakiś żyli Tlazitlanie w pokoju, rządzeni przez braci Tecuhltliego i Kotalanka, i przez Tolkemeka. Tolkemec wziął dziewczynę z naszego plemienia za żonę, ponieważ zaś otworzył wrota i znał wiele kunsztów Xuchotlan, dzielił władzę nad ludem z braćmi, co i rebelii przywodzili, i ucieczce.

- Przez kilka tedy lat żyli w pokoju, jedząc tylko, pijąc, kochając się i wychowując dzieci. Nie musieli orać pól na równinie, Tolkemec nauczył ich bowiem kunsztu pielęgnowania owych z powietrza rosnących owoców. Prócz tego zagłada Xuchotlan unicestwiła moc zaklęcia, które trzymało smoki w puszczy, i po nocach podchodziły bestie pod same wrota grodu, rycząc straszliwie.

- Równina spłynęła krwią ich. nieustannych bojów i wtedy...

Ugryzł się w język w połowie zdania, ale zaraz podjął opowieść. Mimo to Valeria i Conan poczuli, że opuścił coś, czego, jak uznał, przybysze wiedzieć nie powinni.

- Pięć lat żyli w pokoju. A potem... - oczy Olmeka przez krótką chwilę zatrzymały się na milczącej postaci niewieściej u jego boku - a potem Xotalanc pojął za żonę kobietę, której pożądał i Tecuhltli, i stary Tolkemec. W szaleństwie swym porwał ją Tecuhltli mężowi, a ona poszła z nim chętnie. Na złość Xotalankowi pomagał mu w tym Tolkemec. Zażądał Xotalanc, by zwrócono mu żonę, atoli rada plemienna zadecydowała, że wybór powinien być osławiony niewieście. Zapragnęła pozostać z Tecuhltlim. Gniewny Xotalanc próbował odbić ją siłą i poplecznicy obydwu braci starli się w

Wielkiej Sali.

- Wiele było goryczy i krew polała się po obu stronach. Spór przerodził się w waśń, waśń w otwartą wojnę. Trzy stronnictwa zrodziło owo zamieszanie - Tecuhtliego, Xotalanka i Tolkemeka. Już wcześniej, w czasach pokoju, podzielili byli gród między siebie. I tak Tecuhtli zamieszkiwał zachodnią część miasta, Xotalanc wschodnią, Tolkemec zaś wziął regiony przy południowej bramie.

- Złość, nienawiść i zazdrość zaowocowały przelewem krwi i gwałtem, i morderstwem. Raz dobytą miecz nie mógł już wrócić do pochwy; krew wołała o krew, zemsta natychmiast następowała po okrucieństwie. Tecuhtli walczył z Xotalankiem, a Tolkemec to jednemu pomagał, to drugiemu, zdradzając stronnictwa, gdy tylko było mu to wygodne. W końcu Tecuhtli i jego lud cofnęli się do obszarów przy bramie zachodniej, tu, gdzie teraz siedzimy. Xuchotl ma kształt owalny; Tecuhtli, które wzięło miano od swego księcia, zajmuje całą zachodnią część owego owalu. Zablockowano wszystkie wrota łączące ów kwartał z resztą grodu, pozostawiając po jednych drzwiach tva każdym poziomie, najłatwiejszych do obrony. Potem zszedł lud Tecuhtliego do lochów pod miastem i murem oddzielił od reszty ich część zachodnią, gdzie spoczywają kości starożytnych Xuchotlan i tych Tlazitlan, którzy polegli w czasie sporu. I żył, jak w oblężonym zamczysku, czyniąc na wroga wycieczki.

- I ludzie Xotalanka postąpili podobnie we wschodnich regionach miasta, i ludzie Tolkemeka w południowych. A centralną część grodu nagą pozostawiono i nie zamieszkaną. I stały się owe puste sale i komnaty polem bitwy i obszarem wiecznego zagrożenia.

- Tolkemec z obydwoma klanami wiódł wojny. Demonem był w ludzkiej skórze, gorszym od Xotalanka. Wiele znał tajemnic miasta, o których nigdy przybyszom nie powiedział. Z krypt i katakumb skradł umarłym ich okropne sekrety - sekrety królów starożytnych i magów, o których nie pamiętali nawet ci zdegenerowani Xuchotlanie, których wysiekli nasi przodkowie. Ale cała ta magia nie pomogła mu owej nocy pamiętnej, gdyśmy zdobyli jego twierdzę i wyrznęli w pień jego ludzi. On sam torturowany był przez wiele dni.

Głos Olmeka stał się pieściwym szeptem i nieobecny wyraz zagościł w jego oczach, jakby oglądając ową scenę z lat dawno minionych, doznawał niewysłowionej rozkoszy.

- Ach, podtrzymywaliśmy w nim życie, aż śmierci pragnął jak młodej żony. A potem jeszcze żywego zabraliśmy z izby tortur i cisnęliśmy do lochu, aby zaś szczury zeżarły jego ciało do gołej kości. Wszelako zdołał jakimś sposobem umknąć z owej ciemnicy i powłókł się do katakumb. Tam bez ochyby szczeł, jedyne bowiem wyjście z katakumb jest w Tecuhtli, a z wyjścia tego nigdy się nie wyłonił. Nie znaleziono po prawdzie jego kości i co przesądniejsi z naszego ludu prawią, że jego duch nawiedza krypty po dziś dzień, skowycząc wśród szkieletów. Dwanaście lat temu wyrznęliśmy lud Tolkemeka, ale trwa i sroży się wojna między klanem Tecuhtlów i Xotalanków, i srożyć się będzie, aż padnie ostatni mąż i ostatnia niewiasta.

- Pół wieku temu skradł Tecuhtli żonę Xotalanka. Pół wieku trwa waśń. W czasie jej trwania ja przyszedłem na świat i wszyscy w tej komnacie obecni, z wyjątkiem Tasceli. I mniemam, że umrzemy, nim waśń się skończy.

- I ginącym jesteśmy narodem, jak owi Xuchotlanie wybici przez naszych przodków. Gdy rozpoczynała się woj-na, setki nas były w każdym stronnictwie. A teraz wszystkich Tecuhltłów, prócz tych, co czterech bram strzegą, masz przed sobą - czterdziestu ludzi, oto i cały klan. Ilu jest Xotalanków, nie wiemy, atoli nie mogą być od nas o wiele liczniejsi. Przez lat piętnaście ani jedno nie urodziło się u nas dziecko i ani jednego nie widzieliśmy wśród Xotalanków.

- Giniemy, ale nim sześniemy ostatecznie, wyrzniemy tylu Xotalanków, ilu bogowie pozwolą.

I z blaskiem w szalonych oczach długo mówił Olmec o tej przerażającej wojnie, toczonej w cichych komnatach i mrocznych sieniach - w świetle zielonych klejnotów ognistych, na posadzkach żarzących się ogniem Piekieł i barwionych czasem głębszym szkarłatem: z rozciętych żył. Całe pokolenie zatraciło się w owych jatkach. Dawno nie żył Xotalanc, usieczony w ponurej bitwie na schodach z kości słoniowej. I nie żył Tecuhltli, obdarty żywcem ze skóry przez rozwścieczonych Xotalanków, którzy go pojмали.

Bez wzruszenia opowiedział Olmec o bitwach okropnych w czarnych korytarzach, zasadzkach na kręconych schodach, straszliwych rzeziach. Czerwiejszy, bardziej jeszcze przepastny ogień jawił się w jego głębokich, ciemnych oczach, gdy mówił o mężach i niewiastach żywcem obdzieranych ze skóry, masakrowanych i rwanych na części, o jeńcach przeraźliwie wyjących w izbach tortur. Tak było to wszystko odrażające, że począł mruzczeć nawet barbarzyński Cymmeryjczyk. Nic dziwnego, że drżał Techotl jak liść, lękając się pojmania! A przecie wyruszył, by zabijać, jeśli nadarzy się okazja, wiedziony nienawiścią silniejszą nawet niż strach.

Zaś Olmec mówił dalej, o sprawach mrocznych i tajemniczych, o czarach i magii wykradzonych z czarnej otchłani katakumb, o bestiach niezwykłych wezwanych z ciemności po to, by straszliwych uczynić z nich sprzymierzeńców. Tu przewagę mieli Xotalankowie, we wschodnich bowiem katakumbach spoczywały kości najpotężniejszych czarnoksiężników starożytnego Xuchotl, a z nimi - nieśmiertelne sekrety.

Słuchającą Valerię ogarnęła niezdrowa fascynacja. Waśń stała się przerażającą pierwotną siłą, co niepowstrzymanie pchała lud Xuchotl ku ostatecznej zagładzie. Wypełniała całe ich życie. Trwała, gdy się rodzili. Wierzyli, że trwać będzie po ich śmierci. Swą ufortyfikowaną sadybę opuszczali tylko po to, by skradać się ku Salom Milczenia, dzielącym przeciwne obozy, by zabijać i ginąć. Czasem wracali z wypraw, wiodąc oszalałych jeńców lub przynosząc ponure trofea ze zwycięskich walk. Czasem nie wracali wcale albo wracali tylko ich odcięte członki, które wraza dłoń ciskała przed zaryglowane wrota z brązu.

Upiorny, nierzeczywisty i koszmarny żywot wiedli ci ludzie, odcięci od reszty świata, zamknięci we wspólnej klatce jak wściekłe szczury, co sobie wzajem skaczą do gardeł, skradający się od lat przez mroczne korytarze, by kaleczyć, torturować i zabijać.

Gdy Olmec opowiadał, czuła na sobie Valeria uporczywe spojrzenie Tasceli. Zdawało się, że nie słyszy księżniczka, co mówi brodaty olbrzym. Wyraz jej twarzy, gdy wspomniiał zwycięstwa i klęski, nie odbijał szatańskiej uciechy czy dzikiej wściekłości malujących się na obliczach pozostałych Tecuhltłów. Waśń, która była obsesją jej rodaków, dla niej zdawała się nie mieć znaczenia. Dla Valerii jej powściągliwy chłód bardziej był odrażający niż nagie okrucieństwo Olmeka.

- I nie możemy opuścić miasta - mówił Olmec. - Przez pięćdziesiąt lat nikt go nie opuścił, z wyjątkiem tych... - znów się zająknął, by podjąć po chwili:

- Nawet gdyby nie zagrażały smoki, to i tak my, urodzeni i wychowani w mieście, nie ośmielilibyśmy się go porzucić. Nigdy stopa nasza nie powstała za murami. Nie zwyczajniśmy otwartej przestrzeni i nago słońca. Nie - zrodzeni w Kuchotl, w Xuchotl pomrzemy.

- Cóż - ozwał się Conan - za waszym przyzwoleniem spróbujemy wszelako szczęścia ze smokami. Nic nie obchodzi nas wasza wojna. Ruszymy w drogę, jeśli wskażecie nam bramę zachodnią.

Tascela zacisnęła pięści i jęła coś mówić, ale Olmec jej przerwał:

- Noc się zbliża. A jeśli nocą wyjdziecie na równinę, bez ochyby padniecie łupem smoków.

- Nocąśmy po niej wędrowali i na otwartym spali powietrzu, żadnego jakoś nie widząc - zareplikował Conan.

Tascela uśmiechnęła się ponuro.

- Nie ośmielicie się opuścić Xuchotl!

Conan spojrzał na nią z instynktowną niechęcią: nie patrzyła nań, lecz na Valerię.

- Myślę, że się ośmielą - oświadczył Olmec. - Atoli, Conanie i Valerio, bogowie chyba was zesłali, aby zaś ostatecznie zwycięstwo przypadło Tecuhltlom! Wojna waszym rzemiosłem - czemu tedy nie mielibyście po naszej walczyć stronie? Bogactw mamy pod dostatkiem - drogie kamienie tak pospolite są w Xuchotl, jak brukowce w innych miastach świata. Niektóre przywieźli Kuchotlanie z Kosali. Inne, jak klejnoty ogniste, znaleźli wśród wzgórz na wschodzie. Pomóżcie nam znieść Xotalanków, a tyle dostaniecie kosztowności, ile zdołacie unieść.

- A czy wy pomożecie nam smoki zniszczyć? - spytała Valeria. - Mając łuki i zatrute strzały, trzydziestu mężów zdoła wytrzebić wszystkie smoki w puszczy.

- Tak! - odrzekł Olmec bez namysłu. - Zapomnieliśmy strzelania z łuków przez lata walki wręcz, ale możemy się go na powrót nauczyć.

- Co o tym powiesz? - zwróciła się Valeria do Conana.

- Włóczykijemy bez grosza przy duszy - skrzywił się Cymmeryjczyk. Mogę zabijać Xotalanków równie dobrze, jak innych.

- Tedy zgadzacie się? - wykrzyknął Olmec, a Techotl klepał się po udach z radości.

- Ano. A teraz możebyście komnaty nam pokazali, gdzie godnie moglibyśmy się wywczasować, by jutro ze świeżymi siłami do ubijania przystąpić.

Olmec przytaknął i skinął dłonią, na co Techotl i jedna z niewiast powiedli awanturników

korytarzem, co zaczynał się za drzwiami po lewej stronie jaspisowego wyniesienia. Valeria spojrzała przez ramię i zobaczyła, że Olmec, siedząc na swym tronie, wsparł brodę na potężnym kułaku i spogląda ich śladem. Osobliwy ogień płonął w jego oczach. Tascela szeptała coś do swej posępnej dziewczki, Yasali, która przechyliła się przez ramię księżniczki, zbliżając ucho do samych jej warg.

Korytarz nie był tak szeroki jak inne, którymi już wędrowali, lecz długi. W końcu niewiasta zatrzymała się, otworzyła drzwi i stanąwszy na boku czekała, aż Valeria wejdzie do izby.

- Poczekajże! - warknął Conan. - A gdzie ja śpię?

Techotl ukazał komnatę po drugiej stronie korytarza, o jedne drzwi dalej. Conan zawahał się, rad-widać - wystąpić z jakimś zastrzeżeniem, nim jednak to uczynił, Valeria uśmiechnęła się złośliwie i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Mruknął coś niepochlebnego o kobietach w ogóle i podążył za Techotlem.

W bogatej komnacie, którą mu wyznaczono, zerknął w górę na otwory świetlików. Niektóre na tyle były szerokie, że po wybiciu szyby mógłby się przez nie przecisnąć człek smukłej budowy.

- Czemuż nie przeleżą Kotalankowie po dachach i nie wybiją tych okienek?

- Zbić ich nie można - odrzekł Techotl. - A poza tym, niełatwo wspiąć się na dachy. Większą częścią to kopuły, wieżyce i strome płaszczyzny.

Nie pytany, opowiedział Conanowi o „zaniku” Tecuhltłów. Jak całe miasto, cztery miał kondygnacje i wieże sterczące z dachu. I każdy poziom miał nazwę; w istocie mieszkańcy Xuchotl nadali miano każdej komnacie, sali, schodom, jak w normalnych miastach czyni się z ulicami, placami i dzielnicami. I tak, zaczynając od góry, zwano kondygnacje Poziomem Orła, Małpy, Tygrysa i Węża.

- Kim jest Tascela? - spytał Conan. - Niewiastą Olmeka?

Techotl zadrżał i lękliwie rozejrzał się dokoła, nim rzekł:

- Nie. Jest... Tascela! Była żoną Kotalanka - niewiastą, którą porwał Tecuhltli. Od niej zaczęła się wojna.

- O czym ty gadasz? Ta niewiasta młoda jest i piękna. Zali chcesz mi wmówić, że była czyjąś żoną pół wieku temu?

- A tak! Gotówem przysiąc! Dojrzała była niewiastą, gdy Tlazitlanie wędrowali znad Jeziora Zuad. Pożądał jej król Stygii i konkubinę z niej pragnął uczynić; to dlatego Xotalanc i jego brat wzniesili bunt i zemknęli w pustkowia! Jest czarownicą i posiadała tajemnicę wiecznej młodości.

- A co to znowu znaczy? - spytał Conan.

Techotl znów zadygotał.

- O to mnie nie pytaj. Nie śmiem mówić. Zbyt to przerażające, nawet na Xuchotl!

I kładąc palec na wargach, wymknął się z komnaty.

4. WOŃ CZARNEGO LOTOSU

Valeria odpięła pas z mieczem i rzuciła go na łożo. Zauważyła, że drzwi wyposażone są w rygle i zapytała przewodniczkę, dokąd prowadzą.

- Te - ukazała niewiasta drzwi po lewej i prawej stronie - wiodą do sąsiednich komnat. A te - wyciągnęła dłoń w kierunku okutych miedzią wrót na wprost wejścia z korytarza - do sieni, z której schody prowadzą do katakumb. Nie lękaj się wszelako, tu żadna krzywda spotkać cię nie może.

- Kto mówi o lęku? - warknęła Valeria. - Chcę jeno wiedzieć, w jakim to porcie rzucam kotwicę. Nie, nie życzę sobie, byś spała w nogach mego łoża. Nie zwyczajnam, by mi służyono - w każdym bądź razie, by niewiasty mi służyły. Wolnaś jest.

Gdy Valeria została sama, zasunęła rygle na wszystkich drzwiach, zrzuciła buty i wygodnie rozciągnęła się na łożu. Wyobraziła sobie Conana, który to samo uczynił w komnacie po drugiej stronie korytarza, ale kobieca próżność rysowała przed jej oczyma inny obraz - zachmurzonego, mamroczącego plugastwa Cymmeryjczyka, co ponuro rzuca się na swe samotne łożo. Grymas złośliwej uciechy wykrzywił jej oblicze, gdy jęła zapadać w sen.

Na zewnątrz zapanowała noc. W salach Kuchotl zielone klejnoty ogniste lśniły jak oczy prehistorycznych kotów. Gdzieś między mrocznymi wieżycami wiatr zawodził jak dusza potępiona. Przez mroczne zakamarki tajemnicze postaci poczynały się skradać na kształt bezcielesnych cieni.

Nagle Valeria ocknęła się ze snu. W mglistej szmaragdowej poświacie ognistych klejnotów ujrzała pochyloną nad sobą niewyraźną postać. Przez krótką chwilę zdziwienia sądziła Valeria, że jest zjawą częścią snu, jaki śniła. A zdawało się jej, że tak jak w rzeczywistości, spoczywa na łożu, nad nią zaś pulsuje i drży gigantyczny czarny kwiat, kwiat tak ogromny, że przysłaniający cały sufit. Jego egzotyczny aromat przenikał jej istotę, sprowadzając rozkoszne, zmysłowe omdlenie, co zarazem czymś mniej i czymś więcej było niż snem. Tonęła w wonnych falach bezcielesnej szczęśliwości, gdy coś dotknęło jej twarzy. Tak nadwrażliwe były jej przeniknięte narkotykiem zmysły, że owo lekkie muśnięcie odebrała jak wstrząsający cios, który brutalnie przywrócił jej pełną przytomność. I wtedy nie olbrzymi kwiat ujrzała, a pochyloną ciemnoskórą niewiastę.

Natychmiast gniew przyszedł i działanie. Kobieta odwróciła się zwinnie, nim jednak zdołała uniknąć, Valeria zerwała się na nogi i chwyciła ją za ramię. Obca walczyła przez chwilę jak dzika kocica, a potem czując, że miażdży ją przeważająca siła napastniczki, poddała się nagle. Valeria odwróciła ją i ująwszy podbródek wolną dłonią, zmusiła pojmaną niewiastę do spojrzenia sobie prosto w oczy. Była to ponura Yasala, służka Tasceli.

- Co, u stu piorunów, chciałaś mi uczynić? Co tam dzierzysz w dłoni?

Niewiasta nic nie rzekła, próbując wszelako odrzucić ów przedmiot. Valeria wykręciła jej ramię i na posadzkę spadł wielki egzotyczny czarny kwiat na łodydze koloru jaspisu, tak duży jak głowa kobiety, ale maleńki w porównaniu z gigantem, którego ujrzała Valeria we śnie.

- Czarny lotos! - wycedziła teraz przez zęby. - Kwiat, co sprowadza głęboki sen. Próbowalaś mnie oszołomić! Udałoby ci się, gdybyś przypadkiem nie dotknęła mej twarzy jego płatkami. Dlaczegoś to uczyniła? O co ci chodzi?

Niewiasta trwała w ponurym milczeniu, z przekleństwem tedy na ustach odwróciła ją Valeria, zmusiła do ukłęknięcia i jęła wykręcać jej rękę za plecami.

- Gadaj, alboć ramię wyrwę ze stawu!

Yasala wiała się z bólu, lecz jedyną odpowiedzią było gwałtowne kręcenie głową.

- Wszetecznicza! - Pchnęła ją Valeria na podłogę i płonąącym wzrokiem patrzyła na rozciągniętą postać. Lęk i wspomnienie rozjarzonych oczu Tasceli obudziły w niej prawdziwie tygrysi instynkt samoobrony. Zepsuci byli owi ludzie, zdolni do najpotworniejszego zwyrodnienia. Ale wyczuwała Valeria coś, jakiś sekret odrażający, gorszy nawet od zwykłego zbrodzenia... Ogarnęła ją fala lęku i odrazy na myśl o tym osobliwym mieście. Jego mieszkańcy ani normalni nie byli, ani przy zdrowych zmysłach; poczyniła wątpić, czy w ogóle są ludźmi. Szaleństwo tliło się w każdym oczach - z wyjątkiem okrutnych, tajemniczych oczu Tasceli, które kryły prawdę o sprawach straszliwszych niż szaleństwo.

Uniosła głowę i jęła czujnie nasłuchiwać. Komnaty Kuchotl spowijała cisza, jakby w istocie martwe to było miasto. Zielone klejnoty kąpały izbę w koszmarnej poświacie i w ich blasku oczy niewiasty leżącej na podłodze błyskały złowieszczą. Przeszedł Valerię dreszcz paniki, goniąc precz z jej srogiej duszy ostatnią szczyptę litości.

- Czemuś chciała mnie otruć? - syknęła, chwytając w garść długie czarne włosy kobiety i odchylając jej głowę, aż miała przed sobą jej posępne oczy okolone długimi rzęsami. - Czy to Tascela cię wysłała?

Nie było odpowiedzi. Valeria zaklęła jadowicie i szybko wymierzyła jej dwa policzki. Dźwięk uderzeń poniósł się po komnacie, ale Yasala nawet nie pisnęła.

- Czemu nie wrzeszczysz? - z wściekłością pytała Valeria. - Lękasz się, że ktoś usłyszy? Kogo się boisz? Tasceli? Olmeka? Conana?

Yasala nie odpowiadała. Skuliła się, patrząc na swą prześladowczynię zabińczym wzrokiem bazyliuszka. Uporne milczenie podnieca szła. Valeria odwróciła się i zerwała garść sznurków z pobliskiej draperii.

- Ponura dziwko! - wycedziła przez zęby. - Zerwę teraz z ciebie te łańchy, gołą przywiążę do wyrka i sieć będę tak długo, aż wyznasz, po coś przysłała i kto cię wysłał!

Yasala nie zaprotestowała ani słowem i nie próbowała się bronić, gdy Valeria spełniała pierwszą

część swej groźby z furią, potęgowaną tylko uporem pojmanej. Później przez jakiś czas dobiegał z komnaty tylko świst i trzask gęsto splecionych jedwabnych sznurków, smagających nagą skórę. Yasala nie mogła poruszyć ani krzepko skrępowanych rąk, ani nóg, lecz w rytm uderzeń jej ciało wiło się i podrygiwało, a głowa chwiała się z boku na bok. Zatopiła zęby w dolnej wardze i w pewnej chwili pociekł z jej ust strumyczek krwi. Ale nie wydała okrzyku.

Dźwięk, jaki rozlegał się w komnacie, gdy giętkie sznurki uderzały w drżące ciało, nie był zbyt głośny, ale po każdym zamachu nowe czerwone smugi przecinały ciemną skórę Yasali. Valeria siekła z całą siłą swego okrzepłego w bojach ramienia, tak bezlitośnie, jak mógłby to czynić tylko człek przywykły do życia, w którym ból i męka są na porządku dziennym, z taką cyniczną naturalnością, jaką r kobieta okazuje kobiecie. I dlatego duchowo i cieleśnie bardziej cierpiała Yasala, niż gdyby bicz w męskiej, nawet najsilniejszej, znajdował się dłoni.

I ów właśnie niewieści cynizm złamał w końcu Yasalę.

Cichy jęk wyrwał się z jej ust i Valeria zatrzymała uniesione ramię, odrzucając z czoła spotniały pukiel złotych włosów.

- I co, zaczniesz wreszcie gadać? - spytała. - W potrzebie mogę ci całą noc poświęcić!

- Litości! - wyszeptała kobieta. - Powiem!

Valeria rozcięła krępujące Yasalę więzy i pomogła jej stanąć na nogach, ta jednak natychmiast opadła na łożo i spoczęła w pozycji półleżącej, wspierając się na ramieniu. Wiła się z bólu za każdym razem, gdy jej pokiereszowana skóra stykała się z okrywającą łożo materią. Drżały jej wszystkie członki.

- Wina! - jęła błagać wyschniętymi ustami, ukazując rozdygotaną dłońią stojący na stoliku z kości słoniowej złoty puchar. - Daj mi się napić. Słabam jest z bólu. Zaraz ci wszystko opowiem.

Valeria podniosła puchar, Yasala zaś niepewnie wstała, by go przyjąć. Ujawszy naczynie w dłoń, podniosła je do ust - i całą zawartość wychlusnęła w oblicze Aquilonki. Valeria utraciła równowagę i cofnęła się, potrząsając zarazem głową i przecierając oczy pięściami, by usunąć z nich szczypiącą ciecz. Przez dokuczliwą mgłę ujrzała, jak mknie Yasala przez izbę, odsuwa rygiel, otwiera okute miedzią drzwi i ginie w korytarzu. Natychmiast za nią ruszyła, z mieczem w dłoni i morderstwem w sercu.

Ale Yasala miała przewagę i biegła z rozpaczliwą szybkością kobiety, którą niedawna chłosta doprowadziła do granic histerycznego szaleństwa. Minęła zakręt korytarza dobrych kilkanaście kroków przed Valerią, gdy zaś ta dotarła do owego miejsca, ujrzała przed sobą pustą sień, w której przeciwległym końcu ziały czernią otwarte drzwi. Niósł się od nich wilgotny zaduch pleśni i Valeria zadrżała. Musiały to być drzwi prowadzące do katakumb.

Yasala skryła się wśród umarłych.

Podeszła Valeria do owych wrót i ujrzała kamienne schody, rychło ginące w zupełnej czerni. Szyb

najwidoczniej wiódł wprost do podziemi miasta i nie miał wyjść na pośrednie poziomy. Lekki przeszedł dziewczynę dreszcz na myśl o tysiącach martwych ciał, które leżą w owych kryptach, spowite w swe zetlałe szaty. Nie miała zamiaru wędrować po omacku po kamiennych stopniach. Yasala te podziemne tunele знаła niewątpliwie na pamięć.

Odwracała się właśnie, zbита z tropu i wściekła, gdy z ciemności dobiegł rozpaczliwy krzyk. Z wielkiej niósł się odległości, ale słowa, choć słabe, były zrozumiałe, głos zaś należał do kobiety.

- Och, pomocy! Pomocy, w imię Seta! Ahhh! - ucichł w oddali i zdało się Valerii, że słyszy upiorny chichot.

Krew w żyłach Valerii zastygła. Co stało się Yasali tam, w nieprzeniknionych ciemnościach? Bo nie było wątpliwości, że to ona krzyczała. Jakie wszelako nieszczęście ją spotkało? Czy któryś z Xotalanków czaił się na dole? Olmec zapewniał, że mur odgranicza katakumby pod Tecuhtli od pozostałych, mur zbyt potężny, by się przezeń przebić. A nadto ów chichot nie ludzka zapewne wydała istota.

Pospieszyła Valeria korytarzem, nie zatrzymując się, by zamknąć drzwi wiodące do krypt. Dotarła do swej komnaty i zasunęła rygiel. Naciągnęła buty, przypięła pas z mieczem, zdecydowana udać się do komnaty Cymmeryjczyka i skłonić go - jeśli żył jeszcze - do podjęcia próby ucieczki z tego diabelskiego grodu.

Otwierała drzwi na korytarz, gdy zadźwięczał w salach przeciągły jęk agonii. Potem słychać było tupot biegnących nóg i szcęk mieczy...

5. DWADZIEŚCIA CZERWONYCH ĆWIEKÓW

Dwóch wojowników siedziało w wartowni na piętrze znanym jako Poziom Orła. Ich niedbałe pozy nie świadczyły wszelako o zaniechaniu zwykłej czujności. Atak z zewnątrz na wielkie brązowe wrota był możliwy w każdej chwili, choć od wielu lat żadna ze stron nie podjęła takiej próby.

- Cudzoziemcy mocnymi są sprzymierzeńcami - rzekł pierwszy. - Myślę, że jutro ruszy Olmec na wroga.

Mówił tak, jak mógłby mówić żołnierz na wojnie. W maleńkim świecie Xuchotl każda garstka walczących była armią, a puste sale między dwoma twierdzami - krainą, o którą prowadzono kampanię.

Drugi zastanawiał się przez chwilę.

- Weźmy, że z ich pomocą uda nam się Xotalanków zniszczyć - rzekł wreszcie. - I co potem, Katmeku?

- Jak to? - odpowiedział Xatmec. - Wbijemy gwoździe za nich wszystkich. Jeńców spalimy, obedrzemy ze skóry i poćwiartujemy.

- Ale potem? - nalegał pierwszy. - Jak już ich wyrzniemy? Dziwne to będzie, ot, tak, nie mieć z kim walczyć. Całe moje życie walczyłem z Xotalankami i nienawidziłem ich. Co pozostanie, gdy waśń się skończy?

Xatmec wzruszył ramionami. Jego myśli nigdy nie sięgały dalej, niż ku zabijaniu nieprzyjaciół.

Nagle obaj mężowie zeszywnieli na dźwięki dobiegające spoza drzwi.

- Do wrót, Xatmeku! - syknął jeden. - Ja popatrzę przez Oko...

Xatmec z mieczem w dłoni przyłgął do wrót z brązu, natężając słuch, jego zaś kompan zerknął w zwierciadło i zerwał się jak oparzony: ludzie kłębili się po drugiej stronie, posępni ciemnocy ludzie z mieczami w zębach - i palcami wetkniętymi w uszy! Jeden z nich, przyodziany w pióropusz, przytknął do ust piszczałkę i gdy Tecuhtli zaczął wykrzykiwać ostrzeżenie - zagrał.

Głos zamarł w gardle strażnika, gdy cienki, niesamowity pisk przeniknął metalowe drzwi i dotarł do jego uszu. Xatmec opadł na wrota jakby tknięty paralizem, a jego twarz zeszywniała w wyrazie przerażającego zasłuchania. Drugi woj, dalej będący od źródła dźwięku, zdał sobie przecie sprawę z niebezpieczeństwa, z potwornego zagrożenia, jakie niósł ów demoniczny poświst. Czuł, że niesamowite tony jak niewidoczne palce szarpiał sploty jego mózgu, wypełniając go uczuciem obcym i szaleńczym. Potwornym, rozdzierającym, zda się, duszę wysiłkiem, złamał zaklęcie i nieswoim głosem wyskrzeczwał ostrzeżenie.

I wtedy zmieniła się muzyka, stając się nieznośnym, przeszywającym gwizdem, który ciął bębunki jak nóż. Xatmec jęknął w nagłej męce i zniknęła z jego oblicza resztką normalności, jak płomień świecy zdmuchnięty porywem wiatru. W swym szaleństwie rozczepił łańcuchy, otworzył wrota i z uniesionym mieczem runął do sali, nim jego kompan mógł go powstrzymać. Poraził go natychmiast tuzin kling, a nad jego zmasakrowanym ciałem przetoczyła się nawałnica Xotalanków, którzy wpadli do wartowni z krwiożerczym, zawodzącym rykiem, co tysięcznym echem napełnił izby Tecuhtli.

Z duszą rozdygotaną i oszołomioną skoczył pozostały przy życiu strażnik, by przyjąć ich nastawioną włócznią. Przerazenie potęgą magii, której przed chwilą był doświadczył, przysło, gdy pojął w oszołomieniu, że oto wrogowie są w Tecuhtli. Ostrze jego włóczni zatoneło w ciemnoskórym brzuchu i nic już więcej nie widział, albowiem świszczący miecz zatoczył w powietrzu łuk i rozplątał mu czaszkę. Dzikoocy woje wciąż napływali do wartowni.

Wrzaski i szczęk stali obudziły Conana. Zerwał się z łoża zupełnie rozbudzony, ze swym olbrzymim mieczem w dłoni i w mgnieniu oka dopadł drzwi, otwierając je na oścież. Wyjrzał na korytarz akurat w chwili, gdy z obłędem w oku przebiegał obok Techotli.

- Xotalankowie! - ryczał nieludzkim głosem. - Są w środku!

Conan ruszył korytarzem i zaraz spotkał Valerię, która wyskoczyła ze swej komnaty.

- Co się dzieje, u diabła? - zawołała.

- Techotl gada, że wdarli się Xotalankowie - odrzekł pospiesznie. - I na to mi wygląda!

We troje wpadli do izby tronowej, gdzie widok ujrzeni, który trudno byłoby wyśnić w najobłędniejszym krwawym koszmarze. Dwudziestu ludzi, mężów i niewiast, z rozwianym czarnym włosiem i połyskującymi na piersiach wizerunkami białych czaszek, zwarło się w boju z ludem Tecuhtli. Kobiety obydwu klanów równie szaleńczo walczyły jak mężczyźni, i posadzka komnaty usiana już była martwymi ciałami.

Olmec, nagi poza przepaską na biodrach, toczył bój przy swym tronie, a gdy wkraczali awanturnicy, nadbiegła ze swej komnaty Tascela, dzierżąc w dłoni miecz.

Xatmec i jego kompan nie żyli, nie było tedy nikogo, kto mógłby rzec Tecuhtlom, jaką drogą wdarli się do twierdzy wrogowie. I nie było nikogo, kto mógłby powiedzieć, co ich skłoniło do tej szaleńczej akcji.

Ale straty Xotalanków były większe, położenie zaś bardziej desperackie, niż mogliby Tecuhtle przypuszczać. Okaleczenie pokrytego łuskami sprzymierzeńca, unicestwienie Płonącego Czerepu i nowina, wydyszana przez umierającego wojownika, że para tajemniczych białoskórych zabijaków wzmocniła siły nieprzyjaciół, przywiodły ich na grań rozpacz i obudziły dziką determinację, by zginać, śmierć zadając swym odwiecznym wrogom.

Tecuhtle, otrząsając się z pierwszego, wywołanego zaskoczeniem szoku, co zepchnął ich do komnaty tronowej i kilka kosztował żywotów, walczyli z równą furją, a strażnicy z niższych pięter pędzili jak szaleni, by rzucić się w wir potyczki. Bój to był na śmierć i życie, bój wściekłych wilków, ślepy, bezlitosny, do ostatniego tchnienia. Jak fala przetaczał się od drzwi do tronu, w błyskach siekających ciała mieczów, w fontannach krwi, w tupocie nóg po purpurowej posadzce, na której wykwiatało coraz więcej jasnoczerwonych plam. Trzaskały stoliki i karła z kości słoniowej, padały na ziemię aksamitne draperie, by tam nasiąkać szkarłatem. Krwawa to była kulminacja krwawego półwiecza i wszyscy prawdę ową pojmowali.

Ale koniec mógł być tylko jeden. Tecuhtle, dwakroć niemal liczniejsi, ukrzepili się znacznie, widząc, że włączają się do boju ich jasnokórzy sprzymierzeńcy.

A ci uczynili to na kształt huraganu niweczącego młody las. Trzech pospołu najtęższych Tlazitlan ustępowało Conanowi siłą i żaden nie mógł się z nim równać szybkością. W owej wirującej, rozkołysanej gęstwie ludzkiej poruszał się niczym błyskawica i siał spustoszenie jak szary wilk wśród stada wiejskich kundli, pozostawiając za sobą stosy złachmanionych ciał.

Obok, z lśnieniem w oku i uśmiechem na wargach, walczyła Valeria. Przenosząc siłą zwykłego męża, nieporównanie wszelako była groźniejsza. Miecz jak żywa istota zwijał się w jej dłoni. Gdy Conan powalał przeciwników brutalnym ciężarem i mocą swych ciosów, łamiąc włócznie, łupiąc czaszki i otwierając brzuchy, Valeria oszałamiała i ogłupiała wrogów szermierczym kunsztem, nim pozbawiła ich żywota. Raz za razem gotujący się do uderzenia wojownik padał z przekłutą tętnicą, nim zdołał opuścić swe ciężkie ostrze. Conan, którego olbrzymia postać zda-wała się piętrzyć nad pobojowiskiem, szedł jak burza, waląc na lewo i prawo, ale Valeria poruszała się jak zwodniczy fantom. Zmieniała nieustannie pozycje, kłuła i siekła. I wciąż chybiały wymierzone w nią miecze, a

uderzający nimi woje umierali z przebitym sercem lub gardłem, mając w uszach jej szyderczy śmiech.

Ani płeć, ani stan uczestników nie liczyły się w tym szalonym boju. Nim Conan i Valeria włączyli się do walki, pięć już niewiast xotalańskich leżało na podłodze z poderżniętymi gardłami, a gdy ktokolwiek - mężczyzna czy kobieta - osuwał się w gęstwę depczących nóg, zawsze czał się nóż, gotów przesiec bezbronną szyję, albo obuta w sandał stopa, chętna skruszyć spoczywającą na posadzce głowę.

Od ściany do ściany, od drzwi do drzwi przetaczały się fale rozszalałego boju, zalewając także sąsiednie komnaty. I w końcu na nogach stali już tylko Tecuhltle i para białoskórych awanturników. Martwo i tępo patrzyli na siebie ci, co przeżyli, i pozór sprawiali żalosnych strzępów ludzkości, ocalonych z piekła ostatecznej zagłady całego świata.

Stali na szeroko rozstawionych nogach, dzierżąc w dłoniach poszczerbione i poczerwieniałe miecze, i krew ciekła z ich ramion, gdy patrzyli na siebie ponad zmasakrowanymi ciałami przyjaciół i wrogów. Nie mieli w płucach dość powietrza, by wrzask podnieść, ale z ust ich wyrwało się szalone zwierzęce wycie. I nie był to ludzki krzyk triumfu, a wycie zgrai wściekłych wilków, przemykających między ciałami ofiar.

Conan chwycił Valerię za ramię i przyciągnął ją do siebie.

- Dostałaś pchnięcie w łydkę - burknął.

Spojrzała w dół, po raz pierwszy świadoma kłującego bólu w nodze. Snadź umierający jakiś wojownik, leżąc już na posadzce, zatopił w niej sztylet.

- Sameś skrwawiony jak rzeźnik - roześmiała się.

- Nie jest mi nic. Ot, draśnięcia tu i tam, troszczyć się nie warto. Ale tę łydkę trza zawinąć.

Olmec nadszedł przez pobojowisko i ze swoimi szerokimi ramionami spryskanymi krwią i czarną brodą posklejaną w szkarłatne pierścienie wyglądał jak upiór. Czerwieniły się jego oczy jak odbicie płomienia w czarnej wodzie.

- Zwyciężyliśmy! - skrzeknął nieprzytomnie. - Waśń skończona! Psy z Xotalanc martwe! Och, bogowie, zdałby się jeden żywy, żeby go ze skóry obedrzeć! A przecie rad patrzę w ich trupie oblicza. Dwadzieścia martwych psów! Dwadzieścia czerwonych ćwieków na czarną kolumnę!

- Zajmijże się lepiej rannymi - mruknął Conan, odwracając się odeń. - Hej, dziewczyno, niechaj obejrzę tę nogę.

- Poczekaj! - Niecierpliwie strząsnęła jego dłoń. Ogień walki wciąż gorzał w jej duszy. - Zali możemy być pewni, że wszyscy tu leżą? Co, jeśli inni z drugiej zaatakują strony?

- Nie podzieliliby klanu przed taką wyprawą - rzekł Olmec, kręcąc głową. Znać, że począł mu wracać rozsądek. Bez swej purpurowej togi wyglądał wszelako bardziej na odrażającą drapieźną

bestię niż na księcia. - Gotówem głowę postawić w zakład, żeśmy ich wszystkich wycięli. Mniej ich było, nimem sądził, i desperacja musiała ich ogarniać. Ale jakim sposobem dostali się do Tecuhtli?

Podeszła do nich Tascela, wycierając miecz o nagie udo. W dłoni trzymała przedmiot, który podjęła obok ciała strojnego w pióropusz wodza Xotalanków.

- Fletnia szaleństwa - rzekła. - Mówił mi jeden wojownik, że Xatmec rozwarł Kotalankom wrota i padł pod ciosami, gdy wdarli się do wartowni. Wojownik ów nadszedł z wewnętrznych sal, w sam czas, by być owego zajścia świadkiem i usłyszeć ostatnie tony muzyki, co - jak powiada - zmroziła samą jego duszę. Tolkemec zwykł był opowiadać o podobnej fletni, która, przysięgali pono Kuchotlanie, ukryta była w katakumbach z kośćmi pewnego starożytnego maga. Jakimś sposobem odnalazły ją psy xotalańskie i odkryły jej sekret.

- Ktoś winien iść do Xotalanc i przekonać się, czy człek jakiś nie pozostał przy życiu - rzekł Conan. - Sam pójdę, jak dostanę przewodnika.

Olmec zerknął na resztki swego ludu. Dwudziestu tylko przeżyło, a i z tych znaczna część leżała jęcząc na posadzce. Tascela jedyną była z Tecuhtlów, która z boju nie wyniosła najmniejszej rany, choć walczyła równie dziko jak wszyscy.

- Kto pójdzie z Conanem do Xotalanc? - zapytał Olmec.

Przykuszykał Techotl. Rana w jego udzie otwarła się na nowo i świeże cięcie krwawiło na piersi.

- Ja pójdę!

- Nie pójdziesz - sprzeciwił się Conan. - I ty też nie, Valerio. Wnet twa noga pocznie sztywnieć.

- Tedy ja pójdę - zgłosił się wojownik, bandażujący swe zranione ramię.

- Dobrze, Yanath. Idź z Cymmeryjczykiem. I ty też, Topalu. - Ukazał Olmec jeszcze jednego człeka, lekko tylko poszkodowanego. - Ale pierwej pomóżcie dźwignąć ciężko rannych na łoża. Tam ich opatrzymy.

Uczyniono to szybko. Gdy pochylali się nad niewiastą ogłuszoną ciosem maczugi, broda Olmeka musnęła ucho Topala. Conan pomyślał, że księżę szepce coś wojownikowi, pewności wszelako nie miał. Parę chwil później wszyscy trzej opuszczali izbę.

W drzwiach obejrzał się Conan i jatki istne zobaczył, stopy martwych ciał na płomienistej podłodze, płataninę ciemnoskórych kończyn zastygłych w chwili największego wysiłku, twarze zeszywniałe w maski nienawiści, szkliste oczy spoglądające na zielone klejnoty ogniste, co kąpały całą tę upiorną scenę w nierzeczywistej, szmaragdowej poświacie. Wśród martwych, jak ludzie w transie, bezcelowo wędrowali żywi. Conan usłyszał, że Olmec nakazuje jednej z niewiast opatrzenie Valerii; obie udały się do sąsiedniej komnaty, przy czym Valeria lekko kuląła.

Ostrożnie dwóch Tecuhtlów wiodło Conana przez salę za wrotami z brązu, a potem przez szereg komnat pławiących się w zielonkawym świetle. Nikogo nie ujrzeli i żaden dźwięk nie dotarł do ich

uszu. Gdy przybyli do Wielkiej Sali, co z północy na południe przecinała miasto, zwiększyli jeszcze ostrożność, świadomi, że wkraczają oto na terytorium wroga. Ale kolejne izby ukazywały jeno pustkę ich uważnym oczom i po przebyciu szerokiego, mrocznego korytarza stanęli przed wrotami z brązu, podobnymi wielce do Bramy Orła w Tecuhtli. Pchnęli je lekko, a one jęły się cicho otwierać pod ich palcami.

Z przerażeniem zapatrzyli się Tecuhtle na oświetlone zielono komnaty. Od pięćdziesięciu lat nikt z ich ludu nie wkraczał do tych sal inaczej niż jako więzień, przeznaczony okropnej zagładzie. Nie było straszliwego losu dla mieszkańców zachodniej twierdzy, niż dostać się do Xotalanc. Koszmar pojmania nawiedzał ich sny od najwcześniejszego dzieciństwa. Owe wrota z brązu były dla Yanatha i Topała bramą Piekieł.

Skuleni jęli się cofać z bezrozumnym lękiem w oczach, odsunął ich tedy Conan i wkroczył do Xotalanc.

Bojaźliwie ruszyli za nim. Przeszując próg, dziko rozglądali się wokół. Ale ciszę zakłócały tylko ich przyspieszone oddechy.

Weszli do kwadratowej wartowni, identycznej z podobnym pomieszczeniem za Bramą Orła w Tecuhtli, z której również się wiodła do izby będącej odpowiednikiem komnaty tronowej Olmeka. Zajrzał Conan do owej sieni, omiół wzrokiem dywany, sofy i draperie, i jął uważnie nasłuchiwać. Nie usłyszał żadnego hałasu, izby wydawały się puste. Przestał już wierzyć, że w Xuchotl są jeszcze jacyś żywi Xotalankowie.

- Chodźmy - mruknął i wkroczył do sieni.

Nie uszedł daleko, gdy uświadomił sobie, że podąża za nim tylko Yanath. Obejrzał się i zobaczył Topała zastygłego w pozie wyrażającej najwyższe przerażenie: wyciągnął ramię, jakby w obronie przed nadciągającym niebezpieczeństwem, i rozszerzonymi oczyma, z hipnotycznym wręcz napięciem, wpatrywał się w coś, co wystawało zza sofy.

- Co się dzieje?

Wtedy także zobaczył i poczuł lekkie mrowienie skóry między swymi olbrzymimi ramionami. Potworny łeb wystawał zza kanapy, gadzi łeb, szeroki jak łeb największego krokodyla. Długie szabliste kły zwieszały się nad dolną szczęką, ale był w owej paszczy jakiś nienaturalny bezwład i szkiły się odrażające ślepia.

Conan zajrzał za sofę. Martwy wąż tam leżał, tak ogromny, że równego mu nie widział w swych wędrówkach. Wiało odeń stęchlizną i chłodem ziemskich głębin i trudno było rzec, jakiego jest koloru, zmieniał bowiem odcień w zależności od kąta, pod którym się nań patrzyło. Ogromna rana ziejąca w karku zdradzała przyczynę śmierci bestii.

- To Pełzacz! - wyszeptał Yanath.

- To samo bydlę, którym ciął na schodach - burknął Conan. - Po tym, jak goniło nas do Bramy

Orła, musiało tu się na powrót przywlec, żeby zdechnąć. Jak też panowali nad nim Xotalankowie?

Tecuhltle zadrżeli i pokręcili głowami.

- Wezwali go z czarnych tuneli pod katakumbami. Posiedli tajemnice nie znane Tecuhltlom.

- Cóż, martwy jest, a jakby mieli więcej podobnych, to bez ochyby pociągnęliby je ze sobą do Tecuhltli. Idziemy!

Deptali mu po piętach, gdy szedł przez sień i napierał na obite srebrem drzwi w jej przeciwległym końcu.

- Jeśli nikogo nie znajdziemy na tym piętrze - powiedział - to zejdziemy na niższe. Przerujemy Xotalanc od dachu po katakumby. Jeśli Xotalanc przypomina Tecuhltli, wszystkie izby na tym poziomie będą oświetlone...co, u diabła!?

Weszli do obszernej komnaty tronowej, podobnej do tej w Tecuhltli. Takie samo było w niej jaspisowe podium i tron z kości słoniowej, takie same sofy, dywany i draperie na ścianach. Nie było tylko czarnej kolumny pokrytej czerwonymi punktami, ale coś innego przypominało o ponurej waśni.

Za podwyższeniem wisiały na ścianie rzędy szklanych półek, a z owych półek setki wybornie zachowanych ludzkich głów patrzyły na osłupiałych intruzów nieruchomymi, obojętnymi oczami, tak jak musiały patrzeć przez nie wiedzieć ile miesięcy i lat.

Topal mamrotał przekleństwa, ale Yanath stał cicho i tylko w jego szeroko rozwartych oczach potężniały ognie szaleństwa. Conan zmarszczył brwi, świadom, że spokój duchowy Tlazitlan na włosku zwykle wisi.

Nagle Yanath wyciągnął w stronę upiornych trofeów drżący palec.

- To głowa mego brata! - mrucał. - A to młodszy brat mego ojca! A za nimi najstarszy syn mojej siostry!

Niespodziewanie zaczął łkać: miał suche oczy, lecz chrapliwy, głośny szloch wstrząsał całą jego postacią. I nie odrywał wzroku od głów. Płacz stawał się przeraźliwy, potem przerodził się w okropny piskliwy śmiech i wreszcie wrzask nie do zniesienia. Yanath postradał zmysły.

Conan położył mu dłoń na ramieniu i jakby dotyk ów wyzwolił całe szaleństwo duszy, Yanath zawył i zwinął się w miejscu, rażąc w Conana swym mieczem. Cymmeryjczyk odparował cios, a Topal próbował chwycić ramię Yanatha. Wymknął mu się szaleniec i tocząc pianę z ust wraził ostrze w ciało kompana. Topal osunął się z jękiem, Yanath zaś wirował przez chwilę w obłądnym tańcu, a potem podbiegł do półek i skrzeczając bluźnierczo rąbał je swym mieczem.

Skoczył nań Conan z tyłu, pragnąc go zaskoczyć i rozbroić, w czas jednak odwrócił się szaleniec i wyjął jak dusza potępiona, runął na Cymmeryjczyka. Ten zaś widząc, że obłądu Yanatha nie da się opanować, zszedł mu z drogi, a gdy mijał go rozpedzony Tecuhltl, zadał cios, co obojczyk przerąbał i pierś. I padł martwy nieszczęśnik obok swej umierającej ofiary.

Conan pochylił się nad Topalem i zobaczył, że ten niemal ostatnie wydaje już tchnienie. Nie było nawet po co próbować tamowania krwi, która tryskała ze straszliwej rany.

- Koniec z tobą, Topalu - burknął Conan. - Chcesz, bym od ciebie słowo jakie zaniósł twoim?

- Pochyl się niżej - wykrztusił Topal, a Conan usłuchał... i mgnienie później chwycił go za przegub, gdy Topal zadał mu w pierś pchnięcie swym sztyletem.

- Na Croma! - zaklął Conan. - Zaliś i ty oszalał?

- Olmec rozkazał - wysapał umierający. - Nie wiem dlaczego. Kiedyśmy rannych kładli na łoża, szepnął mi, bym cię ubił, gdy będziemy wracać do Tecuhtli... - I umarł z imieniem swego klanu na ustach.

Przez chwilę patrzył nań Conan w oszołomieniu. Cała ta sprawa trąciła obłędem. Czyżby uległ mu również Olmec? Czy wszyscy Tecuhtle szaleńsi byli, niż przypuszczał? Wzruszył ramionami i przeszedłszy sień, przestąpił wrota z brązu, pozostawiając trupy Tecuhtlów pod strażą martwych spojrzeń setek głów rodaków.

Nie potrzebował przewodnika w drodze powrotnej. Jego prymitywny instynkt kierunku wiódł go bezbłędnie szlakiem, który przebyli. Szedł równie ostrożnie jak przedtem, nie popuszczając miecza z dłoni, i groźnymi oczyma przenikał każdy zacieniony kąt i zakamarek; nie duchów usieczonych Xotalanków teraz się obawiał, lecz swych niedawnych sprzymierzeńców.

Minął Wielką Salę i wkraczał właśnie do komnat po jej drugiej stronie, gdy usłyszał, że coś się przed nim porusza - coś, co sapało i jęczało, i posuwało się z szuraniem i potykaniem. Chwilę później ujrzał człeka, który pełzł ku niemu po ognistej posadzce - a pełznąć, pozostawiał za sobą szeroki krwawy ślad. Był to Techotl, i oczy jego już zachodziły mgłą; między zaciśniętymi palcami krew nieprzerwanym strumieniem wyciekała z głębokiej rany na piersi.

- Conanie! - wydał zdławiony okrzyk. - Conanie! Olmec porwał złotowłosą niewiastę!

- To dlatego kazał Topalowi mnie zakłuć! - mruknął Conan, klękając obok męża, który - jak mówiło doświadczone oko Cymmeryjczyka - umierał. - Nie jest Olmec tak szalony, jakem myślał.

Błądzące palce Techotla wczepiły się w ramię Conana. W zimnym, nieczułym i odrażającym życiu Tecuhtlów jego podziw i przyjaźń dla przybyszów z dalekiego świata stworzyła ciepłą, ludzką oazę, budząc w nim iskrę prawdziwego człowieczeństwa, której całkowicie brak było jego rodakom, z uczuć znającym jeno nienawiść, żądzę i sadystyczne okrucieństwo.

- Próbowałem się przeciwzić. - Głos Techotla brzmiał gulgocząco i bąbelki czerwonej piany pękały na jego ustach. - Ale mnie ciął. Myślał, że umarłem... a ja odpełzłem. Och, Secie, jak długo pełzł w mej własnej krwi! Strzeż się, Conanie! Olmec może zastawić na ciebie pułapkę! Zabij go! To bestia! Weź Valerię i umykaj! Lasu się nie lękaj. Olmec i Tascela łągali o smokach. Dawno się wzajem wytrzebiły, ostały jeno najmocniejsze. Od tuzina lat tylko był jeden. Jeśliś go ubił, nic w puszczy ukrzywdzić cię nie może. Olmec go czcił jak boga; z ludzi czynił mu ofiary, najstarszych i

najmłodszych pętał i z murów ciskał. Pospieszaj! Olmec wziął Valerię do Komnaty...

Głowa Techotla jąła się pochylać. Umarł, nim opadła na posadzkę.

Conan skoczył na nogi, a jego oczy rozjarzyły się jak węgle. Takie tedy były zamysły Olmeka, który pierwiej użył cudzoziemców do rozbicia nieprzyjaciół! Można się było spodziewać, że coś podobnego wyroi się w duszy czarnobrodego zwyrodnialca.

Zapominając o ostrożności, szybko ruszył Cymmeryjczyk ku Tecuhitli. Pospiesznie rachował dawnych sprzymierzeńców. Tylko dwudziestu jeden, w tej liczbie Olmec, przeżyło szatański bój w komnacie tronowej. Od tego czasu umarło trzech, co pozostawiało siedemnastu wrogów, z którymi należało się liczyć. W swojej furii czuł się Conan na siłach samotnie z całym sprawić się klanem.

Ocknął się w nim wszelako wrodzony instynkt dziczy i ujął w karby bojowy szal. Przypomniawszy sobie ostrzeżenie Techotla o pułapce. Bardzo było prawdopodobne, że poczynił do niej książę przygotowania na wypadek, gdyby Topal nie wywiązał się z powierzonej sobie misji. A jeśli tak, to musiał założyć, że powróci Cymmeryjczyk tą samą drogą, jaka poszedł do Xotalanc.

Conan zerknął w okienko, pod którym akurat przechodził, i ujrzał przyćmione migotanie gwiazd. Nie poczynały jeszcze blednąć w przedświcie. Ileż wydarzeń widziała ta krótka noc?

Zboczył ze swojego szlaku i kręconymi schodami zszedł na niższe piętro. Nie wiedział, gdzie są drzwi wiodące do twierdzy na tym poziomie, ale miał pewność, że je znajdzie. Nie miał natomiast pojęcia, jak sforsuje zamki, bo co do tego, że wrota będą zamknięte i zaryglowane - choćby z siły półwiecznego przyzwyczajenia - nie żywił najmniejszych wątpliwości. Nie pozostawało mu wszakże nic innego, jak spróbować tej drogi.

Z mieczem w dłoni pospieszał bezgłośnie przez labirynt mrocznych lub rozjaśnionych zielonkawą poświatą izb i sal. Czuł, że blisko już jest Tecuhitli, gdy jakiś dźwięk sprawił, że zastygł w miejscu. Bez trudu rozpoznał ów dźwięk - człowiek próbował krzyczeć zakneblowanymi ustami. Źródło hałasu było przed nim, gdzieś z lewej strony. W śmiertelnie cichych izbach nawet cichy odgłos niósł się daleko.

Poszedł za okrzykami, które powtórzyły się kilkakrotnie. I w końcu przez uchylone drzwi ujrzał osobiwą scenę. Na posadzce komnaty wznosiła się niewysoka konstrukcja z żelaza przypominająca koło katowskie, do niej zaś przykrępowana była postać gigantycznego męża, którego głowa spoczywała na poduszce ze stalowych szpikulców. Ich ostrza już czerwieniły się od krwi z przekłutego w wielu miejscach skalpu. Głowę spowijał rodzaj upręży, tak jednak założonej, że skórzany pas nie stanowił ochrony przed szpikulcami. Ową uprząż cienki łańcuch łączył z urządzeniem podtrzymującym wielką żelazną kulę nad włochatą piersią jeńca. Jak długo pozostawał nieszczęśnik nieruchomo, kula wisiała w miejscu. Wystarczyło jednak, by ból powodowany ostrymi kolcami zmusił go do podniesienia głowy, a kula opadała gwałtownie o kilka cali. W końcu obolałe mięśnie karku przestały utrzymywać głowę w tej nienaturalnej pozycji, a męka stalowej poduszki stanie się nie do zniesienia... Wtedy kula skruszy go na miazgę, powoli i niechybnie. Ofiara była zakneblowana, a znad knebla wielkie czarne wole oczy dziko patrzyły na męża w drzwiach, który stał w milczącym oszołomieniu. Albowiem człkiem na kole był Olmec, książę Tecuhitlów.

6. OCZY TASCELI

- Czy musiałaś aż do tej ciągnąć mnie komnaty, by nogę opatrzeć? - niecierpliwie spytała Valeria.
- Nie mogłaś tego równie dobrze zrobić w izbie tronowej?

Siedziała na łożu wyciągnawszy przed siebie zranioną nogę, którą tecuhltlańska kobieta przed chwilą skończyła spowijać jedwabnym bandażem. Obok Valerii leżał jej krwawy miecz.

Zmarszczyła brwi. Niewiasta spełniła swój obowiązek cicho i sprawnie, ale nie podobało się Aquilonce ani pieszczotliwe, lepkie dotknięcie smukłych palców, ani wyraz jej oczu.

- Resztę rannych także przeniesiono do innych komnat - odrzekła niewiasta miękką mową kobiet tecuhltlańskich, co wszelako nie świadczyła ani o ich miękkości, ani łagodności. Parę chwil wcześniej widziała Valeria tę samą niewiastę przebijającą serce kobiecie xotalańskiej i wyszarpującą oczy ранego Xotalanka.

- Ciała ubitych będą znosić do katakumb - dodała - bo duchy mogłyby zemknąć do komnat i tam zamieszkać.

- Wierzysz w duchy? - spytała Valeria.

- Wiem, że duch Tolkemeka wędruje po katakumbach - odrzekła z drżeniem. - Widziałam go kiedyś, gdy przysiadła w krypcie u kości martwej królowej. Przeszedł mimo, a postać miał starca o rozwianej białej brodzie i włosach, i oczach, co świeciły w ciemnościach. To był Tolkemec; widziałam go byłem jeszcze za życia, kiedy, dzieckiem będąc, przypatrywała się jego męce.

Głos jej stał się lęklwym szeptem:

- Wyśmiewa się z tego Olmec, ale wiem, że duch Tolkemeka mieszka w katakumbach! Gadają, że to szczury ogryzają z ciała kości świeżo zmarłych - nie szczury, ale duchy to czynią! Kto wie...

Cień padł na łoże i urwała, spoglądając do góry. Po-dążyła za jej wzrokiem Valeria i ujrzała wpatzonego w siebie Olmeka. Z dłoni, piersi i brody zmył ksiązę krew, ale nie przywdział swej szaty i jego olbrzymie ciemnoskóre ciało i potężne członki zdawały się emanować siłą zwierzęcą z samej swej natury. Jego mroczne głębokie oczy płonęły pierwotnym blaskiem, a palce szarpiące stalowoczną brodę świadczyły o podnieceniu.

Znacząco spojrział Tecuhltl na niewiastę, która natychmiast powstała i wymknęła się z izby... Przystępując próg odwróciła głowę i posłała Valerii spojrzenie pełne cynicznej złośliwości i obleśnego szyderstwa.

- Licho sprawiła się dziewczka - rzekł ksiązę, podchodząc do łoża i pochylając się nad opatrunkiem.
- Niechaj no zerknę...

Z szybkością zadziwiającą u męża jego postury porwał miecz i odrzucił na środek komnaty. A potem chwycił Valerię w swe tytaniczne ramiona.

Choć szybki i nieoczekiwany był to ruch, niemal go uprzedziła, sztylet bowiem znalazł się w jej dłoni i morderczo mierzył w gardło napastnika. Dzięki raczej szczęściu niż zręczności zdołał uchwycić ją za przegub i poczęli się zмагаć. Walczyła pięściami, stopami, kolanami, zębami i pazurami, z całą mocą sprężystego ciała, z całym kunsztem, jaki posiadała w czasie wielu lat wędrowania i wojowania, na lądzie i na morzu. Nic to nie pomagało w obliczu jego brutalnej siły. Zaraz w pierwszej chwili utraciła sztylet i wnet potem poczuła, że w żaden sposób nie może przynieść uszczerbku gigantycznemu napastnikowi.

Wciąż gorzały jego dzikie czarne oczy. Ich wyraz budził w Valerii wściekłość, potęgowaną jeszcze sardonicznym uśmieszkiem, wyrzeźbionym, rzekłbyś, na jego owłosionych wargach. Te oczy i ten uśmiech mówiły o całym okrutnym cynizmie, co kipiał w duszach ludzi owej zdegenerowanej rasy, i po raz pierwszy w życiu Valeria zlekła się mężczyzny. Walczyć z nim, to jak borykać się z jakąś potężną pierwotną siłą: jego żelazne ramiona niweczyły wszelkie jej wysiłki z łatwością, która słała fale paniki przez serce Aquilonki. Nieczuły zdawał się na każdy ból, jaki udawało się jej zadać. Tylko raz zareagował - gdy zatopiła białe zęby w jego nadgarstku, aż krew poczęła płynąć - otwartą dłonią uderzył ją w skroń. Zobaczyła iskry przed oczyma, a głowa opadła jej na ramię.

W czasie szamotaniny pękła jej bluza, tedy z zimnym okrucieństwem przejechał po jej nagich piersiach swą gęstą, szorstką brodą i gładka skóra podeszła krwią, a krzyk bólu i furii wyrwał się z ust dziewczyny. Bezcelowy był jej desperacki opór: zmiażdżona, rozbrojona i zdyszana, przyciśnięta do łoża patrzyła nań gorejącymi oczyma jak pojmana w paść tygrysa.

Chwilę później pospiesznie opuszczał komnatę, niosąc ją na rękach. Nie stawiała oporu, ale płonący wzrok dowodził, że nie przestawała o nim myśleć. Nie krzyczała, wiedziała bowiem, że nie ma Conana w zasięgu głosu, a myśl o tym, że którykolwiek z Tecuhtlów mógłby sprzeciwić się księciu, wydawała się jej nedorzeczna. Ale dostrzegła, że Olmec poruszał się skrycie, odwracając wciąż głowę, jakby spodziewał się usłyszeć odgłosy pogoni. I nie wracał do komnaty tronowej. Wyszedł drzwiami przeciwnymi do tych, w których się pojawił i minawszy kolejną komnatę, podążał korytarzem. Gdy przekonała się, że księżę obawia się jednak, iż ktoś zaprotestuje przeciw porwaniu, odrzuciła głowę do tyłu i wrzasnęła na całe gardło.

Została skarcona policzkiem, który na poły ją oszołomił, i Olmec przyspieszył kroku, wpadając w ciężki trucht.

Ale echo powtórzyło jej okrzyk i odwróciwszy głowę, ujrzała Valeria przez łzy i wirujące przed oczyma gwiazdy, że kuszyka za nimi Techotl.

Olmec odwrócił się z warknięciem i ująwszy dziewczynę pod jedno ze swych ogromnych ramion, dźwiżył ją w niewygodnej dla niej i niezbyt dostojnej pozycji, choć wiła się i kopała jak dziecko w daremnym proteście.

- Olmeku! - krzyknął Techotl. - Nie możesz być aż takim psem, żeby się na to poważyc. To kobieta Conana! Pomogła nam wysiec Xotalanków i...

Bez słowa zacisnął Olmec wolną dłoń w potężny kułak i powalił rannego wojownika do swoich stóp, pozbawiając go zmysłów. Pochylił się, nie zwracając najmniejszej uwagi na szamotaninę i

pomstowanie pojmanej, i dobywszy z pochwy oręż Techotla, wraził go w pierś nieszczęśnika. Potem odrzucił miecz i ruszył korytarzem.

Nie widział, że spoza draperii spoziera nań z ciekawością ciemne niewieście oblicze. Zniknęło po chwili, a Techotl poruszył się i jęknął. Z trudem powstał na nogi i zataczając się, jął wykrzykiwać imię Conana.

Osiągnąwszy kres korytarza, Olmec zbiegł po spiralnych schodach z kości słoniowej. Minał kilka izb i zatrzymał się w końcu w przestronnej komnacie, której drzwi skryte były pod ciężkimi gobelinami - wszystkie, z wyjątkiem jednych: brązowych wrót przypominających do złudzenia Bramę Orła na najwyższym poziomie.

Wielce był poruszony, gdy je ukazywał:

- To jedne z wrót prowadzących do Tecuhtli. Nie strzeżone pierwszy raz od lat pięćdziesięciu. I nie musimy ich już strzec, bo przestał istnieć Xotalanc!

- Dzięki Conanowi i mnie, ty szatański łotrze! - szyderczo warknęła Valeria, drżąc z wściekłości i wywołanego swym położeniem wstydu. - Zdradziecki psie! Conan gardło ci za to poderżnie!

Olmec nie pokwapił się nawet, by wyrazić swą wiarę, że Conan - zgodnie z wyszeptanym wojownikowi rozkazem - sam gdzieś spoczywa z przeciętą szyją. Zbyt doskonały był jego cynizm, by mogły go zainteresować jej myśli bądź sądy. Pożerał ją swymi gorejącymi oczyma, które szczególnie długo zatrzymywały się tam, gdzie spod postrzępionych szat wyzierały smugi białego, gładkiego ciała.

- Zapomnij o Conanie - powiedział brutalnie. - Olmec jest panem Xuchotlu. Kotalanc nie istnieje. Koniec z walką. Resztę żywota na picciu wina spędzimy i na miłości. Pierwej się napijmy!

Opadł na stół z kości słoniowej i przemocą usadził ją sobie na kolanie. Wyglądał jak ciemnoskóry satyr z białą nimfą w ramionach. Nie bacząc na plugastwa, którymi go obsypywała, krzepko dzierżył jej kibić jedną ręką, gdy drugą sięgał po stojący na stole roztruchan.

- Masz, pij! - rozkazał, przyciskając naczynie do jej ust, choć jak mogła, odsuwała głowę.

Trunek pryskał na wszystkie strony, szczypał ją w język, spływał na obnażone piersi.

- Gościowi nie w smak twe wino, Olmeku - ozwał się chłodny, sardoniczny głos.

Księżę zeszywniał i lęk pojawił się w jego płonących oczach. Powoli odwrócił swą wielką głowę, by ujrzeć Tascelę, co w niedbałej pozie, z dłonią na kształtnym biodrze, stała w drzwiach. Valeria wykręciła się w żelaznym uścisku Olmeka, a gdy jej wzrok napotkał gorące spojrzenie Tasceli, poczuła na plecach chłodne mrowienie.

Tej niezwyklej nocy dumna dusza Valerii tonęła w natłoku nowych doświadczeń. Wcześniej nauczyła się bać mężczyzny; teraz poznawała lęk przed niewiastą.

Olmec siedział nieruchomo i jęła szarzyć jego ciemna skóra. Tascela wyjęła zza pleców drugą rękę i ukazała niewielkie złote naczynie.

- Obawiałam się, że nie zasmakuje Valerii twoje wino, Olmeku - mruknęła księżniczka - tym przyniosła nieco swego. To samo jest, które przybyło tu ze mną z nad Jeziora Zuad - czy pojmujesz, Olmeku?

Krople potu wystąpiły nagle na czoło olbrzyma. Zwiotczały jego mięśnie i Valeria, wyrwawszy się z objęć, odgrodziła się odeń stołem. Lecz choć rozsądek radził jej zmykać z izby, osobliwa jakaś fascynacja nie pozwoliła tego uczynić i pozostała, w napięciu obserwując zajście.

Tascela szła ku księciu chwiejnym, rozkołysanym krokiem, co sam z siebie był szyderstwem. Jej głos brzmiał delikatnie i pieściwie, ale oczy nie przestawały płonąć. Smukłe palce jęły gładzić jego brodę.

- Samolubnyś jest, Olmeku - mówiła śpiewnie. - Gotówes był zatrzymać naszego pięknego gościa tylko dla siebie, choć wiedziałes, że pragnę ją zabawić. Wiele masz sobie do wyrzucenia, Olmeku.

Na mgnienie maska opadła: błysnęły dziko jej oczy, grymas wykrzywił twarz, dłoń zaś, wczepiwszy się konwulsyjnie w jego brodę, z zadziwiającą siłą wyrwała wielką przygarść włosów. Ów pokaz nadludzkiej siły nie był wszelako bardziej przerażający niż wybuch piekielnej furii, co się kryła pod gładką powłoką.

Niepewnie porwał się Olmec na nogi i ryczał, chwiejąc się jak niedźwiedź, a jego ogromne dłonie zwierzały się i rozwierały.

- Dziwko! - jego grzmiący głos wypełnił całą izbę. - Wiedzmo! Diablico! Tecuhtle winni cię byli ubić pół wieku temu! Znikaj! Zbyt wilem od ciebie znosił! Ta białoskóra dziewczka moja jest! Zbieraj się stąd, nim cię zakłuję!

Księżniczka roześmiała się i cisnęła w jego twarz krwawy kłak. Śmiech jej bardziej był bezlitosny niż uderzenie stali o stal.

- Kiedyś inaczej mówiłes, Olmeku - kpiła. - Kiedyś, w młodości swej, prawileś mi słowa miłości. A tak, kochankiem mym niegdyś byłes, wiele lat temu, a kochając - spałes w mych ramionach pod zaklętym lotosem. I tym sposobem złożyłes w mych dłoniach łańcuch, co czyni z ciebie niewolnika. Wiesz, że nie możesz mi się przeciwzić. Wiesz, że wystarczy, bym spojrzała w twoje oczy z ową siłą tajemną, którą dał mi niegdy stygijski kapłan, a bezwolny się stajesz. Pamiętasz ową noc pod czarnym lotosem, co kołysał się nad naszymi głowami, choć nie muskał go ziemski wiatr; na nowo czujesz ów aromat nie z tego świata, co spowił cię jak obłok i razem uczynił. Nie zdolnyś ze mną walczyć. Niewolnikiem mym jesteś tak teraz, jak i owej nocy - i będziesz nim po kres żywota, Olmeku z Kuchotl!

Głos jej opadł do szeptu i był jak szmer strumyka podążającego przez zalaną światłem gwiazd ciemność. Pochyliła się tuż nad księciem i swe rozwarte szeroko wąskie palce wsparła na jego olbrzymiej piersi. Pokryły się mgłą oczy Olmeka i jego wielkie dłonie zwisły bezwładnie.

Z okrutnym, złośliwym uśmiechem Tascela uniosła naczynie i przytknęła je do ust księcia.

- Pij!

Bezmyślnie wypełnił rozkaz. I natychmiast mgła zniknęła z jego oczu, ustępując miejsca furii, zrozumieniu i okropnemu lękowi. Rozchylił wargi, ale nie wydał żadnego dźwięku. Przez chwilę chwiał się na miękających kolanach, a potem jak zmięty łachman opadł na posadzkę.

Jego upadek wyrwał Valerię z odrętwienia. Odwróciła się i ruszyła do drzwi, ale z szybkością, co zawstydziłaby skaczącą panterę, znalazła się przed nią Tascela. Valeria uderzyła pięścią, całą siłą swego sprężystego ciała wkładając w ów cios, który męża rozciągnąłby bez przytomności na ziemi. Ale Tascela uchyliła się płynnie i chwyciła nadgarstek Aquilonki. Chwilę później uwięziła lewą rękę dziewczyny i przytrzymując obie ręce jedną dłonią, spokojnie skrępowwała je sznurem wyciągniętym zza paska.

Valeria była pewna, że tej nocy przeżyła już ostateczne upokorzenie, ale jej wstyd, iż pozwoliła się pojmać Olmekowi, był niczym wobec uczuć, które teraz miały jej gibkim ciałem. Zawsze miała skłonność do pogardy wobec przedstawicielek swej własnej płci; przytłoczył ją teraz fakt, że spotkała oto inną kobietę, która dała jej radę jak dziecku. Prawie się nie broniła, gdy pchnęła ją Tascela w krzesło i przeciągnąwszy związane dłonie między kolanami, przytwierdziła do krzyżaka.

Obojętnie przestąpiwszy ciało Olmeka, Tascela podeszła do wrót z brązu i odsunęła rygle. Za drzwiami otwierał się korytarz.

- Jest z niego wejście - rzekła, po raz pierwszy zwracając się do Valerii - do komnaty, co w dawnych czasach służyła za izbę tortur. Kiedyśmy się wycofali do Tecuhtli, większą część narzędzi zabraliśmy ze sobą, ale było tam jedno urządzenie zbyt ciężkie, by je poruszyć. Wciąż w dobrym jest stanie. Teraz, myślę, przydatnym się okaże.

Olmec pojał i ogień przerażenia zapłonął w jego oczach. Podeszła doń Tascela i rzekła, ujmując księcia za włosy:

- Na pewien tylko czas jest sparaliżowany. Może słyszeć, myśleć i czuć - taak, wybornie może czuć.

I uczyniwszy to dwuznaczne spostrzeżenie, ruszyła ku drzwiom, ciągnąc gigantyczne cielsko z łatwością, która sprawiła, że oczy Valerii omal nie wyskoczyły z orbit. Wyszła na korytarz, pewnie zmierzając ku jednemu z drzwi. Zniknęła w nich wraz ze swym jeńcem i po chwili dobiegł z izby szcęk żelaza.

Valeria cicho zaklęła i poczęła się szarpać. Daremnie; sznur najwyraźniej nie był do rozerwania.

Tascela powróciła samotnie, a z izby tortur dobiegł zduszony jęk. Zamknęła drzwi, ale nie zasunęła rygla. Obce jej były przyzwyczajenia, równie obce jak inne ludzkie instynkty i uczucia.

Valeria siedziała w otępieniu, obserwując niewiastę, w której smukłych dłoniach spoczywało - jak doskonale zdawała sobie z tego sprawę - jej przeznaczenie.

Tascela chwyciła w garść jej złote włosy i odchyliwszy głowę Aquilonki obojętnie patrzyła w jej twarz. Ale lśnienie jej ciemnych oczu nie było obojętne.

- Spotka cię wielki zaszczyt - rzekła. - Zostałaś wybrana, by przywrócić Tasceli młodość. Och, dziwi cię to! Wiem, że młody jest mój wygląd, ale przez me żyły pełznie ospały chłód nadciągającej starości, którego doświadczałam już po tysiącokroć. Jestem stara, tak stara, że nie pamiętam swego dzieciństwa. Ale byłam kiedyś młodą dziewczyną i kochał mnie kapłan ze Stygii, i dał mi sekret nieśmiertelności i młodości wiecznej. Potem umarł, pono struty. Alem żyła w mym pałacu nad Jeziorem Zuad i omijały mnie lata. I w końcu jął mnie pożądać król Stygii, a mój lud wzniecił bunt i przywiódł mnie w te strony. Olmec zwie mnie księżniczką, alem nie jest z królewskiej krwi. Czymś więcej jestem niż księżniczką - jestem Tascelą, której młodość twa własna pyszną młodość przywróci!

Język Valerii przysechł do podniebienia. Wyczuwała tu tajemnicę mroczniejszą niż najstraszniejsze zwyrodnienie, jakiego się mogła spodziewać.

Wiedźma rozwiązała dłonie Aquilonki i postawiła ją na nogi. Nie lęk przed przemożną siłą, drżmiącą w członkach księżniczki, czynił z Valerii bezwolną, drżącą ofiarę.

Dokonały tego płonące, hipnotyczne, przerażające oczy Tasceli.

7. TEN, KTÓRY NADCHODZI Z CIEMNOŚCI

- Żebym tak został Kushytą!

Conan patrzył na przykrępowanego do żelaznego koła męża.

- Co, u diabła, na tym robisz?

Niezrozumiałe dźwięki dobiegały zza knebla, szarpnął go tedy Conan, co wyrwało z ust więźnia ryk przerażenia, czyn ów bowiem sprawił, że opadła w dół żelazna kula i jąła niemal dotykać szerokiej piersi.

- Na Seta, bądź ostrożny! - błagał Olmec.

- A to niby dlaczego? - spytał Conan. - Zali myślisz, że troskam się, jaki los cię spotka? Chciałbym jeno dość mieć czasu, żeby tu pozostać i zobaczyć, jak ów kawał żelaza flaki z ciebie wyciska. Ale się spieszę. Gdzie Valeria?

- Uwolnij mnie! - nalegał Olmec. - Wszystko ci powiem.

- Najpierw gadaj.

- Nigdy! - Masywne szczęki księcia zacisnęły się w wyrazie uporu.

- Dobrze. - Conan rozsiadł się na pobliskiej ławie. - Sam ją znajdę po tym, jak z ciebie miazga ostanie. Mniemam, że mógłbym rzecz ową przyspieszyć, tym oto czubkiem miecza kręcąc ci w uchu - dodał, wyciągając oręż w kierunku głowy Olmeka.

- Czeka! - Słowa jeły płynąć wartkim strumieniem ze spopieliałych warg więźnia. - Tascela mi ją odebrała. Zawszem był jeno kukłą w jej rękach.

- Tascela? - warknął Conan i splunął. - Plugawa...

- Nie, nie! - wysapał Olmec. - Gorzej jest, niż myślisz. Tascela jest stara - kilkaset ma lat. Przedłuża swe życie i przywraca młodość, czyniąc ofiarę z młodej, pięknej niewiasty. Jeden to z powodów, dla których tak niewielu w klanie pozostało. Wyssie z Valerii esencję życia i rozkwitnie nową siłą i urodą.

- Wrota są zaparte? - spytał Conan, próbując kciukiem ostrze swego miecza.

- Tak! Ale wiem, jak się do Tecuhtli dostać. Tylko ja i Tascela znamy tę drogę, a ona myśli, że jest bezradny, ty zaś - ubity. Uwolnij mnie, a przysięgam, że pomogę uwolnić Valerię! Bez mej pomocy nie dostaniesz się do Tecuhtli, bo choćbyś torturą wydarł mi sekret, to i tak nie potrafisz zeń skorzystać. Wypuść mnie! Podkradniemy się do Tasceli i zgładzimy ją, nim czary zdoła wezwać na pomoc - nim utkwi w nas wzrok. Starczy nóż z tyłu ciśnięty. Dawnom już powinien był takim ją ubić sposobem, ale się lękał, że bez jej pomocy ulegniemy Kotalankom. I ona też potrzebowała mej pomocy: tylko dlatego pozwoliła mi żyć tak długo. Teraz już nie potrzebujemy się wzajem i jedno musi zginąć. Przysięgam, że gdy zgładzimy wiedźmę, odejdziesz z Valerią w pokoju. Lud Tecuhtłów słuchać mnie będzie, gdy zginie Tascela.

Conan pochylił się i przeciął powrozy więżące księcia, ten zaś ostrożnie wysliznął się spod wielkiej kuli i powstał na nogi, trzęsąc głową jak byk i mamrocząc przekleństwa, gdy macał swój skłuty skalp. Stojąc ramię przy ramieniu imponujący obraz pierwotnej siły tworzyli obaj mężowie. Olmec był równie rostry jak Conan, lubo cięższy; coś wszelako było w nim odrażającego, coś szatańskiego i potwornego, i korzystnie odbijał odeń Cymmeryjczyk swą ostrą, zwartą twardością. Zrzucił był pokrwawione strzępy bluzy i stał w pełnej chwale swych wspaniałych mięśni. Ramiona, tak szerokie jak bary Tecuhtla, wyraźniej przecie miał zarysowane, a potężna pierś kształtnym łukiem związana była ze smukłą, gibką talią, nic nie mającą wspólnego z tęgim, topornym brzuchem Olmeca. Mógłby być wykutym w brązie posągim pierwotnej siły.

Jeśli Conan był postacią ze świtu ludzkości, to Olmec - pokracznym, posępnym kształtem z jej przedświtu.

- Prowadź! - nakazał Conan. - I trzymaj się przede mną. Nie wierzę ci więcej niż bykowi ciągniętemu za ogon!

Ruszył tedy przed nim Olmec, lekko poszarpując swą skudłaconą brodę. Nie wiódł Conana do wrót z brązu, pewien, że zarygłowała je Tascela, lecz do jednej komnaty na obrzeżu Tecuhtli.

- Tajemnicę tę skrywano przez pół wieku - rzekł. - Nie znał jej nasz klan i nie odkryli

Xotalankowie. Sam Tecuhtli zbudował owo sekretnie przejście, ubijając potem rabów, co mu w tym pomagali. Lękał się, że może zostać odcięty od własnej dziedziny za sprawą złości Tasceli, której miłość ku niemu rychło przerodziła się w nienawiść. Ale ona odkryła tajemnicę i zaparła przed nim owe drzwi pewnego dnia, gdy umykał po nieudanej wyprawie. Pojmali go tedy Xotalankowie i żywcem obdarli ze skóry. Kiedyś, gdym ją śledził, ujrzałem, jak wkracza do Tecuhtli tą drogą i takem poznał sekret.

Przycisnął złoty ornament na ścianie i zapadła się jedna z kaset, ukazując wiodące do góry schody z kości słoniowej.

- Te schody wbudowane są w mur - rzekł Olmec. - Prowadzą do wieży na dachu, a stamtąd inne spirale wiodą do rozmaitych komnat. Spieszmy się!

- Za tobą, druhu! - odparował Conan wesoło, kołysząc swym wielkim mieczem. Olmec wzruszył ramionami i wstąpił na schody, Conan zaś pół kroku za nim. Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Daleko w górze kiść klejnotów ognistych czyniła ze schodów studnię pełną mrocznej poświaty.

Wspinali się, aż ocenił Conan, że dotarli wyżej niż poziom czwartej kondygnacji, i znaleźli się w cylindrycznej wieży, z której kopulastego sufitu zwieszały się rozświetlające schody kamienie. Przez okratowane złotem okna, w których tkwiły grube, kryształowe płytki, pierwsze okna, jakie napotkał w Xuchotl, ujrzał Conan wysokie granie, kopuły i wieżyczki, ciemno zarysowane w świetle gwiazd. Patrzył na dachy Xuchotl.

Olmec nie tracił czasu na wyglądanie przez okna. Ruszył w dół jednymi ze schodów, które po kilku krokach przekształcały się w wąski korytarz, ciągnący się na dość długim odcinku. Urywał się nad wiodącymi w dół stromymi schodami. Tu stanął.

Skądś, z niewielkiej odległości, dobiegał zduszony, lecz bez wątplenia kobiecy jęk, zabarwiony przerażeniem, wściekłością i wstydem. Conan rozpoznał głos Valerii.

W nagłym gniewie obudzonym przez ów okrzyk i w zadziwieniu, jakie też niebezpieczeństwo jęk podobny zdołało wyrwać z ust nieulekłej Valerii, Conan zapomniał o Olmeku. Minał księcia i jął zbiegać po schodach. Zbudzony instynkt kazał mu się odwrócić akurat wtedy, gdy Olmec machnął swym wielkim jak bochen chleba kułakiem. Cios, groźny i cichy, mierzył w podstawę czaszki Cymmeryjczyka, ale gwałtowny ruch barbarzyńcy sprawił, że wylądował miast tego z boku szyi. Impet uderzenia przetrąciłby niechybnie stos pacierzowy każdego człeka wåtleszej postury, lecz Conan tylko się zachwiał. Upuścił miecz, nieużyteczny w walce na tak bliską odległość, i ułapił wyciągnięte ramię Olmeka, pociągając go za sobą. Na łeb na szyję polecili ze stopni w szaleńczym wirze rąk, nóg, głów i ciał. Spadali jeszcze, gdy żelazne palce Cymmeryjczyka znalazły byczą szyję Olmeka i zacisnęły się na niej.

Kark i ramię barbarzyńcy odrętwiały od ciosu potężnej pięści Olmeka, za którą szła cała siła tęgiego przedramienia, masywnych tricepsów i olbrzymiego barku. Ale w żadnym widocznym stopniu nie ograniczyły jego dzikiej determinacji. Trzymał z ponurą zaciętością, jak lew uczepiony grzbietu nosorożca - i poturbowany o stopnie, wytrzęsiony i oszołomiony, nie puścił, aż stoczyli się ze schodów, by uderzyć wreszcie w wykładane kością słoniową drzwi z taką mocą, że rozbili je na

trzaski i przewalili się przez rumowisko. Olmec był martwy, żelazne bowiem palce Conana już wcześniej skręciły mu kark.

Cymmeryjczyk powstał, strząsając z ramion odłamki i przecierając oczy z krwi i pyłu.

Był w wielkiej komnacie tronowej. Piętnaście, prócz niego, znajdowało się tam osób, ale pierwszą, którą ujrzał, była Valeria. Osobliwy czarny ołtarz wznosił się przed podwyższeniem, wokół zaś niego siedem czarnych świec w złotych świecznikach słało spirale gęstego, zielonego dymu o dokuczliwym zapachu. Spirale owe łączyły się pod sufitem, formując nad ołtarzem mgliste, hakowate sklepienie.

A na ołtarzu, bielą nagiego ciała odbijając ostro od hebanowej czerni kamienia, spoczywała Valeria. Nie była skępowana. Leżała wyprostowana, unosząc nad głową wyciągnięte na pełną długość ramiona. W głowach ołtarza klęczał młodzieniec, krzepko dzierżąc jej przeguby. Z przeciwnej strony, przytrzymując kostki Valerii, klęczała młoda niewiasta. Tym sposobem dziewczyna nie mogła nawet drgnąć.

Jedenastka mężów i niewiast z klanu Tecuhltli klęczała półkolem, obserwując scenę gorącymi, pożądliwymi oczami.

Na tronie z kości słoniowej w niedbalej pozie zasiadała Tascela. Wazy z brązu wypełnione kadzidłami słały ku niej języki dymu: muskał jej nagie członki jak pieszczołliwa dłoń. Nie mogła usiedzieć na miejscu, wierciła się i poruszała z bezwstydną zmysłowością, jakby lubość jej sprawiała kontakt gładkiej kości słoniowej z delikatną skórą.

Trzask pękających drzwi, gdy rozpadały się pod ciężarem dwóch rozpędzonych ciał, w niczym nie zmienił sytuacji. Klęczący mężczyźni i kobiety bez ciekawości popatrzyli na zwłoki swego księcia i na męża, który podniósł się z rumowiska, a potem odwrócili wzrok i z tą samą zachłannością jęli się wpatrywać w czarny ołtarz i dygoczącą na nim białą postać.

Tascela wyniośle spojrzała na Cymmeryjczyka i znów rozparła się na tronie, śmiejąc się szyderczo.

- Wszetecznicza! - W oczach Conana pojawiła się żądza mordy. Jego dłonie zacisnęły się w żelazne młoty, gdy ku niej ruszył. Jeden tylko krok uczynił, gdy coś rozgłośnie szczęknięło, a stał okrutnie wgryzła się w jego nogę. Zachwiał się i byłby runął, nagle powstrzymany w szybkim marszu. Szczęki żelaznego potrzasku zawarły się na jego łydce, zęby głęboko zatonęły w ciele i trzymały pewnie. Tylko twardym mięśniom łydki zawdzięczał, że kość nie została strzaskana. Przeklęta paść zaatakowała bez ostrzeżenia. Teraz dopiero zauważył wgłębienia w posadzce, gdzie wybornie zamaskowane czaiły się stalowe szczęki.

- Głupcze! - parsknęła Tascela. - Czyś myślał, że nie zabezpieczę się na wypadek twego powrotu? Każde drzwi w tej komnacie strzeżone są podobną pułapką. Stój teraz i patrz, jak wypełnia się przeznaczenie twej urodziwej przyjaciółki! Później rozstrzygnę o twoim.

Odruchowo sięgnął Conan do pasa, po to tylko, by znaleźć pustą pochwę. Miecz leżał gdzieś na

schodach, a puginał w puszczy - tam, gdzie smok wyrwał go z paszczy. Stalowe zęby tkwiące w nodze były jak rozżarzone węgle, ale ból i przez pół nie dokuczał tak okrutnie, jak wrzący w duszy gniew. Czuł się jak wilk w potrzasku. Gdyby miał swój miecz, odciąłby nogę i dopełził do Tasceli, by ją zdławić. Oczy Valerii spojrzały nań z niemym błaganiem i bezsilność, jakiej doświadczał, posłała przez jego duszę fale szaleństwa.

Opadł na kolano swej wolnej nogi i próbował wrazić palce między szczęki potrzasku, by siłą je rozewrzeć. Krew jęła ciec spod paznokci, ale szczęki ciasno okalały nogę, pogrążone tak głęboko, że najmniejszy kawałek wolnej przestrzeni nie dzielił zmasakrowanego ciała od stalowych zębisk. Widok obnażonego ciała Valerii dodawał żaru do ognia jego gniewu.

Tascela ignorowała wysiłki Cymmeryjczyka. Ospale powstawszy z tronu, badawczym spojrzeniem zmierzyła grupkę swych poddanych i spytała:

- Gdzie Xamec, Zlanath i Tachic?

- Nie powrócili z katakumb, księżniczko - odrzekł jeden z mężczyzn. - Jak wszyscy, nosili do krypt ciała ubitych, ale nie powrócili. Może duch Tolkemeka ich porwał.

- Zamilcz, głupcze! - rozkazała gniewnie. - Duch jest legendą.

Zeszła z podwyższenia, igrając wąskim sztyletem o złotej rękojeści. Jej oczy płonęły, jak nie mogłoby płonąć nic w Piekło albo poza nim. Stała przed ołtarzem i ozwała się w pełnej napięcia ciszy:

- Twe życie na powrót uczyni mnie młodą, białoskóra niewiasto. Legnę na twym łonie i me usta na twoich złożę, i powoli - ach, jakże powoli! - pogrążę to ostrze w twym sercu, i życie twe, opuszczając sztywniejące ciało, w moje wkroczy jestestwo, i sprawi, że znów młodą rozkwitnę i żywotem wiecznym!

Wolno, jak wąż prężący się nad ofiarą, jęła pochylać się wśród języków dymu, coraz bliżej i bliżej znieruchomiałej dziewczyny, która patrzyła w oszołomieniu w jej płonące ciemne oczy - oczy coraz większe i głębsze, gorejące w oparach dymu jak dwa mroczne księżycy.

Kłęczący ludzie ujęli się za ręce, dygocąc w radosnym oczekiwaniu krwawego spełnienia, i jedynym dźwiękiem był przyspieszony oddech Conana, wciąż próbującego wyrwać nogę z potrzasku.

Wszystkie oczy spoczywały na ołtarzu i białej niewieściej postaci; grom nawet nie byłby zdolny zakłęcia złamać, a przecie uczynił to cichy okrzyk - cichy, atoli jeden z tych, co sprawiają, że włosy na głowie stają dęba.

Wszyscy odwrócili się w gwałtownym zamieszaniu. Odwrócili się i ujrzeli.

W drzwiach na lewo od wywyższenia stała upiorna postać. Mąż to był z plątaniną białych włosów i opadającą na piersi zmierzwioną siwą brodą. Łachmany tylko w części okrywały jego wymizierowane ciało, ukazując półnagie członki o kształtach osobliwie nienaturalnych. I skóra nie przypominała skóry zwykłego człowieka. Była w niej jakaś łuskowatość, jak gdyby właściciel długo

żył w warunkach niemal przeciwnych tym, w których zazwyczaj przechodzi ludzki żywot. A już zupełnie nic człowieczego nie było w oczach, gorejących wśród gęstwy białych kudłów. Wielkie lśniące krążki patrzyły bez drgnienia - fosforyzujące, białawe, zbyte najmniejszej drobin ludzkich uczuć, szalone.

Z rozwartych ust nie płynęły rozumne słowa, tylko cienki, wysoki pisk.

- Tolkemec! - szepnęła wściekle Tascela, gdy pozostali zamarli w niemym przerażeniu. - Nie legenda tedy, nie duch! Na Seta! Dwanaście lat żyłeś w ciemnościach! Dwanaście lat wśród kości zmarłych! Jakaś przerażająca strawę najdował? Jakiś żywot wiódł szalony i kaleki w nieprzeniknionej czerni wiecznej nocy? Pojmuję teraz, czemu to Xamec, Zlanath i Tachic nie powrócili z katakumb - i nigdy nie wrócą. Atoli czemuś tak długo czekał, by uderzyć? Szukałeś czegoś w podziemiach? Jakiegoś oręża tajemnego, o którym wiedziałeś, że gdzieś jest ukryty? I czyś znalazł go na koniec?

Odrażający pisk był jedyną odpowiedzią Tolkemeka, gdy jednym długim susem, co przeniósł go nad potrzaskiem, znalazł się w izbie. Przez przypadek tak postąpił albo przez mgliste przypomnienie xuchotlańskich sposobów. Nie był szalony w takim pojęciu, w jakim szaleni bywają ludzie. Zbyt długo żył z dala od ludzkości, by człowiekiem pozostać. Tylko jedna nić wspomnień, nić nienawiści i pragnienia zemsty, wiązała go z ludzkością, od której został odcięty, i kazała trwać w przyczajeniu obok tych, których nienawidził. Tylko ta cienka struna sprawiła, że oszalały nie przepadł na wieki w korytarzach i salach podziemnego świata, odkrytego przez się dawno temu.

- Szukałeś czegoś! - szepnęła Tascela, cofając się. - I znalazłeś to! Jest w tobie pamięć waśni! Po wszystkich latach ciemności, pamiętasz!

Albowiem w wychudłej dłoni Tolkemeka kołysała się teraz osobliwa różdżka o jaspisowym odcieniu, zakończona rozjarzonym guzem w kształcie owocu granatu. Odskoczyła na bok, gdy wyciągnął ją przed siebie jak włócznię i strumień szkarłatnego ognia trysnął z owego guza. Chybił, lecz na linii uderzenia znalazła się niewiasta przytrzymująca nogi Valerii. Ogień trafił ją między łopatki.

Rozległ się ostry trzask, gdy ognisty strumień wystrzelił z piersi nieszczęsnej i krzesząc błękitne iskry uderzył w czarny ołtarz. Niewiasta padła na bok, kurcząc się i marszcząc jak mumia.

Valeria stoczyła się z ołtarza na jego przeciwną stronę i na czworakach ruszyła ku ścianie. Piekło bowiem rozszalało się w komnacie tronowej Olmeka.

Młodzieniec, który dzierżył dłonie Valerii, umarł jako następny. Począł był uciekać, nim jednak uczynił pół tuzina kroków, Tolkemec, ze zręcznością zadziwiającą u człeka tak mizernej postury, zmienił pozycję, chwytając uciekiniera między siebie a ołtarz.

Znów błysnął ognisty strumień i Tecuhtli bez życia opadł na podłogę. I znów poszły z ołtarza błękitne iskry.

Potem rozpoczęła się rzeź. Wrzeszcząc opętańczo ludzie pędzili po izbie, odbijając się od siebie,

potykając i padając. A wśród nich pisał i skakał Tolkemec, i śmierć rozdzielał. Nie mogli uciekać przez drzwi, albowiem metal wrót, podobnie jak stalowe okucia ołtarza, zamykał, widno, obwód owej nieznannej szatańskiej siły, co jak błyskawica strzelała z różdżki czarnoksiężskiej, którą wymachiwał staruch.

Gdy mąż jakiś albo niewiasta znaleźli się między nim a drzwiami bądź ołtarzem, ginęli natychmiast. Nie wybierał Tolkemec ofiar, zabijał jak popadło, a łachmany powiewały na jego dziko wirujących członkach i ostry pisk przebijał się przez wypełniające komnatę wrzaski. Ruszył nań zdesperowany wojownik, wznosząc sztylet, i padł, nim zdołał go opuścić. Lecz pozostali, jak ogłupiałe bydło, ani myśleli o ucieczce czy oporze.

Zginął wreszcie ostatni Tecuhtli poza Tascela. Księżniczka podbiegła do Conana i Valerii, która ukryła się za plecami Cymmeryjczyka, i pochyliwszy się, dotknęła posadzki w wiadomym sobie miejscu. Natychmiast rozwarły się stalowe szczęki, uwalniając skrwawioną nogę, i zniknęły w zagłębieniu.

- Ubij go, jeśli zdołasz! - wydyszała, wciskając w dłoń barbarzyńcy ciężki nóż. - Nie sprosta mu moja magia!

Wyskoczył przed niewiasty, w ogniu bojowego szału zapominając o bólu w rozdartej łydce. Szedł nań Tolkemec z błyskiem w szatańskich oczach, ale zawahał się, widząc lśnienie stali w dłoni Conana.

Rozpoczęła się makabryczna gra, gdy Tolkemec okrążał Cymmeryjczyka, starając się dostać go między siebie a drzwi czy ołtarz, zaś barbarzyńca umykał, czekając okazji do zadania pchnięcia. W napięciu, wstrzymując oddech, przypatrywały się temu niewiasty.

Ciszę zakłócało tylko szuranie szybko przesuwających się stóp. Tolkemec nie skakał już i nie tańcował, świadom, że z groźniejszym oto przyszło mu do czynienia mieć przeciwnikiem niż owi ludzie, co z wrzaskiem na ustach umierali w beładnej ucieczce. W pierwotnym lśnieniu oczu barbarzyńcy determinację odczytał równie śmiertelną jak jego własna. Krążyli i krążyli; gdy jeden zmieniał pozycję, czynił to i drugi, jakby łączyła ich niewidzialna a krzepka struna. Ale za każdym razem Conan przybliżał się nieco do przeciwnika. Już węzlaste mięśnie jego ud jęły się prężyć do skoku, gdy rozległ się krzyk Valerii. Przez chwilę krótką jak mgnienie, drzwi z brązu na jednej znalazły się linii z ciałem Cymmeryjczyka. Wystrzelił ognisty strumień, parząc bok Conana, który gwałtownie skoczył w bok, ciskając jednocześnie nóż. Z wibrującą na piersi rękonością opadł stary Tolkemec na posadzkę, prawdziwie, na koniec, ubity.

Tascela skoczyła - nie ku barbarzyńcy, lecz ku różdżce, co jak żywa istota pulsowała na podłodze. I skoczyła Valeria, ze szyletem wyrwanym z dłoni trupa, i ostrze, wiedzione całą siłą sprężystych mięśni Aquilonki, zatonoło w plecach księżniczki Tecuhtlów, przeszywając ją na skroś. Skrzeknęła Tascela i padła martwa.

Conan i Valeria popatrzyli na siebie nad bezwładnym ciałem.

- I to waśń na dobre kończy - burknął Cymmeryjczyk. - Piekielna to była noc. Gdzie ci ludzie spyżę

trzymają? Głodnym jak wilk.

- Trza ci nogę zawinąć - Valeria oderwała kęs jedwabiu z draperii i owinąwszy go wokół kibici, naskubała szarpi, którymi zręcznie obandażowała zmasakrowaną nogę barbarzyńcy.

- Iść podołam - upewnił ją. - Ruszajmy. Świt jest za tym diabelskim grodem. Dość mam Xuchotl. Sami się ci zwyrodnialcy wytrzebili i dobre to jest. Nie chcę ich przeklętych klejnotów. Mogą być nawiedzone.

- Dość jest na świecie uczciwych łupów dla ciebie i dla mnie - rzekła Valeria, prostując swą wspaniałą postać.

Dawny błysk znów zalśnił w jego oczach i tym razem nie broniła się, gdy dziko chwycił ją w ramiona.

- Daleka jest droga na wybrzeża - powiedziała przymilnie, odrywając swe usta od jego ust.

- O co chodzi? - roześmiał się wesoło. - Nie ma nic, czego byśmy zdobyć nie mogli. Staniemy na pokładzie, nim jeszcze Stygijczycy porty otworzą na handlowy sezon. I wtedy pokażemy światu, co to znaczy łupić!

ZA CZARNĄ RZEKĄ

(Przełożył: Łukasz Piother)

Valeria, jak wiele innych kobiet - wyjąwszy tylko Belit i później Zenobię - nie mogła być w życiu Conana niczym innym jak tylko epizodem. Znów tedy samotny wędrował barbarzyńca czas jakiś po czarnych królestwach, szukając skarbów i przygód, by wreszcie skierować swe kroki na północ - ku Cimmerii. Tam dotarła doń wieść, że Aquilończycy, niepomi na smutną lekcję z Venarium, przesuwały granicę na zachód, w głąb Puszczy Piktyjskich. Wróżyło to rozlew krwi i wiele roboty dla mężów równie jak Conan zręcznie władających mieczem...

1. CONAN TRACI TOPÓR

Cisza leśnej ścieżki była tak pierwotna, że stąpanie okrytych miękkim obuwiem stóp zdawało się czynić rozgłośny hałas. Tak przynajmniej sądził wędrowiec, choć starał się kroczyć z ostrożnością, jaką winien zachowywać każdy człek zapuszczający się poza Rzekę Piorunową.

Był młodzieńcem średniego wzrostu, o otwartym obliczu, ze szczotką zmierzwionych brązowych włosów nie przykrytych hełmem czy czapką. Szaty miał zwykłe dla tych regionów - szorstką ściągniętą pasem tunikę, spod której wystawały krótkie skórzane pludry i sięgające niemal kolan miękkie kozłowe buty. Z cholewy sterczała rękojeść noża. U szerokiego pasa wisiał krótki ciężki

miecz i skórzana sakwa. Nie było lęku w szeroko rozwartych oczach, którymi omiatał okalające ścieżynę zielone ściany. Choć niewysoki, krzepkiej był budowy i węzlaste od mięśni ramiona wyłaniały się z krótkich, szerokich rękawów tuniki.

Maszerował beztrosko, mimo że daleko pozostawił za sobą ostatnie chaty osadników i każdy krok przybliżał go do owego posępnego niebezpieczeństwa, co jak ogromny cień wisiało nad pradawną puszcza. Mniej czynił hałasu, niż mu się zdawało, ale wybornie wiedział, że ciche stąpnięcia jego butów niechybnie zaalarmują groźne uszy nasłuchujące w zdradzieckiej zielonej gęstwinie. Nie była szczerą jego beztroska poza; oczy i uszy miał otwarte, a zwłaszcza uszy, bo wzrok nie mógł przeniknąć płataniny liści dalej niż na parę tylko stóp w każdym kierunku.

Instykt raczej niż zmysły kazał mu się nagle zatrzymać i dłoń położyć na rękojeści miecza. Stał jak zamurowany na środku ścieżki, podświadomie wstrzymując oddech, i zastanawiał się, jaki też dźwięk usłyszał i czy w istocie go usłyszał. Cisza zdawała się zupełna, ani nie zapiszczała wiewiórka, ani zakwilił ptak. A potem jego wzrok przywarł do gęstwy zarośli - tuż obok ścieżki, kilka kroków przed nim. Nie było wiatru, a przecie ujrzał, że zakołysała się gałązka. Jęły stawać dęba włosy na jego głowie i stał przez chwilę w niezdecydowaniu, świadom, że ruch w którąkolwiek stronę przyniesie nadlatującą z gęstwiny śmierć.

Usłyszał wśród liści odgłos ciężkiego uderzenia, zarośla zakołysały się gwałtownie i w tej samej chwili gdzieś w górę świsnęła strzała, by zniknąć w koronach drzew. Skacząc w ukrycie widział wędrowiec przez chwilę jej stromy lot.

Kucnąwszy za grubym pniem, z mieczem w drżącej dłoni ujrzał, że rozsuwają się krzaki i niespiesznie wychodzi na ścieżkę rosły mąż. Patrzył nań w osłupieniu.

Obcy, również odziany w wysokie buty i pludry - choć te ostatnie były z jedwabiu, nie zaś ze skóry - miał tuniki nosił kolczugę z ciemnostalowych ogniw, a grzywę przykrywał hełmem. Ów hełm właśnie zwrócił uwagę wędrowca, nie miał bowiem pióropusza, lecz zdobiły go krótkie bycze rogi. Nie wykuto go w cywilizowanej krainie.

A i oblicze właściciela nie miało cywilizowanych pozorów: ciemne, pokryte bliznami, rozjarzone parą błękitnych płonących oczu, tak było nieokiełznane jak dookolna pierwotna puszcza.

Mąż ów dzierżył w prawicy ogromny miecz, którego ostrze zbrukane było szkarłatem.

- Wyłaż! - krzyknął z akcentem nie znanym wędrowcowi. - Bezpiecznie jest. Tylko jeden był pies. Wyłaż!

Niepewnie tedy wyszedł podróżny z ukrycia i popatrzył na obcego. Czuł się osobliwie mizerny i bezsilny, gdy spozierał na jego olbrzymią postać - masywną pierś okrytą żelazem, spalone słońcem i kanciaste od twardych węzłów mięśni ramię trzymające poczerwieniały oręż.

Poruszał się z groźnym wdziękiem pantery; zbyt wiele było w nim drapieżnej sprężystości, aby można przypuszczać, że jest dzieckiem cywilizacji, nawet owego przedmurza, którym w istocie były te dalekie pogranicza.

Odwróciwszy się, na powrót wszedł w zarośla i rozgarnął gałęzie. Wciąż niezupełnie świadom, co się stało, podróżnik ze wschodu postąpił kilka kroków i zajrzał w krzaki. Człek tam leżał; krępy, ciemny, tęgo umięśniony, nagi poza przepaską na biodrach, naszyjnikiem z ludzkich zębów i mosiężnym naramiennikiem. Krótki miecz wetknięty był za pas, a jedna dłoń wciąż dzierżyła ciężki czarny łuk. Człek ów miał długie krucze włosy i nic więcej nie mógłby rzec podróżnik o jego głowie, albowiem oblicze było maską z krwi i mózgu. Czerep rozłupany został po zęby.

- Pikt, na bogów! - wykrzyknął młodzieniec.

- Zaskoczonyś?

- Cóż, gadali mi w Velitrium, a potem w chatach osadników po drodze, że te diabły przekradają się czasem przez granicę, ale się nie spodziewałem spotkać którego tak daleko, w głębi kraju.

- Jesteś cztery jeno mile na wschód od Czarnej Rzeki - pouczył go obcy. - Ubijano ich niekiedy w promieniu mili od Velitrium. Żaden osadnik między Rzeką Piorunową a Fortem Tuscelan nie jest w pełni bezpieczny. Trafiłem dziś rano na ślad tego psa trzy mile na południe od fortu i od tej chwili za nim szedłem. Dopadłem go, kiedy strzałę w ciebie gotował się wypuścić. Jeszcze chwila, a nowy gość wkroczyłby do Piekieł. Ale poprosiłem go, żeby się nie ruszał.

Szeroko rozwartymi oczyma patrzył podróżnik na olbrzyma, oszołomiony faktem, który teraz doń dotarł: że oto człek ten wytropił jednego z leśnych diabłów i niespodziewanie go ubił. O kunszcie tropicielskim to świadczyło zgoła niewyobrażalnym, nawet w Conajoharze.

- Czyś jest z załogi fortu? - spytał.

- Żołnierzem nie jestem. Mam lafę i racje oficera liniowego, ale w puszczy swą robotę czynię. Valannus wie, że więcej przynoszę pożytku włączając się wzdłuż rzeki niż gnijąc w forcie.

Obojętnie wepchnął stopą głębiej w krzaki ciało ubitego, zasunął gałęzie i ruszył ścieżką. Podróżnik podążył za nim.

- Zwą mnie Balthus - przedstawił się. - Ostatnio nocowałem w Velitrium. Nie zdecydowałem jeszcze, czy wezmę kęs ziemi, czy zaciągnę się do wojska.

- Najlepsza ziemia u Piorunowej Rzeki już rozebrana - mruknął wielki woj. - Siła dobrych ziem między Potokiem Skalpu, któryś przeszedł parę mil wstecz, a fortem, ale to diablo blisko rzeki. Piktowie przekradają się przez nią, żeby palić i mordować - jak ów to uczynił. Zawsze przybywają w pojedynkę. Któregoś dnia spróbują wszystkich osadników wyzenać z Conajohary. I może im się uda... najpewniej im się uda. To całe osadnictwo szaleństwem jest, tak czy owak. Siła dobrych ziem leży na wschód od pogranicza bossońskiego. Gdyby Aquilończycy obcięli to i owo z wielkich posiadłości baronów i zboże zasiali tam, gdzie teraz na jelenie się poluje, nie musieliby przekraczać granicy i odbierać Piktom ich ziemi.

- Dziwne gadanie jak na człowieka w służbie gubernatora Conajohary - zauważył Balthus.

- Nic to dla mnie nie znaczy. Najemnikiem jestem i miecz swój sprzedaję temu, co najlepiej płaci.

Nigdy nie siał zboża i siał nie będę, póki inna siał plony, które orężem można zebrać. Ale wy, Hyboryjczycy, sięgnęliście już tak daleko, jak było wam to dane. Przekroczyliście pogranicza, spalili garść wsi, wybili parę klanów i oparliście granicę o Czarną Rzekę; ale wątpię, czy utrzymacie to, coście podbili, a już na pewno dalej ku zachodowi nie przesuniecie granicy. Wasz dumny król nie pojmuje, jakie warunki tu panują. Nie przyśle dość posiłków - nie ma dość osadników, by odeprzeć siłę skoncentrowanego ataku zza rzeki.

- Ale Piktowie podzieleni są na małe klany - oponował Balthus. - Nigdy się nie jednoczą. A każdy pojedynczy klan zdolniśmy pobić.

- Nawet trzy i cztery - zgodził się olbrzym. - Ale któregoś dnia wypłynie człek zdolny zjednoczyć trzydzieści, czterdzieści klanów, jak to się stało wśród Cymmeryjczyków, gdy lata temu Gunderowie próbowali przesunąć granicę na północ. Chcieli zasiedlić południowe pogranicza Cimmerii: wysiekli garść mniejszych klanów i zbudowali fort graniczny, Venarium - dalej znasz historię.

- A znam - odrzekł Balthus z grymasem na twarzy. Pamięć owej krwawej klęski była czarną plamą w kronikach dumnego, wojowniczego narodu. - Mój wuj był w Venarium, kiedy Cymmeryjczycy przedarli się przez mury. Jako jeden z nielicznych uniknął śmierci. Wiele razy słyszał jego opowieść. Barbarzyńcy spłynęli ze wzgórz wściekłą hordą, niespodziewanie, i szturmowali Venarium z furją, której nikt nie mógł zdzierżyć. Wyrżnięto mężów, niewiasty i dzieci. Venarium stało się kupą gruzów i tak jest do dziś. Aquilończyków wyparto z granic i już nigdy więcej nie próbowali kolonizować kraju Cymmeryjczyków. Ale gadasz o Venarium ze znajomością rzeczy. Byłeś tam może?

- Byłem - mruknął wojownik. - Byłem jednym z hordy, co przedarła się przez mury. Nie widziałem jeszcze piętnastu śniegów, ale już me imię powtarzano przy ogniskach narad.

Balthus odsunął się mimowolnie i patrzył oszołomiony. Zdało się niewiarygodne, aby ów człek, co teraz spokojnie kroczył u jego boku, był jednym z rozwrzeszczanych, żądnych krwi diabłów, co w tym odległym dniu waliły z murów Venarium, by splukać ulice szkarłatnym potopem.

- Tedyś jest barbarzyńcą! - wyrwało się z ust Balthusa.

Olbrzym przytaknął, nie żywiąc snadź urazy.

- Jestem Conan Cymmeryjczyk.

- Słyszałem o tobie! - Świeże zainteresowanie ożywiło spojrzenie Balthusa. Nic dziwnego, że Pikt padł ofiarą swej własnej gry. Cymmeryjczycy byli barbarzyńcami równie groźnymi jak Piktowie, ale znacznie bystrzejszymi. Conan, najoczywiście, wiele spędził lat wśród ludzi cywilizowanych, co wszelako ani go zmiękczyło, ani też nie osłabiło jego pierwotnych instynktów. Obawy Balthusa przerodziły się w podziw, gdy dostrzegł koci krok Cymmeryjczyka, łatwość, z jaką ten zachowywał ciszę, posuwając się po szlaku. Nie brzęczały naoliwione ogniwa kolczugi i Balthus pojął, że przez największą gęstwinę, najbardziej splątany zagajnik Conan potrafiłby się prześlizgnąć równie bezgłośnie jak byle Pikt.

- Nie jesteś Gunder? - Było to stwierdzenie raczej niż pytanie.

Balthus pokręcił głową.

- Jestem z Tauranu.

- Spotykałem wojowników z Tauranu, niezłych w puszczy. Ale Bossończycy przez zbyt wiele stuleci oddzielali was, Aquilończyków, od przyległej dziczy. Stwardnieć wam trzeba.

Była to prawda; pogranicze bossońskie, z jego umocnionymi siołami zaludnionymi przez straceńcze odważnych łuczników, długo służyło Aquilonii jako przedmurze przeciw plemionom barbarzyńskim. Teraz wśród osadników za Rzeką Piorunową rosło pokolenie leśnego ludu, zdolne sprostać barbarzyńcom na ich własnych warunkach, ale liczbą swą wciąż było zbyt mizerne. Większość mieszkańców pogranicza przypominała Balthusa - rolnicy to byli w przeważnej mierze, nie tropiciele.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale przestało być widoczne, skrywszy się za zbitą ścianą lasu. Wydłużały się cienie i pogłębiały w gęstwinach, gdy towarzysze kroczyli po ścieżce.

- Zapadnie ciemność, nim dotrzemy do fortu - zauważył Conan obojętnie. I nagle dodał: - Słuchaj!

Stanął w miejscu, pochylony, z mieczem w dłoni - drapieżna postać, wcielenie podejrzliwości i groźby - gotów skoczyć i uderzyć. Balthus również usłyszał: dziki wrzask, który urwał się na najwyższej nucie. Krzyk człowieka ogarniętego okropnym strachem albo umierającego.

Conan zerwał się w okamgnieniu, by popędzić ścieżką, a każdy krok odsądzał go coraz dalej od biegnącego z najwyższym wysiłkiem towarzysza. Balthus wysapał przekleństwo. W osadach Tauranu uchodził za szybkonogiego, ale Conan pozostawiał go za sobą z oszałamiającą łatwością. Wnet jednak zapomniał o rozdrażnieniu, uszy bowiem prześwidrował mu najbardziej przeraźliwy krzyk, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się słyszeć. Nie ludzki tym razem; to było demoniczne miauknięcie odrażającego triumfu, co radość zdawało się wyrażać z unicestwienia ludzkości i rozbrzmiewało echem w mrocznych głębiach, gdzieś poza granicami człowieczych doświadczeń.

Balthus zgubił krok i lepki pot zakroplił się na jego skórze. Lecz Conan nie zawahał się; w rozpędzie minął zakręt ścieżki i zniknął, a Balthus, pozostawiony sam na sam z tym okropnym krzykiem, który okropnym pogłosem wciąż wibrował w lesie, w panice zdobył się na przyspieszenie biegu i runął za nim.

Nagle zatrzymał się, nieomal wpadając na Cymmeryjczyka, który stał na dróżce nad bezwładnym ciałem. Ale Conan nie patrzył na zwłoki leżące przed nim w wilgotnym od szkarłatu pyłe. Wpatrywał się w gęstwinę zarośli po obu stronach szlaku.

Balthus wymamrotał niepewne przekleństwo. Ciało męża leżało na ścieżce, niskiego, grubego człeka, odzianego w zdobne złotem buty i - mimo gorąca - obszytą gronostajem tunikę zamożnego kupca. Jego tłusta, blada twarz zastygła w wyrazie przerażenia: tęga szyja przecięta była od ucha do ucha ostrzem, rzekłbyś, jak brzytwę. Krótki miecz wciąż tkwiący w pochwie zdawał się wskazywać,

że człek ów został zaatakowany zniemacka i nie miał szansy, by walczyć o swe życie.

- Pikt? - wyszeptał Balthus, wpatrując się w coraz gęstsze cienie puszczy.

Conan pokręcił głową i wyprostował się, by rzucić chmurne spojrzenie na martwego męża.

- Leśny czort. Ten jest piąty, na Croma!

- Co masz na myśli?

- Czyś kiedy słyszał o piktyjskim czarowniku zwanym Zogar Sag?

Balthus niepewnie pokręcił głową.

- Żywie w Gwaweli, najbliższej wiosce za rzeką. Trzy miesiące temu skrył się wedle tej drogi i uprowadził stadko juczych mułów z karawany zmierzającej do fortu - jakimś sposobem zadał poganiaczom narkotyku. Muły należały do tego człeka - Conan obojętnie tknął stopą zwłoki - Tiberiasa, kupca z Velitrium. Obładowane były baryłkami z piwem i stary Zogar, nim przekroczył na powrót rzekę, postój uczynił, by sobie pociągnąć. Tropiciel, Soractusem zwany, trafił na jego ślad i przywiódł Valannusa i trzech wojów w gąszcze, gdzie czarownik leżał schlany. Za naleganiem Tiberiasa Valannus wtrącił Zogara Saga do lochu, co największą jest znie wagą, jaką Piktowi można wyrządzić. Staremu udało się ubić strażnika, zemknąć, i jeszcze przekazać wieść, że zamierza ukatrupić Tiberiasa i pięciu ludzi, którzy go pojмали, takim sposobem, co dreszczem przejmować będzie Aquilończyków przez parę najbliższych stuleci.

- Cóż, Soractus i woje już nie żyją. Soractusa ubito nad rzeką, żołnierzy pod samym fortem. A teraz zginął i Tiberias. Żadnego z nich nie zabił Pikt. Każdą ofiarę - z wyjątkiem jeno, jak widzisz, Tiberiasa - zbawiano głowy; zdobią one teraz, bez ochyby, ołtarz owego bóstwa, któremu służy Zogar Sag.

- Z czego wnosisz, że nie ubili ich Piktowie? - zapytał Balthus.

Conan ukazał ciało kupca.

- Mniemasz, że uczyniono to nożem albo mieczem? Przyjrzyj się bliżej, a pojmiesz, że tylko szpon ranę podobną mógł zostawić. Ciało rozerwane jest, nie zaś przecięte.

- Może pantera... - zaczął Balthus bez przekonania.

Conan niecierpliwie pokręcił głową.

- Człek z Tauranu nie pomyli śladu szponów pantery. Nie. To leśny diabeł wezwany przez Zogara Saga dla dokonania zemsty. Głupcem był Tiberias, ruszając samopas do Velitrium, i to tuż przed zmierzchem. Ale każdą z ofiar zdawało się ogarniać szaleństwo, nim dopadło ją przeznaczenie. Patrz tu; ślady dość są wyraźne. Tiberias nadszedł szlakiem na swym mule, może z wiązką najlepszych skór wydrzych przytroczoną do siodła, na sprzedaż w Velitrium, i to skoczyło nań z tyłu, zza tych zarośli. Patrzaj, tam połamane widać gałązki.

- Tiberias zawrzasł raz tylko, bo potem rozdarło mu gardło, i już sprzedawał swe skóry wydrze w Piekło. Muł odbiegł w gęstwiny. Słuchaj! Jeszcze teraz słyhać, jak przedziera się wśród drzew. Demon nie miał czasu, by zabrać głowę Tiberiasa; lęk go ogarnął, gdyśmy nadbieżali.

- Gdyś ty nadbieżał - sprostował Balthus. - Nie musi to być osobliwie straszliwa bestia, skoro umyka przed jednym zbrojnym mężem. Ale skąd wiesz, że nie był to Pikt z jakimś hakiem, co rwie miast ciąć? Czyś t o widział?

- Tiberias był zbrojnym mężem - mruknął Conan. - Jeśli Zogar Sag sprowadził demony na pomoc, to mógł im rzec, których ludzi ubijać, a których ostawiać w spokoju. Nie, nie widziałem go. Widziałem jeno, jak krzaki się trzęsły, kiedy umykał ze szlaku. Ale jeśli trza ci dalszych dowodów, to patrzą j!

Zabójca stąpnął w kałużę krwi, w której spoczywał trup. Pod krzakami, na skraju drogi, był ślad, uczyniony krwią na twardej glinie.

- Zali człek go zostawił? - spytał Conan.

Balthus poczuł mrowienie pod czupryną. Ani człek, ani zwierzę, jakie kiedykolwiek widział, nie mogło pozostawić owego niezwykłego, potwornego trzypalcego śladu, co osobliwie łączył cechy ptaszę i gadzie, ni jednak prawdziwemu ptakowi, ni gadowi nie przynależąc. Ostrożnie, by go nie dotknąć, rozpostarł nad nim palce i sapnięcie wyrwało mu się z piersi. Nie mógł ogarnąć całego śladu.

- Cóż to jest? - wyszeptał. - Nigdy nie widział bydlęcia, co by zostawiało podobny trop.

- Ani żaden człek przy zdrowych zmysłach nie widział - odrzekł Conan ponuro. - To demon moczarów - na bagnach za Czarną Rzeką gęsto od nich jak od nietoperzy. Słyhać jak wyją niczym dusze potępione, kiedy w gorące noce krzepki wiatr nadciąga z południa.

- Co uczynimy? - spytał Aquilończyk, patrząc niepewnie w głębokie, granatowe cienie. Prześladowało go przerażenie zastygłe na obliczu ubitego. Zastanawiał się, jaki to łeb odrażający wychynał spomiędzy liści, by zmrozić dreszczem strachu śmiertelnego krew w żyłach nieszczęśnika.

- Nie warto i próbować iść śladem demona - burknął Conan, wydobywając z za pasa krótki leśny topór. - Chciałem to uczynić, gdy ubił Soractusa. W tuzinie kroków straciłem trop. Może wyrosły mu skrzydła i odleciał albo pograżył się w ziemię i zestąpił do Piekieł. Nie wiem. I za mułem też nie podążymy. Albo wróci do fortu, albo trafi do jakiej chaty osadnika.

Mówiąc to, krzątał się na skraju ścieżki. Kilkoma uderzeniami topora zrąbał dwa drzewka, długie na dziewięć czy dziesięć stóp, i ogołocił je z gałązek. Potem wyciął kawał węzowatego pnącza, co w pobliżu pełzało wśród zarośli, i przymocowawszy jeden koniec do pierwszego z kołków, owinął je wokół drugiego, a potem przeplótł kilkakroć w obie strony. Po paru chwilach miał prymitywne, lecz mocne nosze.

- Póki mogę coś uczynić, nie dostanie demon głowy Tiberiasa - warknął. - Zaniesiemy ciało do

fortu. Niewiele to dalej jak trzy mile. Nigdy nie przepadał za spaśnym głupcem, ale nie można pozwolić Piktom, by czynili, co im się podoba z głowami białych.

Piktowie też byli białym ludem, choć smagłym, ale mieszkańcy pogranicza nigdy ich za białych nie uważali.

Balthus ujął tylny koniec noszy, na które Conan bezceremonialnie wrzucił nieszczęsnego kupca, i ruszyli dróżką jak mogli najszybciej. Obarczony posępnym brzemieniem Conan nie czynił więcej hałasu niż pierwej. Z pasa kupca zrobił pętlę na rękojeściach noszy i dźwigał swą część ciężaru jedną dłonią, podczas gdy druga dzierżyła obnażony miecz. Jego niespokojne oczy wciąż omiały groźne ściany lasu. Gęstniały cienie. Mroczniejąca błękitna mgła zamazywała kontury listowia. Puszcza pogrążała się w zmierzchu, stając się szarobłękitnym siedliskiem tajemnicy, kryjącym rzeczy nieprzewidywalne.

Pokonali już przeszło milę i mięśnie krzepkich ramion Balthusa poczynają z lekka pobolewać, gdy wrzask przenikliwy zadźwięczał w zagajniku, którego błękitne cienie jęły zabarwiać się purpurą.

Conan ruszył gwałtownie i Balthus omal nie wypuścił drążków.

- Kobieta! - zakrzyknął. - Wielki Mitro, tam wzywa pomocy kobieta!

- Niewiasta osadnika, co pobłądziła w lesie - warknął Conan, kładąc swój koniec noszy. - Pewnie szukała krowy i... zostań tu!

Jak wilk na łowach zanurkował w zieloną ścianę. Zjeżyła się czupryna Balthusa.

- Zostać tu sam na sam z trupem i diabłem ukrytym w gąszczu? - zaskowyczał. - Idę z tobą!

I wprowadzając słowa w czyn, runął za Cymmeryjczykiem. Conan obejrzał się nań, ale nie zaprotestował, choć też nie zwolnił kroku, by przystosować go do krótszych znacznie nóg towarzysza. Balthus marnował oddech na przekleństwa, gdy Conan - jak zjawa umykająca wśród drzew - znów jął się odeń odsądzać, by wychynąć na zamgloną polanę i tam zastygnąć w pochyleniu, z ustami skrzywionymi grymasem i z uniesionym mieczem.

- Czemu stajemy? - sapnął Balthus, ścierając pot z oczu i ujmując swój krótki miecz.

- Krzyk dobiegł z tej polanki albo z pobliza - odrzekł Conan. - Nie myślę źródła dźwięku, nawet w gęstwinie. Ale gdzie...

Nagle znów rozległ się wrzask - za nimi, w stronie ścieżki, którą przed chwilą opuścili. Wznosił się przenikliwie i żałośnie; krzyk kobiety ogarniętej bezrozumnym przerażeniem - i zaraz, zaskakująco, przerodził się w wyjący, przedrzeźniający śmiech, który mógł buchnąć z ust demona z najgłębszych otchłani Piekieł.

- Cóż, imieniem Mitry... - Twarz Balthusa była w półmroku bladą plamą.

Z jadowitym przekleństwem na wargach Conan zawrócił i pomknął z powrotem w kierunku, z

którego nadeszli, a oszołomiony Aquilończyk podążył za nim. Wpadł na Cymmeryjczyka, gdy ten zamarł w miejscu. Odbił się od jego potężnych pleców jak od żelaznego posągu. Ciężko dysząc, słyszał, że Conan syczy przez zęby. Cymmeryjczyk zdawał się zmartwiały z zaskoczenia.

Zerknąwszy przez jego ramię, Balthus poczuł, jak włosy stają mu dęba. Coś przemykało przez gęstwę zarośli okalających dróżkę - coś, co ani szło, ani leciało, lecz na pozór pełzało niby wąż. Ale nie było wężem. Niewyraźne miało kontury, ale wyższym zdawało się od człowieka i niezbyt masywnym. Połyskiwało osobliwym światłem jak wąty błękitny płomyk. W istocie, owa nierzeczywista poświata była jedyną wyraźnie dostrzegalną jego cechą. Mogło być ucieleśnionym płomieniem, co z jakichś powodów i dla jakiegoś celu wędruje po mroczniejącym lesie.

Dziki przekleństwo wyrwało się z ust Conana, który z okrutną mocą cisnął toporem. Ale bestia sunęła dalej, nie odmieńając kierunku. Przez kilka tylko chwil dostrzegali jej rozmyty obraz - rosłej tajemnej istoty z mglistego płomienia mknącej przez gęstwinę. Potem zniknęła i puszcza zastygła w zupełnej ciszy.

Z warknięciem przedarł się Conan przez zasłonę z listowia na ścieżkę. Jego bluźnierstwa, które docierały do uszu podążającego za nim Balthusa, były kwieciste i namiętne. Wreszcie stanął Cymmeryjczyk nad noszami, na których spoczywało ciało Tiberiasa. Ciało to nie miało już głowy.

- Omamił nas przeklętym miauczeniem - pieklił się Conan, w gniewie tocząc swym olbrzymim mieczem młyńce nad głową. - Mogłem wiedzieć! Mogłem podejrzewać sztuczkę! Teraz będzie pięć łbów na ozdobę Zogarowego ołtarza.

- Atoli cóż to za bestia, co łka jak niewiasta, chichocze jak demon i pełznąć między drzewami, świeci jak ogień magiczny? - sapnął Balthus, ocierając pot z bladej twarzy.

- Demon moczarów - odrzekł Conan posepnie. - Imaj się drążków. Zabierzemy trupa, tak czy owak. Przynajmniej brzemię mamy lżejsze.

I z tą ponurą maksymą ułapił skórzaną pętlę i ruszył dalej.

2. CZARNOKSIĘŻNIK Z GWAWELI

Fort Tuscelan wznosił się na zachodnim brzegu Czarnej Rzeki, której fale omywały podnóże palisady. Ta zaś uczyniona była z bali, tak jak i wszystkie budowle w środku, a nawet nad częstokołem spoglądająca na posepną rzekę wieżyca (by nazwą tą przydać jej splendoru), w której mieściła się kwatera gubernatora.

Za rzeką rozciągała się olbrzymia puszcza, u gliniastych brzegów gęsta na kształt dżungli. Dzień i noc ludzie patrolowali chodniki wzdłuż parapetów z bali, czujnie obserwując tę zbitą zieloną ścianę. Z rzadka pojawiała się tam jakaś groźna postać, ale strażnicy wiedzieli, że i oni są obserwowani, wzrokiem dzikim i głodnym, bezlitosnym odwieczną nienawiścią. Nieprzywyktemu oku puszcza za rzeką mogła się zdawać pusta i martwa, a przecie kłębiło się tam życie - nie tylko ptaki, zwierzęta i

gady, ale też ludzie, najsrozsze z drapieżnych bestii.

Tu, na forcie, kończyła się cywilizacja. Fort Tuscelan był najdalej na północny zachód wysuniętą placówką świata cywilizowanego; wieńczył najgłębiej ku zachodowi posuniętą migrację dominujących ludów hyboryjskich. Za rzeką wciąż panował pierwotny świat: w cienistych puszczech, krytych gałęzmi chat, gdzie szczerząc zęby wisiły ludzkie czaszki, w grodziszcach o glinianych murach, gdzie błyskały ognie, dudniły bębny i ostrzyły groty włócznie dłonie smagłych, milkliwych mężów o skudlonych czarnych włosach i oczach żmij. Te oczy często spozierały przez zarośla na fort za rzeką. Kiedyś ciemnoskórzy ludzie wznosili swe chaty tam, gdzie stał fort, gdzie rozciągnęły się pola i wyrosły drewniane domy jasnowłosych osadników - aż za Velitrium, owo nieokrzese, niespokojne miasto graniczne na brzegach Rzeki Piorunowej, po inną rzekę, opływającą Pogranicze Bossońskie. Kupcy nadeszli i kapłani Mitry, co wędrowali bosy z pustymi rękami i ginęli śmiercią okropną, a przynajmniej większość z nich; ale za nimi podążyli żołnierze i mężowie z toporami w dłoniach, i niewiasty, i dzieci na ciągnionych przez woły wozach. Za Rzekę Piorunową i jeszcze dalej, za Czarną Rzekę, odrzucono tubylców - rzezią i ogniem. Ale lud o smagłej skórze nie zapomniał, że jemu niegdyś przynależała Conajohara.

Strażnik za bramą wschodnią krzyknął wezwanie. Przez okratowany wizjer błysnęło światło pochodni, odbijając się w stalowym hełmie i podejrzliwych oczach.

- Rozwieraj wrota - parsknął Conan. - Nie widzisz, że to ja?

Żołnierska dyscyplina doprowadzała go do wściekłości.

Brama otworzyła się do wewnątrz i Conan z towarzyszem przeszli przez nią. Balthus zauważył, że z obydwu stron strzegły jej wieżyczki, których szczyty wznosiły się ponad palisadą. Dostrzegł również strzelnice dla łuków.

Strażnicy wydali pomruk, gdy zobaczyli, jakie to brzemie dźwigają przybyli. Ich włócznie brzęknęły o siebie, gdy zamykali bramę, a Conan spytał gniewnie:

- Nigdyście nie widzieli bezgłowego trupa?

Twarze żołnierzy były białe w świetle pochodni.

- To Tiberias - wybełkotał jeden. - Poznaje ową szytą futrem tunikę. Ten tu Valerius winien mi pięć lunów. Gadałem mu, że Tiberias posłyszał głos nura, kiedym ujrzał, jak ze szklistym wzrokiem przejeżdżał przez bramę na swym mule. Założyłem się, że wróci bez łba.

Conan mruknął coś niezrozumiale, gestem kazał Balthusowi położyć nosze i z podążającym za sobą krok w krok Aquilończykiem ruszył ku kwaterze gubernatora. Kasztanowłosy młodzieniec z ciekawością rozglądał się dokoła, dostrzegając rzędy koszarowych budynków pod murami, stajnie, małe kramy kupieckie, masyw blokhauzu i inne budynki; wśród nich rozciągał się otwarty plac, na którym odbywano musztrę i gdzie teraz tańczyły płomienie i spoczywali wolni od służby żołnierze. Pospieszali właśnie, by się przyłączyć do rozgorączkowanego tłumu, który zgromadził się koło noszy pod bramą. Wyniosłe postaci aquilońskich pikinierów i tropicieli puszczańskich mieszały się z

niższymi, masywniejszymi sylwetkami łuczniczków bossońskich.

Niezbyt zaskoczył go fakt, że gubernator przyjął ich osobiście. Społeczeństwo autokratyczne ze swymi sztywnymi prawami kastowymi pozostało na wschód od pogranicza. Valannus był młodym jeszcze człowiekiem, dobrze zbudowanym, o szlachetnie rzeźbionych rysach, którym wszelako trudy i odpowiedzialność jęły przydawać posępnego wyrazu.

- Mówiono mi, żeś opuścił fort przed świtaniem - ozwał się do Conana. - Poczynałem się lękać, że cię na koniec Piktowie dostali.

- Cała rzeka się dowie, kiedy będą wędzić mój łeb - burknął Conan. Jęk piktyjskich niewiast płaczących nad ubitymi słyhać będzie po Velitrium... byłem sam na zwiadzie. Nie mogłem spać. Słyszałem, jak bębny gadają za rzeką.

- Gadają każdej nocy - przypomniał gubernator, spod przymrużonych powiek wpatrując się w Conana. Wiedział, że głupotą jest lekceważenie przeczuć dzikich ludów.

- Ostatniej nocy to było coś innego - mruzczał Conan. - Tak jest od chwili, gdy Zogar Sag na powrót przekroczył rzekę.

- Winniśmy albo go obdarować i posłać do domu, albo powiesić - westchnął gubernator. - Tyś to doradzał, ale...

- Ale niełatwo wam, Hyboryjczykom, pojąć obyczaj okrain - rzekł Conan. - Cóż, nic się na to teraz nie poradzi, ale nie będzie pokoju na granicy, dopokąd Zogar Sag żyje i pamięta ciemnicę, w której się pocił. Śledziłem woja, co się przekradł przez rzekę, żeby dodać parę korbów na swym łuku. Kiedym już rozplątał mu łeb, wpadłem na tego tu młodzika, którego zwą Balthus i który przybył z Tauranu pomagać w dzierżeniu granicy.

Valannus z aprobatą patrzył na szczere oblicze młodego człowieka i jego krzepką postać.

- Rad jestem powitać cię, młody panie. Chciałbym, żeby przybyło więcej twoich rodaków. Potrzeba nam ludzi zwykłych leśnego żywota. Wielu naszych żołnierzy i osadników wie o wschodnich prowincjach i nic nie wie o leśnym, a nawet rolniczym życiu.

- Takich kilku jeno po tej stronie Velitrium - rzucił Conan. - Choć gród ich pełen. Ale słuchaj, Valannusie, na szlakuśmy martwego Tiberiasa znaleźli. - I w paru słowach opowiedział ponurą historię.

Valannus pobladł.

- Nie wiedziałem, że opuścił fort. Musiał być szalony!

- Był - odrzekł Conan. - Jako i tamtych czterech; każdy z nich, gdy jego czas nadchodził, zmysły zdrowe tracił i ruszał w las na spotkanie śmierci jak zając, co bieży w paszczę pytona. Coś wzywało ich z głębi puszczy, coś, co ludzie zwą nurem, lepszemu miana nie mając, ale jeno przeznaczeniu śmierci głos ów mogą słyszeć. Zogar Sag czary poczynił, których nie pokona aquilońska cywilizacja.

Valannus nic na to nie rzekł; otarł czoło drżącą dłonią.

- Wiedzą o tym żołnierze?

- Ciało ostawiliśmy przy wschodniej bramie.

- Trza wam było rzecz utaić, skrywając trupa gdzieś w lesie. Dość już żołnierze zaniepokojeni.

- Dowiedzieliby się jakimś sposobem. Gdybym skrył trupa w puszczy, i tak wróciłby do fortu. Jak ciało Soractusa - przywiązany na zewnątrz bramy, żeby ludzie znaleźli go rankiem.

Valannus zadrżał. Odwróciwszy się, podszedł do parapetu i w milczeniu patrzył na rzekę, czarną i połyskliwą w świetle gwiazd. Za rzeką jak hebanowy mur wznosiła się dżungla. Daleki skrzek pantery zakłócił ciszę. Noc naciskała, tłumiąc głosy żołnierzy pod blokhauzem, przyćmiewając ogień. Wiatr szeptał wśród czarnych gałęzi, marszczył mroczne wody. Na jego skrzydłach nadleciał niski, pulsujący dźwięk, groźny jak stąpnięcia łap lamparta.

- A w ogóle - ozwał się Valannus, jakby w głos wypowiadając swą myśl - co my wiemy... co wie ktokolwiek... o sprawach, które kryje puszcza? Znamy niewyraźne pogłoski o ogromnych bagnach i rzekach, i o lesie, co rozciąga się na niezmiernych równinach i wzgórzach, by urwać się wreszcie na wybrzeżu Oceanu Zachodniego. Ale jakie tajemnice tają się między tą rzeką a oceanem, nie ośmielamy się nawet przypuścić. Ani jeden biały nie pograżył się w owym gąszczu i nie wychynął na powrót żywy, by opowiedzieć nam, czego się dowiedział. Uczeńśmy w naszej cywilizowanej wiedzy, ale owa wiedza sięga tylko dotąd - do zachodniego brzegu tej prastarej rzeki! Któż wie, jakie postaci ziemskie i nieziemskie mogą się czaić za wątlm kręgiem światła, które rzuca nasza wiedza?

- Któż wie, jakich czci się bogów w mrokach tego pogańskiego lasu, jakie demony wypełzają z czarnego szlamu moczarów? Któż może mieć pewność, że wszyscy mieszkańcy owych ciemnych krain są ze świata tego? Zogar Sag... mędrzec ze wschodnich grodów skrzywiłby się na jego prymitywną magię jak na mamrotanie fakira; a przecie przywiódł do szaleństwa i ubił pięciu mężów sposobem, którego nikt nie jest zdolny wyjaśnić. Zastanawiam się, czy sam jest w pełni człowiekiem.

- Gdybym dotarł doń na rzut toporem, bez ochyby rozstrzygnąłbym tę sprawę - warknął Conan. Nie proszony nalał wina i pchnął szklanicę w kierunku Balthusa, który ujął ją z wahaniem, niepewnie spoglądając na Valannusa.

Gubernator zwrócił się do Conana i patrzył nań z namysłem.

- Żołnierze, co nie wierzą w duchy i demony - rzekł - ze strachu są już niemal w panice. Ty, który wierzysz w duchy, upiory, gobliny i wszelkie niestworzone rzeczy, zdajesz się nie lękać żadnej z nich.

- Nie masz na świecie nic takiego, czego by zimna stal nie przesiekła - odrzekł Conan. - Cisnąłem był toporem w demona i krzywdym mu nie uczynił, ale przecie chybić mogłem w zmierzchu albo gałąź lot zakłóciła. Z drogi nie zбочę, by się za demonami rozglądać, ale też ze szlaku nie ustąpię, by

którego przepuścić.

Valannus uniósł głowę i popatrzył Conanowi w oczy.

- Conanie, więcej od ciebie zależy, niż możesz przypuścić. Znasz słabości prowincji - owego wąskiego ostrza wrazonego w nieokiełznane puszcze. Wiesz, że żywoty wszystkich ludzi z zachodniego pogranicza zależą od tego fortu. Jeśli on padnie, czerwone topory będą trzaskać bramy Velitrium wcześniej, niż jeździec zdoła przemknąć przez pogranicze. Jego Wysokość albo doradcy Jego Wysokości zignorowali moją prośbę, by podesłano więcej wojska ku utrzymaniu granicy. Nic nie wiedzą o warunkach, jakie tu panują, i przeciwni są jakimkolwiek wydatkom na te regiony. Los pogranicza spoczywa w rękach ludzi, którzy teraz je dzierżą.

- Wiesz, że odwołano większą część armii, co podbiła Conajoharę. Wiesz, że siła, jaką mi ostawiono, jest nie-wystarczająca, szczególnie odkąd ten diabeł Zogar Sag zdołał zatruć nasze zapasy wody i czterdziestu ludzi szczeło w jeden dzień. Z pozostałych wielu jest chorych albo pokąsanych przez węże, albo poranionych od dzikich bestii, co we wciąż większej liczbie zdają się roić w pobliżu fortu. Żołnierze wierzą w przechwałkę Zogara, że potrafi wezwać leśnego zwierza, by ubił jego wrogów.

- Mam trzy setki pikinierów, cztery setki łuczników bossońskich i może z pięćdziesiątkę mężów biegłych, jak ty, w kunszcie tropicielskim. Warci są dziesięciokroć tyle żołnierzy, ale przecie jest ich mało. Szczerze, Conanie, me położenie staje się niepewne. Żołnierze szepczą o dezercji; brak im ducha, bo wierzą, że Zogar nasłał na nas demony. Lękają się czarnej zarazy, którą groził - okropnej czarnej śmierci z moczarów. Kiedy widzę chorego żołnierza, pocę się ze strachu, by nie ujrzeć jak czernieje, wysycha i umiera przed moimi oczyma.

- Conanie, jeśli spadnie na nas zaraza, żołnierze zdezerterują do ostatniego! Granica ostanie nie strzeżona i nic nie powstrzyma ciemnoskórych hord, co przewalą się pod same bramy Velitrium - a może i dalej! Jeśli my nie zdołamy utrzymać fortu, jakże tamci obronią gród?

- Conanie, Zogar Sag musi umrzeć, jeśli my mamy utrzymać Conajoharę. Przeniknąłeś nieznane dalej niż jakikolwiek inny człek z fortu; wiesz, gdzie wznosi się Gwawela, znasz niektóre leśne szlaki za rzeką. Zali weźmiesz dzisiejszej nocy garść ludzi i spróbujesz ubić go lub pojmać? Och, wiem, że to szaleństwo. Nie więcej jest niż jedna szansa na tysiąc, że którykolwiek z was powróci żywym. Ale jeśli go nie dostaniemy, śmierć nam wszystkim. Możesz wziąć tylu, ilu chcesz.

- Tuzin mężów lepszy do takiej roboty niż regiment - odrzekł Conan. - Pięć setek żołnierzy nie przedrze się do Gwaweli i z powrotem, ale tuzin może się prześlizgnąć. Zwól mi wybrać ludzi. Nie chcę żadnych żołnierzy.

- Pozwól mi iść! - z zapalem wykrzyknął Balthus. - W Tauranie przez całe życie polowałem na jelenie.

- Zgoda. Valannusie, pożywimy się przy ławie, gdzie gromadzą się tropiciele, i wybiorę swoich. Ruszymy za godzinę, łodzią popłyniemy do miejsca poniżej wioski i przekradniemy się do niej lasem. Jeśli przeżyjemy, wrócimy o świtaniu.

3. PEŁZAJĄCY W CIEMNOŚCI

Rzeka była mglistym szlakiem pomiędzy hebanowymi ścianami. Wiosła popychające długą łódź w zgęszczonych cieniach pod wschodnim brzegiem ostrożnie pogrążały się w wodzie, nie czyniąc więcej hałasu niż dziób czapli. Szerokie bary siedzącego przed Balthusem męża wydawały się błękitne w mroku. Młodzieniec wiedział, że nawet bystre oczy tropiciela kłęzącego na dziobie mogą rozróżniać przedmioty ledwie na kilka stóp. Conan jednakże wybierał drogę instynktownie, dzięki wybornej znajomości rzeki.

Nikt się nie odzywał. Balthus dobrze się przyjrzał swym towarzyszom jeszcze w forcie, nim wymknąwszy się zza palisady podążyli na brzeg do oczekującej łodzi. Byli z owego nowego rodzaju, wychowanego w surowym świecie pogranicza - ludzie, których ponura potrzeba wyuczyła leśnych kunsztów. Aquilończycy z zachodnich prowincji bez wyjątku, wiele mieli cech wspólnych. Odziewali się podobnie - w kozłowe buty, skórzane pludry i bluzy, szerokie pasy, u których wisiały topory i krótkie miecze; wszyscy byli posępni, poznaczeni bliznami, żyłaści, milkliwi i wszyscy patrzyli twardo.

Na swój sposób byli dzikim ludem, a przecie między nimi a Cymmeryjczykiem wciąż ziała przepaść. Pozostawali dziećmi cywilizacji, zepchniętymi w rodzaj barbarzyństwa. On był barbarzyńcą z barbarzyńców od tysiąca pokoleń. Oni nauczyli się kryć i podchodzić, on przyszedł z tym na świat. Przewyższał ich nawet w sprężystości oszczędnym sposobie poruszania. Byli wilkami, on zaś tygrysem.

Balthus podziwiał ich, podziwiał ich przywódcę i czuł drgnienie dumy, że został dopuszczony do tej kompanii. Był dumny, że jego wiosło nie hałasowało bardziej niż ich wiosła. W tym przynajmniej był im równy, choć umiejętności tropicielskie wyniesione z polowań w Tauranie nie mogły równać się z tymi, co wrosły w dusze ludzi z tej dzikiej granicy.

Poniżej fortu rzeka zataczała szeroki łuk. Szybko znikły światła posterunków, ale łódź sunęła jeszcze prawie przez milę, unikając mielizn i dryfujących pni z niemal niewyobrażalną dokładnością.

Potem, na niskie mruknięcie przywódcy, zmieniono jej kierunek i skierowano ku przeciwległemu brzegowi. Gdy wychynęła z gęstych cieni zarośli obrastających brzeg i wpłynęła na otwartą przestrzeń głównego nurtu, zdała się osobliwie widoczna. Ale gwiazdy słały skąpy blask i Balthus wiedział, że jeśli ktoś nie wypatruje łodzi specjalnie, prawie niemożliwością jest dostrzeżenie jej mrocznego kształtu, co przemyka przez rzekę.

Skęcili pod nawisłe gałęzie zachodniego brzegu i wyciągnąwszy dłoń Balthus namacał i uchwycił wystający korzeń. Nie powiedziano ani słowa. Wszystkie instrukcje zostały wydane, nim jeszcze zwiadowcy opuścili fort. Cicho jak wielka pantera Conan przesadził burtę i zniknął w zaroślach. Równie bezgłośnie podążyło za nim dziewięciu mężów. Balthusowi, który z wiosłem położonym na kolanach dzierżył korzeń, zdało się niewiarygodne, aby dziesięciu ludzi równie bezszelestnie rozwiąło się w splątanej gęstwie.

Przysposobił się do oczekiwania. Ani jedno słowo nie padło między nim a tropicielem, z którym go pozostawiono. Gdzieś, jaką milę ku północnemu zachodowi, otoczone gęstą puszcza, wznosiło się sioło Zogara Saga. Balthus rozumiał swe rozkazy: miał wraz z towarzyszem czekać na powrót oddziałku napastników. Jeśli Conan i jego ludzie nie powrócą o pierwszych promieniach świtu, mieli popędzić w górę rzeki do fortu i zameldować, że puszcza znów zebrała wśród najeźdźczego ludu swe odwieczne żniwo. Cisza była przygnębiająca. Ani jeden dźwięk nie dobiegał z czarnego lasu, niewidocznego spoza hebanowej masy nawisłych zarośli. Balthus nie słyszał już bębnow. Milczały od wielu godzin. Wciąż wyteżał oczy, nieświadomie sta-rając się ujrzeć coś w głębokim mroku... Dokuczały mu mokre nocne wyziewy rzeki i wilgotnego lasu. Gdzieś w pobliżu rozległ się dźwięk, jakby rozpryskując wodę rzuciła się wielka ryba. Balthus pomyślał, że musiała wyskoczyć tuż obok łodzi, ocierając się o jej burtę, bo lekkie drżenie przebiegło od dziobu po rufę, która z wolna jęła się odsuwać od brzegu. Mąż z tyłu puścił snadź występ, którego się trzymał. Balthus odwrócił głowę, by syknąć ostrzeżenie i ledwie dostrzegł postać towarzysza, plamę gęstszej czerni w zupełnych ciemnościach.

Człek ów nie odpowiedział. Zastanawiając się, czy też nie zasnął, Balthus wyciągnął rękę i uchwycił go za ramię. Ku swemu zaskoczeniu dostrzegł, że pod dotknięciem ciało towarzysza pochyła się i bezwładnie opada na dno łodzi. Z sercem podchodzącym do gardła Balthus wykręcił się i począł macać.

Jego drżące palce zsunęły się na gardło tropiciela... i tylko konwulsyjne zaciśnięcie szczęk młodzieńca powstrzymało krzyk, który począł wyrwać się z ust. Palce dotknęły ziejącej, mokrej rany - szyję towarzysza przecięto od ucha do ucha.

W owej chwili grozy i paniki Balthus zerknął w górę - wtedy muskularne ramię wystrzeliło z ciemności i dławiąc wrzask okrutnie ścisnęło jego szyję. Łódź rozkołysała się dziko. W dłoni Balthusa błysnął nóż, choć on sam nie wiedział, kiedy wyrwał go z cholewy. Począł dźgać, wściekle i na oślep. Poczuł, że ostrze tonie głęboko i szatański ryk zadźwięczał mu w uszach, ryk, na który zaraz nastąpiła okropna odpowiedź. Zdało się, że ożyła ciemność wokół niego. Ze wszech stron wzniosło się zwierzęce wycie i ułapiły go inne ramiona. Pod masą spadających ciał łódź rozkołysała się na boki, ale nim pogrążyła się wraz z Balthusem, coś trzasnęło młodzieńca w głowę i przez mgnienie noc rozjarzyła się oślepiającym wybuchem ognia, a potem nastąpiła ciemność, której nie rozświetlały nawet gwiazdy.

4. BESTIE ZOGARA SAGA

Ognie raz jeszcze oślepiły Balthusa, gdy z wolna jęły powracać doń zmysły. Mrugał i potrząsał głową. Blask ranił mu oczy. Wokół niego podnosiła się bezładna mieszanina dźwięków, które stopniowo, w miarę jak zmysły odzyskiwały ostrość, stawały się coraz wyraźniejsze. Uniósł głowę i tępo rozejrzał się dokoła. Rysując się na tle purpurowych jęzorów ognia, otaczały go czarne sylwetki.

Gwałtownie wróciła pamięć i rozeznanie. Tkwił pionowo przywiązany do pala w środku otwartej przestrzeni, otoczony przez dzikie i przerażające postaci. Za ich kręgiem płonęły ogniska, podtrzymywane przez nagie, ciemnoskóre niewiasty. Dalej dojrzał chaty z gliny i plecionki, kryte gałęzmi. Za chatami była palisada z obszerną furtą. Ale ujrzał te rzeczy tylko kątem oka. Nawet na tajemnicze smagłe niewiasty z ich osobliwymi fryzurami popatrzył nieobecny wzrokiem. Jego pełną uwagę przyciągali z jakąś okropną fascynacją mężczyźni, którzy się weń wpatrywali.

Krepi, o szerokich barach, mocno sklepionych piersiach, smukłych biodrach, byli nadzy, wyjąwszy skąpe przepaski. Blask ognisk podkreślał wyraźnie grę ich naprzężonych mięśni. Ciemne twarze były nieruchome, ale wąskie oczy lśniły blaskiem, jakie mają ślepie skradającego się tygrysa. Ich skudłone grzywy podtrzymywane były przez miedziane opaski. W dłoniach dzierżyli miecze i topory. Prymitywne opatrunki spowijały członki niektórych i smugi krwi zakrzepły na smagłej skórze. Stoczyli snadź niedawno śmiertelny bój.

Umknął nieruchomemu spojrzeniu swych pogromców i wydał krzyk zgrozy. Parę stóp od niego wznosiła się niewysoka, odrażająca piramida: uczyniono ją z krwawych ludzkich głów. Martwe oczy szkliscie wpatrywały się w czarne niebo. Odrętwiały rozpoznał te z twarzy, które były doń zwrócone. Oblicza mężów, którzy za Conanem podążyli do puszczy. Nie miał pewności, czy jest tam i głowa Cymmeryjczyka. Widział tylko kilka twarzy. Wydawało mu się, że musi tam być przynajmniej dziesięć albo jedenaście głów. Ogarnęła go przemożna słabość. Powstrzymywał wymioty. Za stosem głów spoczywały ciała pół tuzina Piktów i widok ów sprawił mu okrutną uciechę. Przynajmniej tropiciele zebrali swe żniwo.

Odwróciwszy głowę od upiornego widoku, uświadomił sobie, że w pobliżu wznosi się inny słupek - czarny jak ten, do którego sam był przywiązany. Człowiek wisiał przy nim w więzach, nagi poza skórzanymi pludrami; Balthus rozpoznał w nim jednego z ludzi Conana. Krew sączyła się z jego ust, leniwie ciekła z rany w boku. Uniósłszy głowę, oblizując zsiniałe usta, wymamrotał, ledwie słyszalny w szatańskim jazgocie Piktów:

- Też cię dostali!

- Podkradli się wodą i poderżnęli gardło drugiemu - wystękał Balthus. - Aniśmy ich usłyszeli, póki na nas nie spadli. Mitro, jak można poruszać się tak cicho?

- To diabły - mruknął tropiciel. - Musieli mieć nas na oku od chwili, gdyśmy minęli środek rzeki. Wleźliśmy w pułapkę. Strzały spadły na nas ze wszystkich stron, nimeśmy się obejrzeni. Większość zginęła od razu. Trzech czy czterech przebiło się przez zarośla i zwarło z wrogiem. Ale tamtych było

zbyt wielu. Conan mógł zemknąć. Nie widziałem jego głowy. Lepiej by było dla mnie i dla ciebie, żeby od razu nas ubili. Nie mam żalu do Conana. Normalnie dotarlibyśmy do wioski nie wykryci. Nie mają czujek na brzegu w tym miejscu, gdzieśmy wylądowali. Musieliśmy wpaść na duży oddział, co maszerował w górę rzeki z południa. Jakieś diabelstwo się gotuje. Za dużo tu Piktów. Nie wszyscy z Gwaweli; są tu ludzie z zachodnich szczepów, z góry i z dołu rzeki.

Balthus patrzył na dzikie postaci. Choć niewiele wiedział o piktyjskim życiu, to przecież pojmował, że zgromadzona wokół liczba ludzi nie jest proporcjonalna do wielkości sioła. Nie było dostatecznej ilości chat, by ich pomieścić. Potem dostrzegł, że są różnice w barbarzyńskich wzorach szczepowych wymalowanych na twarzach i piersiach.

- Jakieś diabelstwo - mamrotał tropiciel. - Może zebrali się, żeby oglądać Zogarowe czarowanie. Będzie odprawować niezwykłe czary z naszymi zewłokami. Cóż, człek z pogranicza nie spodziewa się śmierci w łożu. Atoli wolałbym, żebyśmy szeszli z tamtymi.

Wilcze zawrodozenie Piktów rozbrzmiało głośniejsz i z większą uciechą, i z ruchu w szeregach, żywego falowania i przepychania Balthus wywnioskował, że nadchodzi ktoś ważny. Odwróciwszy głowę dostrzegł, że koły wbite przed długim budynkiem, większym od innych chat, ozdobionym ludzkimi czaszkami wiszącymi u okapu. W drzwiach budowli tańczyła fantastyczna postać.

- Zogar! - mruknął tropiciel, którego zakrwawione oblicze skrzywiło się w wilczym grymasie, gdy nieświadomie naparł na więzy.

Balthus ujrzał szczupłą figurę średniego wzrostu, prawie całkowicie skrytą w strusich piórach osadzonych na skórzano-miedzianych pasach. Spoza piór wyzierało wstrętne, złośliwe oblicze. Pióra zaskoczyły Balthusa. Wiedział, że ich źródło leży pół świata na południe. Powiewały i szumiały złowrogo, gdy szaman podskakiwał i błaznował.

Wciąż fantastycznie tańcząc, wstąpił w krąg i wirował przed swymi spętanymi i milczącymi jeńcami. Inny człek w jego miejscu wyglądałby śmiesznie - głupi dzikus harcujący bezmyślnie wśród furkotu piór. Ale groźna twarz wyzierająca spod rozfalowanej masy ozdób przydawała całej scenie posępnego znaczenia. Nie mógł być śmieszny człek z takim obliczem i niczego innego niż szatana, którym był w istocie, nie mógł przypominać.

Nagle zastygł na kształt posągu; raz jeszcze zachwiały się pióra, a potem opadły. Zogar Sag stał wyprostowany i nieruchomy, i zdało się, że wyższy jest niż pierwej - że rośnie i ogromnieje. Balthus miał złudzenie, że Pikt wznosi się nad nim i patrzy pogardliwie z wielkiej wysokości, choć przecie wiedział, że szaman nie przewyższa go wzrostem. Z trudem opierał się temu złudzeniu.

Czarownik jął mówić, głosem szorstkim i gardłowym, co zarazem brzmiał jak syk kobry. Wyciągnął głowę na długiej szyi w kierunku rannego męża przy palu; w blasku ognisk jego oczy lśniły czerwienią jak krew. Tropiciel plunął mu w twarz.

Z szatańskim wyciem Zogar dał konwulsyjnego susa, a z gardzieli wojowników wyrwał się ryk, od którego zadrżały gwiazdy. Rzucili się w stronę człowieka przy palu, ale szaman powstrzymał ich. Warczący rozkaz posłał kilku ludzi biegiem w kierunku bramy. Rozwarli ją, zawrócili i na powrót

pognali ku zgromadzeniu. Otworzył się ludzki krąg, podzielił w rozpaczliwym pośpiechu na dwie części. Balthus ujrzał, że niewiasty i gołe dzieciaki kryją się w chatach, by wyglądać z okien i drzwi. Szeroka aleja wiodła ku otwartej bramie, za którą trwał czarny las, co posępnie jął napierać na nie oświetloną blaskiem ognisk wolną przestrzeń.

Zapanowała pełna napięcia cisza, gdy Zogar Sag zwrócił się ku puszczy, wspiął na palce i posłał w noc rozedrgane, osobliwe, nieludzkie wołanie. Gdzieś, daleko w puszczańskich ostępach, odpowiedział mu inny, głębszy ryk. Balthus zadygotał. Ton owego ryku podpowiedział mu, że nie z człowieczej wyszedł gardzieli. Przypomnił sobie, co mówił Valannus - że Zogar chełpił się, jakoby mógł przyzwać dzikie bestie wedle woli. Pod maską krwi twarz tropiciela była trupioblada. Spazmatycznie oblizywał wargi.

Wioska wstrzymała oddech. Zogar Sag stał jak posąg i tylko jego pióra kołysały się z lekka. I oto nagle brama przestała ziać pustką.

Drżące westchnienie przebiegło po wsi i ludzie w gorączce jęli się cofać, przepychać wzajem między chaty. Balthus poczuł, że włosy na czaszce stają mu dęba. Bestia, która stanęła we wrotach, była jak ucieleśnienie koszmarnej legendy. Posiadała maść osobliwie bladego odcienia, co sprawiało, że upiornie i nierzeczywiście wyglądała w przyćmionym świetle. Ale nie było nic nierzeczywistego w nisko zwieszonym okrutnym łbie i olbrzymich zakrzywionych kłach, połyskujących w blasku ognia. Na kocio bezszelestnych łapach zbliżała się owa bestia jak duch przeszłości. Była przeżytkiem dawniejszych, posępniejszych czasów, potwornym ludożercą z wielu prastarych opowieści - szablastozeby tygrysem. Żaden z hyboryjskich łowców od stuleci nie widział tego pierwotnego potwora. Odwieczne mity przypisywały mu nadnaturalne przymioty, wywodzone z upiornej maści i szatańskiej dzikości.

Bestia, co sunęła ku ludziom przy palach, była dłuższa i cięższa od zwykłego, pręgowatego tygrysa, równie prawie potężna jak niedźwiedź. Jej barki i przednie łapy zdawały się tak rozrosłe i tak tego umięśnione, że aż toporne, zadnie mocniejsze były niż lwie. Masywne szczęki tkwiły w prymitywnie ukształconym łbie. Niewiele zawierał mózgu, a w tym z kolei nie było miejsca na jakiegokolwiek instynkt - prócz instynktu niweczenia. Był to drapieżny wybryk natury zrodzony przez ewolucję opętańczo szafującą kłami i pazurami.

Taką to potworność przyzwał Zogar Sag z puszczy. Balthus nie wątpił już w prawdziwość jego magii. Tylko czarne kunszty mogły zapewnić władanie nad owym małomózgim, potężnym potworem. Jak cichy szept zrodziło się w głębi jego świadomości nikłe przypomnienie imienia starożytnego bóstwa mroków i odwiecznego lęku, przed którym kłonili się niegdyś po równi ludzie i bestie, i którego dzieci - szeptano - wciąż czają się w najciemniejszych zakątkach świata. Nowa groza zabarwiła spojrzenie, które wlepił w Zogara Soga.

Potwór minął stos ciał i kopiec krwawych głów, zdając się ich nie dostrzegać. Nie był ścierwojadem. W swym życiu poświęconym mordowaniu, polował tylko na żywe istoty. Straszliwy głód płonął w jego szerokich nieruchomych ślepiach; nie tylko ów głód, co płynie z pustego żołądka, ale też żądza uśmiercania. Z rozwartych szczęk kapiała ślina. Szaman cofnął się, a jego dłoń ukazała tropiciela.

Wielki kot przywarł do ziemi, a odrętwiały Balthus jął sobie przypominać opowiadania o jego srogości: o tym, jak potrafił wskoczyć na słonia i pogrzyźć swe szabliste kły w czaszce tytana tak głęboko, że nie mógł ich wyciągnąć, i przygwożdżony nimi do ofiary konał z głodu. Szaman zawrzasł przenikliwie i z rykiem gromopodobnym potwór skoczył.

Balthus nie mógłby sobie wyobrazić podobnego skoku, podobnej szarzy ożywionego zniszczenia, co się wcieliło w gigantyczny węzeł żelaznych mięśni i rwących szponów. Zwierz uderzył wprost w pierś tropiciela, a słup trząś i złamał się u podstawy, i runął na ziemię pod impetem ataku. A potem szablastozęby umknął ku bramie, na poły ciągnąc, na poły niosąc odrażający szkarłatny strzęp, który tylko odległe przypominał człowieka. Balthus patrzył niemal sparaliżowany, zaś jego umysł nie chciał uwierzyć w to, o czym zaświadczały oczy.

W owym skoku olbrzymia bestia nie tylko przełamała pał, ale również oderwała odeń zmasakrowane ciało ofiary. W chwili dotknięcia potężne pazury rozplątały i niemal rozerwały nieszczęśnika na strzępy, a gigantyczne kły wyszarpały czubek głowy, przenikając przez kość czaszki równie łatwo jak przez ciało. Krzepkie rzemieńne więzy pękły jak papier, a jeśli w jakimś miejscu trzymały - poddało się ciało i kości. Balthus nagle zwymiotował. Ścigał niedźwiedzie i pantery, ale nawet mu się nie śniło, że żyją gdzieś bestie zdolne z ludzkiego ciała uczynić w okamgnieniu tak przerażający krwawy strzęp.

Szablastozęby zniknął za bramą i parę chwil później głęboki ryk zatrząś puszcza, słabnąc w oddaleniu. Ale Piktowie wciąż kryli się między chatami, a szaman wciąż patrzył w kierunku bramy, co była jak czarne wejście rozwarte, by wpuścić noc.

Zimny pot zrosił skórę Balthusa. Jakież nowe okropieństwo przybędzie przed wrota, by ścierwo uczynić z jego ciała? Ogarnęła go przemożna panika i daremnie naparł na więzy. Bardzo czarna i straszna noc naciskała zza kręgu światła. A i same ognie lśniły jaskrawo jak ognie Piekieł. Poczul na sobie spojrzenia Piktów - setki głodnych, okrutnych oczu, co odbijały żądze tkwiące w duszach całkowicie zbitych owego człowieczeństwa, które on znał. Nie wyglądali już na ludzi; byli demonami tej czarnej dżungli, równie nieludzkimi jak bestie, ku którym szatan w pióropuszcach wrzeszczał przez mroki.

Zogar posłał w noc następne przerażliwe wołanie i w niczym nie przypominało ono pierwszego. Był w nim odrażający syk - i chłód ogarnął Balthusa, gdy o tym pomyślał. Jeśliby wąż mógł syczeć równie głośno, wydałby taki właśnie dźwięk.

Tym razem nie było odpowiedzi - tylko chwila całkowitej ciszy, w której łomotanie Balthusowego serca dusiło go; a potem za bramą rozległ się szmer, suchy szelest i dreszcz przebiegł po plecach młodzieńca. Znow w rozświetlonej bramie pojawił się wstrętny kształt.

I znow rozpoznał Balthus potwora ze starożytnych legend. Ujrzał i poznał pradawnego i złowrogiego węża, jak sunie unosząc na wysokości głowy męża swój trójkątny łeb, równie wielki jak łeb konia, a za nim faluje blade połyskujące cielsko. Rozdwojony język wysuwał się i krył, i blask ognia lśnił na obnażonych kłach.

Balthus przestał cokolwiek czuć. Sparaliżowała go okropność przeznaczenia. Owego gada

starożytni zwali Widmowym Wężem; był bladą, odrażającą grozą, co w dawnych czasach wślizgiwała się nocą do chat, by pożerać całe rodziny. Dusił ofiary niczym pyton, ale inaczej niż w wszystkich dusicieli jego kły zawierały jad, co śmierć niósł i szaleństwo. O nim także sądzono, że szczeł. Ale Valannus mówił słusznie. Żaden biały nie wie, jakie to postaci nawiedzają wielkie puszcze za Czarną Rzeką.

Przybywał bezszelestnie, falował po ziemi z odrażającym łbem wciąż na tej samej wysokości i szyją lekko odgiętą do tyłu - gotów do ciosu. Szklistym, zahipnotyzowanym wzrokiem wpatrywał się Balthus we wstrętną gardziel, co wnet go miała pochłonać, i poza lekkimi mdłościami nic nie czuł.

A potem coś, co błysnęło w świetle ognisk, wystrzeliło z cienia między chatami i wielki gad zwinął się w konwulsjach. Jak we śnie ujrzał Balthus, że krótki oszczep przebił potężną szyję tuż za rozwartymi szczękami; grot z jednej wyzierał strony, drzewce zaś z drugiej.

Wijąc się obmierzle, wpadł rozszalały gad w krąg ludzi, a ci podali się do tyłu. Oszczep nie strzaskał kręgosłupa, przebijając zaledwie potężne mięśnie. Wściekle tłukący ogon bestii powalił tuzin wojowników, jej szczęki zacisnęły się, spryskując pozostałych jadem, co palił jak płynny ogień. Wśród skowytu, klątw, wrzasków rozsypali się w gorączce, przewracając wzajem, depcząc po sobie, wpadając między chaty. Gigantyczny wąż wtoczył się w ogień, rozsiewając skry i główne, a ból podniecił go do gwałtowniejszych jeszcze wysiłków. Ściana chaty pochyliła się pod taranowym ciosem jego ogona i wyprysnęli spod niej wyjący ludzie.

Inni pędzili przez ogniska, kopiąc główne na lewo i prawo. Płomienie strzeliły i zaraz opadły. Tylko mdły czerwony poblask oświetlał koszmarną scenę, na której wił się i toczył olbrzymi gad, a ludzie szarpali się i skowycieli w gorączkowej ucieczce.

Balthus poczuł szarpnięcie u swych przegubów i oto cudem jakimś był wolny, a krzepka dłoń odciągała go do tyłu. Oszołomiony ujrzał Conana i poczuł jego żelazny uścisk na swym ramieniu.

Krew była na zbroi Cymmeryjczyka, zaschła krew na mieczu, który dzierżył w prawicy; niewyraźny i gigantyczny zdawał się Conan w słabej poświacie.

- Bieżaj! Nim opanują panikę!

Balthus poczuł, że w dłoń wepchnięto mu stylisko topora. Zogar Sag zniknął. Conan ciągnął Balthusa za sobą, dopóki umysł młodzieńca nie ocknął się z drętwoty, a jego nogi poczęły poruszać się o własnych siłach. Wtedy puścił go Cymmeryjczyk i wbiegł do budynku, w którym wisiały czaszki. Balthus podążył za nim. Dojrzał ponury ołtarz kamienny, nikle oświetlony blaskiem z zewnątrz; pięć ludzkich głów szczyrzyło zęby z owego ołtarza i przerażająco znajoma zdawała się najświeższa z nich - była to głowa kupca Tiberiasa. Za ołtarzem stał bałwan - niewyraźny, zamglony, zwierzęcy, a zarazem człekopodobny nieco w kształtach. Potem nowa groza jęła dławić Balthusa, gdy postać ta powstała niespodziewanie z grzechotem łańcuchów, unosząc w górę długie, niekształtne ramiona.

Spadł miecz Conana, przebijając ciało i kość, i już ciągnął Cymmeryjczyk Balthusa wokół ołtarza, obok zwiniętego na podłodze kudłatego cielska, ku drzwiom z tyłu długiej chaty. Wpadli w nie i

znów znaleźli się w zamkniętej przestrzeni. Ale kilka kroków przed nimi wznosiła się palisada.

Za budynkiem świątyni panował mrok. Szaleńcza ucieczka Piktów nie przywiodła ich w tę stronę. Przy ścianie Conan stanął, chwycił Balthusa i uniósł go w górę na wysokość wyciągniętego ramienia, jakby ten był dzieckiem, Balthus uczepił się czubków prostopadłych bali osadzonych w zaschniętej glinie i wdrapał się na nie, ani zważając na skaleczenia skóry. Opuścił dłoń ku Cymmeryjczykowi, gdy zza rogu chaty, którą opuścili, wyprysnął uciekający Pikt. Stanął jak wmurowany, w mdłej poświacie dostrzegając człeka na palisadzie. Conan cisnął toporem ze śmiertelnością precyzją, ale usta wojownika wcześniej rozwarły się do krzyku ostrzeżenia. Zabrział rozgłosnie wśród wrzawy i urwał się nagle, gdy Pikt padł z roztrzaskaną czaszką.

Oślepiająca groza nie tłumi zakorzenionych instynktów. Gdy dziki ów krzyk wzniosł się ponad harmider, na moment wszystko przycichło, a potem setka gardeł zawrzała wściekłą odpowiedzi i wojownicy nadbiegli wielkimi susami, by odeprzeć atak, o którym uprzedzało ostrzeżenie.

Conan podskoczył wysoko, chwycił nie dłoń Balthusa, lecz jego ramię powyżej łokcia i sam się podciągnął. Wysiłek sprawił, że Balthus zacisnął zęby, ale oto już był Cymmeryjczyk na ogrodzeniu i obaj uciekinierzy zeskoczyli na drugą stronę.

5. DZIECI JHEBBALA SAGA

- W której stronie rzeka? - Balthus stracił orientację.

- Nie próbować nam teraz dążyć ku rzece - mruknął Conan. - Puszcza między wioską a rzeką roi się od wojów. Ruszajmy! Skierujemy się tam, gdzie najmniej będą się nas spodziewać - na zachód!

Gdy pogrążali się w gęstwinę, Balthus zerknął przez ramię i dostrzegł palisadę upstrzoną z góry czarnymi głowami wyglądających dzikusów. Piktowie byli zdezorientowani. Nie wspięli się na częstokół dość szybko, by dostrzec kryjących się uciekinierów. Pospieszyli pod ogrodzenie z myślą, że przyjdzie im odpierać atak. Zobaczyli ciało ubitego wojownika. Ale nigdzie nie było widać wroga.

Balthus pojął, że jeszcze nie wiedzą, iż więzień zemknął. Z dochodzących go dźwięków wnioskował, że wojownicy, kierowani przenikliwym głosem Zogara Saga, dobijają strzałami rannego węża. Potwór wymknął się spod kontroli szamana. Po chwili zmienił się ton wrzasków. Noc rozdarły skrzeki wściekłości.

Conan roześmiał się ponuro. Prowadził Balthusa wąskim szlakiem, co wiódł pod czarnymi konarami na zachód, krocząc tak szybko i pewnie, jakby przemierzał dobrze oświetlony gościniec. Balthus kusztykał za nim i utrzymywał kierunek, wyczuwając gęste zielone ściany po obu stronach.

- Teraz ruszą za nami. Zogar odkrył, żeś uciekł, a wie, że nie ma mego łba na stosie przed chramem. Pies! Jeślibym miał drugą włócznię, jego bym skłuł, nimem cisnął w węża. Trzymaj się szlaku. Po blasku pochodni nas nie wytropią, a z wioski idzie tuzin ścieżek. Najpierw pójdą tymi, co wiedzą do rzeki - kordon wojowników na parę mil wzdłuż brzegu rozciągną, spodziewając się, że będziemy próbowali się przebić. Nie zboczymy w gęstwę, póki nie będziemy musieli. Szybciej będzie szlakiem. A teraz trzymaj się go i pędź, jakieś nigdy dotąd nie pędził.

- Diabło szybko tę grozę opanowali - sapnął Balthus, odpowiadając na rozkaz Conana przyspieszeniem biegu.

- Niczego zbyt długo się nie boją - burknął Conan.

Przez jakiś czas nic więcej nie mówili, całą uwagę poświęcając pokonywanej drodze. Wciąż głębiej i głębiej pogrążali się w ostępach i z każdym krokiem coraz dalej i dalej odsądzali się od cywilizowanego świata, ale Balthus nie wątpił w słuszność postępowania Conana. W końcu Cymmeryjczyk mruknął:

- Gdy dość daleko będziemy od wioski, wielkim łukiem zawrócimy do rzeki. Żadnego innego sioła na wiele mil od Gwaweli. A w jej sąsiedztwie wszyscy zebrali się Piktowie. Obejdziemy ich z dala. Nie wytropią nas przede dniem. Wtedy trafią na ślad, ale przed świtem poniechamy szlaku i zboczymy w las.

Sunęli dalej. Z tyłu zamarły wrzaski. Świszczący oddech wydobywał się przez zaciśnięte zęby Balthusa. Młodzieniec czuł ból w boku i bieg stał się męczarnią. Wpadał w krzaki po obu stronach

ścieżki. Nagle Conan zatrzymał się, odwrócił i wbił wzrok w mroczny szlak.

Gdzieś wschodził księżyc, mdłe blade światło wśród splątanych gałęzi.

- Zboczymy w puszcze? - wysapał Balthus.

- Daj mi swój topór - wymamrotał Conan cicho. - Coś jest tuż za nami.

- Tedy może lepiej poniechać szlaku! - wykrzyknął Balthus.

Conan pokręcił głową i wciągnął towarzysza w głębszą gęstwinę. Księżyc wzniosł się wyżej i rzucił na ścieżkę słaby blask.

- Nie możemy walczyć z całym plemieniem! - szepnął Balthus.

- Człek nie mógłby tak szybko trafić na nasz ślad ani tak szparko nim podążać - wymamrotał Conan. - Ścichnij!

Nastąpiła pełna napięcia cisza, w której zdawało się Balthusowi, że łomot jego serca słychać na mile wokół. Potem nagle, bez jednego dźwięku, dziki łeb pojawił się na mrocznej ścieżce. Serce podskoczyło Balthusowi do gardła; lękał się w pierwszej chwili, że ujrzy straszliwy pysk szablastozębego. Ale ten łeb był mniejszy, węższy: należał do lamparta, co stanął, w milczeniu obnażając kły, i wpatrywał się w ścieżkę. Jeśli nawet był jakiś wiatr, to wiał w kierunku ukrytych ludzi, nie zdradzając ich woni. Bestia pochyliła łeb i obwąchała szlak, a potem niepewnie ruszyła przed siebie. Dreszcz błądził po plecach Balthusa. Drapieżnik niewątpliwie ich tropił.

I był podejrzliwy. Uniósł łeb, a jego ślepia płonęły jak dwie ogniste kule, i warknął głucho. W tej samej chwili Conan rzucił toporem.

Cała siła barku i ramienia była w owym rzucie i smugą srebra zdał się w blasku księżyca lecący topór. W pełni jeszcze nieświadom, co się dzieje, ujrzał Balthus, że toczy się lampart w śmiertelnych konwulsjach, a stylisko topora sterczy z jego łba. Ostrze rozszczepiło wąską czaszkę.

Conan wyskoczył z zarośli, wyrwał oręż i zaciągnął bezwładne cielsko między drzewa, by je ukryć przed przypadkowym spojrzeniem.

- Teraz ruszajmy, i to szybko! - rzucił, kierując się na południe, w bok od szlaku. - Woje nadejdą za tym kotem. Zogar posłał go za nami, jak tylko odzyskał rozum. Piktowie poszli za nim, ale zostawił ich daleko. Okrążał wioskę, póki nie podjął śladu, a potem ruszył jak błyskawica. Nie mogli wydzierżyć szybkości, ale mają pojęcie, w którąśmy podążyli stronę. Będą iść i nasłuchiwać jego ryku. Ha, nie usłyszą go, ale krew znajdą na szlaku i rozejrzą się, i znajdą ścierwo w krzakach. I tam może ślady nasze zobaczą. Idź ostrożnie.

Bez wysiłku wymijał czepliwe kolczaste krzaki, nisko nawisie gałęzie, i sunął między drzewami, nie dotykając pni i stawiając stopy w miejscach tak wybranych, by jak najmniej świadczyły o jego przejściu; dla Balthusa była to wolniejsza, bardziej wyczerpująca robota.

Żaden dźwięk nie rozlegał się za ich plecami. Pokonali już przeszło milę, gdy Balthus zapytał:

- Zali Zogar Sag chwytła lamparcięta i czyni z nich psy gończe?

Conan pokręcił głową.

- Tego lamparta przyzwał z puszczy.

- Ale - nalegał Balthus - jeśli może rozkazać bestiom, by postępowały wedle jego woli, to czemu wszystkich nie wezwie dla pościgu za nami?

Conan przez chwilę nie odpowiadał, a potem ozwał się z osobliwą powściągliwością.

- Nie może rozkazywać wszelkiemu zwierzowi. Tylko temu, co pamięta Jhebbala Saga.

- Jhebbal Sag? - Balthus z wahaniem powtórzył prastare imię. Tylko trzy lub cztery razy w ciągu całego życia słyszał, jak je wymawiano.

- Kiedyś wyznawały go wszystkie żywe istoty. Dawno temu to było, kiedy ludzie i bestie jedną gadali mową. Ludzie zapomnieli; nawet bestie zapomniały. Tylko kilka pamięta. Ludzie, którzy pamiętają Jhebbala Saga, i zwierzęta, co go pamiętają, są braćmi i mają wspólny język.

Balthus nic nie odrzekł; męczył się przy piktyjskim palu i widział, jak dookolna puszcza śle na wezwanie szamana swe zębate okropieństwa.

- Śmieją się ludzie cywilizowani - mówił Conan - ale żaden rzecz mi nie potrafi, jakim też sposobem wzywa Zogar Sag z ostępów pytony, tygrysy i lamparty i zmusza je, by mu były powolne. Gdyby się ośmielili, powiedzieliby, że to kłamstwo. Taki jest obyczaj ludzi cywilizowanych. Nie chcą uwierzyć w to, czego nie potrafi wyjaśnić ich niedopieczona nauka.

Lud z Tauranu bliższy był niż większość Aquilończyków wszystkiemu co pierwotne, trwały przesady, których źródła tkwiły w czasach starożytnych. A Balthus widział rzeczy, od których wciąż mrowiła mu skóra. I nie mógł zaprzeczyć owej przerażającej prawdzie, co wynikała ze słów Conana...

- Słyszałem, że gaj prastary, poświęcony Jhebbalowi Sagowi, gdzieś jest w tej puszczy - rzekł Conan. - Nie wiem. Nie znalazłem go. Ale gaj ów więcej bestii w tych stronach pamięta, nimem kiedykolwiek widział.

- Tedy inne ruszą naszym śladem?

- Już ruszyły - brzmiała niepokojąca odpowiedź Conana. - Zogar nie ostawiłby wytopienia nas jednemu jeno bydłeciu.

- Co więc nam czynić? - pytał zakłopotany Balthus, ściskając topór i spozierając na ponure sklepienie nad swą głową. Dreszcz go przeszył, gdy zdało mu się, że lada chwila rwące pazury i kły spadną z cienia.

- Czekaj!

Conan odwrócił się, kucnął i począł swym nożem kreślić na ziemi osobliwy symbol. Pochyliwszy się, by zerknąć nad jego ramieniem, Balthus znów poczuł na plecach mrowienie - nie wiedział dlaczego. Wiatr nie muskał jego twarzy, a przecie liście szeleściły nad nimi i niesamowity jęk przebiegł gałęzie. Conan podniósł nieodgadniony wzrok, potem powstał i posepnie patrzył na symbol, który przed chwilą nakreślił.

- Cóż to jest? - wyszeptał Balthus. Archaiczny i niezrozumiały zdawał mu się rysunek. Mniemał, że to nieznamość sztuki nie pozwalała mu rozpoznać w nim jednego z konwencjonalnych znaków którejs z dominujących kultur. Gdyby wszelako był najlepiej nawet kształconym artystą świata, ani o krok nie przybliżyłby się do zrozumienia.

- Widziałem znak ten wyryty w kamieniu w jaskini, gdzie od miliona lat nie powstała ludzka stopa - mruknął Conan - wśród niezamieszkanycch gór za Morzem Vilayet, poi świata od tego tu zakątka. Później widziałem, jak czarny guślarz z Kush skrobie go w piasku bezimiennej rzeki. Wyjaśnił mi po części, co oznacza - poświęcony jest ów znak Jhebbalowi Sagowi i stworzeniom, co go wyznają. Patrzaj!

Cofnęli się w gęstsze listowie parę kroków dalej i czekali w milczeniu. Bębny mruzczały na wschodzie i gdzieś ku północy i zachodowi odpowiadały im inne bębny. Balthus zadygotał, choć wiedział, że wiele mil czarnej puszczy dzieli go od posepnych mężów, co biją w owe bębny, bębny, których głuche dudnienie jest niesamowitą uwerturą gotującą mroczną scenę dla krwawego dramatu.

Zauważył, że nieświadomie wstrzymuje oddech. Potem z lekkim drżeniem liści rozstąpiły się zarośla i wyszła wspaniała pantera... Smugi przenikającego przez liście księżycowego światła lśniły na jej połyskliwym futrze i falowały w rytm drgnień okrytych nim ogromnych mięśni.

Sunęła w ich stronę z nisko zwieszonym łbem. Węszyła ślad. Potem stanęła jak zamurowana z nozdrzami prawie dotykającymi wyskrobanego na ziemi symbolu... Przez długą chwilę trwała nieruchomo; potem rozplaszczyła długie cielsko, kładąc łeb przed znakiem. I Balthus poczuł, że jeżą mu się włosy. Albowiem lęk był w postawie ogromnego drapieżnika i uwielbienie.

Potem pantera podniosła się i z brzuchem dotykającym niemal ziemi wycofała się ostrożnie. Gdy zad jej dotknął zarośli, odwróciła się jakby ogarnięta paniką i umknęła jak błysk cętkowanego światła.

Drżącą dłonią otarł Balthus czoło i popatrzył na Conana. Oczy barbarzyńcy zarzyły się ogniem, co nigdy nie rozświetlał oczu ludzi karmionych ideami cywilizacji. W owej chwili był całkowicie dziki i zapomniał o człeku przy swoim boku. W jego płonącym spojrzeniu dostrzegł Balthus i mgliście rozpoznał pierwotne wizje i na pół cielesne wspomnienia; cienie z przedświt u życia, zapomniane i odrzucone przez rozwinięte rasy - pradawne, odwieczne zjawy, nie nazwane i bezimienne.

A potem skryły się owe najgłębsze ognie i w milczeniu ruszył Conan w puszczańskie ostępy.

- Zwierza bać się już nie musimy - rzekł po chwili. - Ale znak ostawiliśmy, który ludzie mogą

odczytać. Niełatwo iść im przyjdzie naszym tropem i dopóki znaku nie najdą, nie będą pewni, żeśmy skręcili na południe. A i wtedy bez pomocy bestii nieprosto będzie nas wyniuchać. Ale lasy na południe od szlaku pełne będą wojów, co nas szukają. Jeśli i za dnia będziemy maszerować, bez ochyby na jakichś wpadniemy. Gdy tylko trafimy na sposobne miejsce, skryjemy się i przeczekamy do nocy, by skręcić i przebijać się ku rzece. Trza nam ostrzec Valannusa, ale nic mu nie pomożemy, jeśli damy się pierwej ubić.

- Ostrzec Valannusa?

- Piekło! Puszcza wedle rzeki roi się od Piktów! Oto czemu nas dostali. Zogar warzy wojenne czary; teraz to nie zwyczajna napaść. Uczynił coś, czego za mej pamięci żaden nie dokonał Pikt - zjednoczył przynajmniej piętnaście albo szesnaście klanów. Magią to osiągnął; za czarownikiem dalej pójdą niż za wodzem. Widziałeś ów tłum we wiosce; a setki, których żeś nie widział, skryły się na brzegu rzeki. I więcej ich przybywa, z dalszych osiedli. Będzie mieć najmniej trzy tysiące wojennego ludu. Leżałem w krzaczach i słyszałem ich gadaninę, gdy przechodzili mimo. Chcą uderzyć na fort; kiedy, nie wiem, ale Zogar długo zwlekać nie będzie. Zebrał ich i do gorączki podniecił. Jeśli szybko nie powiedzie ich do bitwy, poczną się żreć między sobą. Są jak oszalałe z krwi tygrysy.

- Nie wiem, czy wezmą fort, czy nie. Tak czy owak, musimy przebrać się przez rzekę i przekazać ostrzeżenie. Osadnicy podle velitryjskiej drogi muszą albo do fortu podążyć, albo zemknąć do Velitrium. Kiedy Piktowie fort będą oblegać, pojedyncze oddziały przeczeszą drogę daleko na wschód - mogą nawet przekroczyć Rzekę Piorunową i najechać gęsto zasiedloną krainę poza Velitrium.

Mówiąc to, coraz gębiej i głębiej prowadził w dziewicze ostępy. Wreszcie mruknął z zadowoleniem. Dotarli do miejsca, gdzie poszycie było rzadsze i pojawił się wiodący ku południowi skalisty język. Balthus poczuł się bezpieczniej, gdy nań wstąpili. Nawet Pikt nie mógł ich wytropić na gołym kamieniu.

- Jakżeś się wymknął? - spytał w końcu.

Conan poklepał się po kolczudze i hełmie.

- Jeśliby pogranicznicy nosili takie żelastwo, mniej by czaszek wisiąło po chramach. Ale większość mężów hałas czyni, gdy przywdziewa zbroję. Czekali po obu stronach ścieżki, bez ruchu. A kiedy Pikt stoi nieruchomo, nie dostrzega go nawet przechodzący mimo puszczański zwierz. Widzieli, jakeśmy przekraczali rzekę i zajęli sposobne miejsca. Gdyby uczynili pułapkę po tym, jakeśmy wylądowali, jakoś bym to wywęszył. Ale już czekali i nawet liść nie zadrżał. Sam diabeł niczego by się nie domyślił. Jąłem coś podejrzewać, kiedym usłyszał, jak strzała zaszurała przy naciąganiu łuku. Padłem i krzyknąłem do ludzi, żeby padli, ale byli za wolni, ot, po prostu dali się zaskoczyć.

- Większość zginęła od pierwszej salwy puszczonej z obu stron. Niektóre strzały przeleciały nad ścieżką i ugodziły w Piktów po przeciwległej stronie. Słyszałem ich skowyt.

Skrzywił się ze zjadliwą uciechą.

- Ci z nas, co przetrwali, runęli w las i zwarli się z wrogiem. Kiedym zobaczył, że pozostali padli lubo zostali po j mani, przebiłem się i w ciemnościach zemknąłem malowanym diabłom. Byli wszędzie wokół. Biegłem i skradałem się, i pełzałem, i czasem leżałem na brzuchu wśród zarośli, a oni przechodzili z wszystkich stron.

- Próbowałem dotrzeć na brzeg, ale zobaczyłem, że go obstawili i tylko czekają na taki ruch. Ale przerąbałbym się jakoś i spróbował szczęścia wpław, gdybym nie usłyszał bębnow, co dudniły we wiosce. Wtedy pojął, że dostali kogoś żywym.

- Tak ich pochłonęło Zegarowe czarowanie, że mogłem przeleźć przez częstokół za chramem. Miejsca owego miał strzec jeden wojownik, ale siedział w kucki za chałupa i wyzierał zza rogu na ceremonię. Podszedłem doń z tyłu i kark mu skręciłem, nim pojął, co też się dzieje. Jego to włócznią cisnąłem w węża i jego topór teraz dzierzysz.

- Ale co to było... ta bestia, coś ją ubił w chramie? - spytał Balthus, ogarnięty dreszczem na samo wspomnienie mgliście widzianego okropieństwa.

- Jeden z Zegarowych bogów. Jedno z Jhebbalowych dzieci, co nie pamiętało i które trza było trzymać przykute do ołtarza. Małpa - byk. Piktowie mają je za poświęcone Włochatemu Bóstwu, które żywie na księżycu - bogowi-goryłowi Gullah.

- Dnieje. Tu jest zacne miejsce, by się skryć, póki się nie dowiemy, jak też blisko są na naszym tropie. Pewnie trza będzie nocy czekać, żeby przebić się ku rzece.

Niewysokie wzgórze wznosiło się przed nimi, opasane i pokryte gęstwą drzew i zarośli. Tuż pod wierzchołkiem Conan wśliznął się w labirynt sterczących skałek, zwieńczonych gęstymi krzakami. Leżąc między nimi, mogli obserwować puszcę w dole, sami nie będąc widzianymi. Dobrze to było miejsce na kryjówkę i do obrony. Balthus nie wierzył, że nawet Pikt mógłby ich wytropić na owym skalistym podłożu, po którym kroczyli przez cztery czy pięć ostatnich mil, ale wciąż się lękał posłusznych Zogarowi bestii. Zachwiała się nieco jego wiara w osobliwy symbol. Ale Conan odrzucał możliwość, by mogły wyśledzić ich zwierzęta.

Upiorna białość rozsnęła się wśród gęstych gałęzi; widoczne skrawki nieba zmieniły odcień, z fioletów na błękitny. Balthus czuł szarpiące szpony głodu, choć pragnienie zaspokoił był przy strumyku, który mijali. Panowała zupełna cisza i tylko czasem zakwilił ptak. Nie było już słychać bębnow. Myśli Balthusa wróciły do ponurej sceny przed chramem.

- To strusie pióra miał na sobie Zogar Sag - powiedział. - Widziałem je na hełmach rycerzy, co dążyli ze wschodu, by odwiedzić baronów pogranicza. Nie masz strusi w tej puszczy, czyż nie tak?

- Są z Kush - odrzekł Conan. - Kęs drogi stąd, na zachód, leży brzeg morski. Korabie z Zingary przybywają od czasu do czasu i szczepom z wybrzeża sprzedają oręż, ozdoby i wino za skóry, rudę miedzi i złoty pył. Czasem handlują strusimi piórami, które mają od Stygijczyków i które ci z kolei dostają od czarnych plemion z Kush, co leży na południe od Stygli. Piktyjscy szamani dobrze za nie płacą. Ale wielce hazardowny to handel. Leży w charakterze Piktów próbować zawładnąć okrętem. I wybrzeże niebezpieczne jest dla statków. Żeglowałem wzdłuż niego, gdym był z piratami Wysp

Baracha, co leżą na południowy zachód od Zingary.

Balthus z podziwem popatrzył na towarzysza.

- Wiedziałem, żeś nie strawił całego żywota na tym pograniczu. Wspomniałeś o paru dalekich miejscach. Dużoś podróżował?

- Dalekom bywałem; dalej niżli jakikolwiek inny człek z mego ludu. Widziałem wszystkie wielkie miasta Hyboryczyków, Shemitów, Stygijczyków i Hyrkańczyków. Wędrowałem po nieznanach krainach na południe od czarnych królestw Kush, i na zachód od Morza Vilayet. Byłem kapitanem najemników, korsarzem, munganem, włóczęgą bez grosza, generałem - piekło! Byłem wszystkim, tylko nie królem cywilizowanej krainy, a i królem może zostanę, nim zemrę.

Myśl ta sprawiła mu przyjemność i wykrzywił oblicze w uśmiechu. Potem wzruszył ramionami i potężną swą postać rozciągnął na skale.

- Ale i ten żywot równie dobry, jak każdy inny. Nie wiem, jak długo ostanę na granicy: tydzień, miesiąc, rok. Włóczęgowską mam naturę. Tak dobrze na pograniczu, jak gdziekolwiek indziej.

Balthus począł obserwować rozciągającą się w dole puszcę. W każdej chwili spodziewał się, że z listowia wyłoni się malowane srogie oblicze. Ale mijały godziny i żadne skradające się stopy nie zakłócały panującej ciszy. Balthus uwierzył, że Piktowie zgubili ślad i poniechali pogoni. Conan stawał się niespokojny.

- Powinniśmy wypatrzeć oddziały, co za nami przeczesują puszcę. Jeśli zaniechali pościgu, to tylko dlatego, że mają na oku lepszą zwierzynę. Mogą się zbierać, by przekroczyć rzekę i uderzyć na fort.

- Czy zabrnęliby tak daleko na południe, jeśli zgubili ślad?

- Stracili trop, bez ochyby; inaczej już dawno siedzieliby nam na karkach. W zwykłych warunkach przetrząsaliby las na wiele mil w każdym kierunku. I paru przeszłoby w takiej odległości, że byłoby ich widać ze wzgórza. Muszą się gotować do przekroczenia rzeki. Trza nam spróbować szczęścia i ruszyć ku rzece.

Zsuwając się w dół po skałach, Balthus czuł mrowienie między łopatkami, bo zdawało mu się, że lada chwila niszcząca nawała strzał runie z zielonej gęstwy. Lękał się, że Piktowie wysłedzili ich jednak i czekają w zasadzce. Ale Conan był przekonany, że nie ma wrogów w pobliżu - i miał rację.

- Wieleśmy mil na południe od wioski - mruknął. - Ruszamy prosto ku rzece. Nie wiem, jak daleko w dół rzeki pociągnęli... Miejmy nadzieję, że jesteśmy dalej.

Z pośpiechem, który Balthusowi zdał się nierozwagą, podążyli na wschód. Las był jak wymarły. Conan sądził, że wszyscy Piktowie zgromadzili się w pobliżu Gwaweli, jeśli w istocie nie przekroczyli jeszcze rzeki. Nie wierzył jednak, by mieli to uczynić za dnia.

Któryś z tropicieli niechybnie by ich dostrzegł i alarm podniósł. Przeprowią się poniżej i powyżej

fortu, gdzie nie wypatrzą ich strażę. Potem inni wsiadą w czółna i skierują się wprost na częstokół przy rzece. Gdy tylko zaatakują, ci, co skryli się w gęstwie na wschodnim brzegu, napadną na fort z innych stron. Próbowali tego wcześniej, ale skończyli z podziurawionymi kałdunami i posiekanymi flakami. Ale teraz dość mają ludzi, by rzetelny szturm przypuścić.

Sunęli bez zatrzymania, choć Balthus tęsknie spoglądał na przemykające między konarami wiewiórki, które mógłby strącić rzutem topora. Z westchnieniem podciągnął swój szeroki pas. Wieczna cisza i mrok panujące w pierwotnej puszczy poczynały go przygnębiać. Uświadomił sobie, że wraca myślą do zagajników i skąpanych w słońcu łąk Tauranu, że wspomina krzepiący obraz ojcowego domu o spadzistym dachu i diamentowo skrzących się oknach, tłustych krów skubiących gęstą, soczystą trawę, że tęskni za szczerą kompanią żyłastych oraczy i pasterzy o nagich, ogorzałych ramionach.

Czuł się samotnie, mimo że miał towarzysza. Conan w takim stopniu stanowił część puszczy, w jakim Balthus był jej obcy. Mógł Cymmeryjczyk spędzić lata w wielkich grodach świata; mógł kroczyć ramię w ramię z ich władcami; mógł nawet pewnego dnia ucieleśnić swą szaleńczą mrzonkę i zostać królem cywilizowanego ludu - zdarzały się rzeczy dziwniejsze. Ale nie przestał być barbarzyńcą. Obchodziły go tylko najprostsze prawa życia. Nie miały dlań znaczenia owe ciepłe serdeczności małych, miłych spraw, owe sentymenty i rozkoszne banały, które składają się na znaczną część żywota ludzi cywilizowanych. Wilk nie przestaje być wilkiem tylko dlatego, że kaprys losu rzuca go w zgraję psów łańcuchowych. Rozlew krwi, przemoc i okrucieństwo były naturalnymi ogniwami żywota, który Conan znał; nie rozumiał i nie mógł zrozumieć tych tak drogich sercom cywilizowanych niewiast i mężów drobnostek.

Wydłużały się cienie, gdy dotarli do rzeki i wyjrzeli przez obrastające brzegi zarośla. Wzrok sięgał jakąś milę w każdym kierunku. Powierzchnia posępnego nurtu była pusta. Conan zerknął na drugi brzeg.

- Tu znów musimy zaryzykować. Musimy przepłynąć rzekę. Nie wiemy, czy się przeprawili, czy nie. Ten tam las może się od nich roić. Ale trza nam zaryzykować. Jesteśmy jakich sześć mil na południe od Gwaweli...

Zwinął się i pochylił, gdy zabrząkała cięciwa. Coś na kształt białej smugi światła przemknęło przez zarośla. Balthus wiedział, że to strzała.

A potem iście tygrysim skokiem Conan przesadził krzaki. Balthus dojrzał błysk stali, gdy zawirował miecz, i usłyszał śmiertelny jęk. Chwilę później w ślad za Cymmeryjczykiem runął przez zarośla.

Pikt z roztrzaskanym czerepem leżał na ziemi, a jego palce spazmatycznie szarpały murawę. Pół tuzina innych z wzniesionymi mieczami i toporami kłębiło się wokół Conana. Odrzucili łuki, nieprzydatne w tak śmiertelnym ścisku. Ich szczęki pomalowane były na białą i kontrastowały ostro z ciemnymi obliczami; wzory, które zdobiły ich muskularne piersi, różniły się od wszystkich, jakie dotychczas Balthus widział.

Jeden z nich cisnął toporem w młodzieńca nadbiegającego z uniesionym nożem. Balthus uchylił się

i chwycił dłoń kierującą sztylet w jego gardło. Wraz z przeciwnikiem padł na ziemię i jęli się toczyć. Pikt był niczym dzika bestia o mięśniach twardych jak stalowe powrozy.

Balthus wyczerpał wszystkie siły, by nie puścić przegubu dzikusa i użyć własnego topora, tak wszelako wściekła i szybka była walka, że każda próba zadania ciosu kończyła się niepowodzeniem. Pikt szarpał się opętańczo, chcąc wyrwać dłoń z nożem, a jednocześnie kurczowo ścisnął topór Balthusa i kolanem uderzał młodzieńca w krocze. Nagle spróbował przerzucić swój sztylet do wolnej dłoni i w tym momencie, z trudem podniósłszy się na kolano, desperackim zamachem topora Balthus rozplątał jego malowany łeb.

Porwał się Taurańczyk na nogi i dzikim wzrokiem jął szukać towarzysza, spodziewając się ujrzeć go pokonanego przez liczniejszych nieprzyjaciół. I wtedy uświadomił sobie, jak por ornym i groźnym człkiem jest Cymmeryjczyk. Conan powalił dwu napastników, rozszczepiając ich niemal na połowy uderzeniami swego straszliwego miecza. Gdy Balthus spojrzął, Cymmeryjczyk - odbiwszy pchnięcie krótkiego miecza - uniknął ciosu topora kocim wręcz susem i znalazł się na odległość ramienia od przykucniętego dzikusa, który pochylił się, by podnieść łuk. Nim zdołał się Pikt wyprostować, runął w dół krwawy oręż i rozplątał go od barku po mostek, grzęznąc w kości. Z obu stron zaatakowali ostatni dwaj wojownicy, ale Balthus celnie miotnął toporem i jeden tylko pozostał, ku któremu, poniechawszy prób wyswobodzenia miecza, zwrócił się Conan z gołymi dłońmi. Krępy Pikt, o głowę niższy od swego rosłego przeciwnika, skoczył opuszczając topór, a zarazem dźgając mordczo swym nożem. Pękł ów nóż na zbroi Cymmeryjczyka, zaś topór zamarł w powietrzu, gdy żelazne palce Conana zwały się na opadającym ramieniu. Głośno trzasnęła kość i ujrzał Balthus, że krzywi się Pikt i chwieje. W następnej chwili uniesiony został do góry, wysoko nad głowę Cymmeryjczyka, wijąc się, szamocząc i kopiąc, a potem cisnął nim Conan o ziemię z taką mocą, że przekoziółkował, zanim legł nieruchomo. Jego bezwładna postać świadczyła o potrzaskanych członkach i złamanym kręgosłupie.

- Chodźmy! - Conan wyswobodził swój miecz i porwał topór. - Bierz łuk, przygarść strzał i spieszmy! Znow nogom naszym musimy zawierzyć. Wrzask usłyszeli. Będą tu w okamgnieniu. Jeśli teraz ruszymy wplaw, naszpikują nas strzałami, nim dotrzemy do głównego nurtu!

6. KRAWE TOPORY POGRANICZA

Conan nie pograżył się w las zbyt głęboko. Kilkaset kroków od rzeki zmienił kierunek i jął biec równoległe do brzegu. Balthus dostrzegł w tym zacięte postanowienie, by nie dać się odpędzić od rzeki, którą winni przekroczyć jeśli mieli ostrzec ludzi w forcie. Za nimi rozlegały się coraz głośniejsze wrzaski puszczańskiego ludu: Balthus mniemał, że Piktowie dotarli do polanki, na której leżeli ubici. Dalsze okrzyki zdawały się dowodzić, że dzicy podjęli pościg w lesie. Pozostawili wszak uciekinierzy ślad, którym mógł podążać każdy Pikt.

Conan zwiększył szybkość, a Balthus, zacisnąwszy ponuro zęby, trzymał się tuż za nim, choć czuł, że w każdej chwili może omdleć. Minęły, zda się, stulecia, odkąd jadł ostatni raz. Jenó wysiłek woli sprawiał, że wciąż biegł. Krew tak opętańczo tętniła w jego uszach, że nie zorientował się, kiedy zamilkły wrzaski za ich plecami.

Conan zatrzymał się raptownie. Balthus przylgnął do drzewa i ciężko dyszał.

- Dali spokój! - mruknął Conan, patrząc spode łba.

- Podkradają... się... do... nas! - wysapał Balthus.

Conan pokręcił głową.

- Gdy pogoń krótka, jak teraz, wrzeszczą przy każdym kroku. Nie. Zawrócili. Tuszę, że słyszałem, jak ktoś za nimi krzychał parę chwil przed tym, jak harmider jął słabnąć. Odwołano ich. Dobrze to dla nas, ale diablo źle dla załogi fortu. Znaczy to, że wojów przyzywają z puszczy dla ataku. Ci ludzie, na którychśmy wpadli, to woje jakiegoś szczepu z dołu rzeki. Niechybnie zmiierzali ku Gwaweli, by przyłączyć się do napaści na fort. Przekleństwo, dalej jesteście niż pierwej. Musimy przedostać się przez rzekę.

Skręciwszy na zachód, pospieszył przez gęstwinę, nie czyniąc najmniejszej próby, by się skryć. Balthus podążył za nim, po raz pierwszy czując ukłucia bólu w barku i piersi, gdzie poraniły go dzikie zęby Pikta. Przedzierał się przez gęste zarośla obrastające brzeg, gdy Conan odciągnął go do tyłu. Potem usłyszał rytmiczny plusk i wyjrawszy przez listowie, dostrzegł prącą w górę rzeki dłubankę. Jedyne płynące nią małż krzepko napierał na wiosło, walcząc z nurtem. Był to tego zbudowany Pikt z czaplím piórem wetkniętym za miedzianą opaskę, podtrzymującą prosto przystrzyżoną grzywę.

- Człek z Gwaweli - wymamrotał Conan. - Wysłannik Zogara. Białe pióro o tym świadczy. Zaniósł słowo pokoju plemionom z dołu rzeki, a teraz próbuje dotrzeć z powrotem, by łapę do rzezi przyłożyć.

Samotny emisariusz był już niemal na wysokości ich kryjówki, gdy nagle Balthus nieomal wyskoczył ze skóry. Oto bowiem tuż koło ucha usłyszał szorstkie, gardłowe gadanie Pikta. A potem zrozumiał, że to Conan wzywa wiosłarza w jego własnym języku. Człek ów drgnął, omiótł wzrokiem zarośla, krzyknął coś w odpowiedzi, niepewne spojrzenie posłał przez rzekę i pochyliwszy się nisko, skierował czółno ku zachodniemu brzegowi. Nie pojmując, co się dzieje, ujrzał Balthus, że Conan

wyjmuje mu z ręki łuk, podjęty na polanie, i zakłada nań strzałę.

Pikt podprowadził czółno blisko brzegu i wpatrując się w zarośla, coś wykrzyknął. Odpowiedź nadeszła w jęku cięciwy i błyskawicznym locie strzały, co po pióra ugrzęzła w jego szerokiej piersi. Ze zdławionym sapnięciem pochylił się na bok i runął do płytkiej wody. W okamgnieniu zsunął się Conan z brzegu i wkroczył do wody, by pochwycić dryfujące czółno. Balthus pokuszył się za nim i w niejakim oszołomieniu wdrapał się do łodzi. Conan też się wgramolił i chwyciwszy wiosło, skierował czółno ku wschodniemu brzegowi. Z pełnym zazdrości podziwem śledził Balthus grę potężnych mięśni pod spaloną od słońca skórą. Zdawał się być Cymmeryjczyk żelaznym mężem, któremu obce było znużenie.

- Coś rzekł do Pikta? - spytał Balthus.

- Żeby przybił do brzegu, bo po drugiej stronie czyha biały tropiciel, co szykuje się go ustrzelić.

- Nie było to uczciwe - zgłosił zastrzeżenie Balthus. - Mniemał, że to przyjaciel doń gada. Naśladowałaś Pikta wybornie...

- Trza nam było jego łodzi - mruknął Conan, nie przestając wiosłować. - Jedyne sposoby, by go zwabić do brzegu. Co gorsze - ołgać Pikta, który rad by nas obu żywcem ze skóry obedrzeć, czy zawieść ludzi za rzeką, których żywoty zależą od tego, czy się przez nią przepchamy?

Przez parę chwil dumał Balthus nad tym delikatnym problemem etycznym, by wreszcie wzruszyć ramionami i spytać:

- Jakeśmy daleko od fortu?

Conan ukazał strumyk wpadający ze wschodu do Czarnej Rzeki, o strzelenie z łuku w dół.

- Oto Strumień Południowy; dziesięć jest mil od jego ujścia do fortu. To południowa granica Conajohary. Za nią moczary na wiele mil szerokie. Napaść z owej strony nie grozi. Dziewięć mil powyżej fortu Strumień Północny drugą tworzy granicę. I za nim też bagniska. Oto czemu atak z zachodu iść musi zza Czarnej Rzeki. Conajohara jest jak włócznia o grocie na dziewiętnaście mil szerokim wrażonym w piktyjską puszcę.

- Czemuś zaś nie ostaniemy w łodzi i nie uczynimy reszty drogi wodą?

- A dlatego, że z nurtem musielibyśmy walczyć i zakręty pokonywać. Szybciej będzie pieszo. Poza tym pamiętaj, że Gwawela na południe jest od fortu; jeśli Piktowie przeprawiają się przez rzekę, wpadlibyśmy wprost na nich.

Zmierzchać poczynało, gdy stanęli na wschodnim brzegu. Bez zatrzymania Conan ruszył na północ krokiem, który o ból przyprawiał krzepkie Balthusowe nogi.

- Valannus pragnął forty wznieść przy ujściu Północnego i Południowego Strumienia. Tym sposobem można by strzec rzeki nieustannie. Ale Rząd zgody nie dał. Spaśni głupcy usadowieni na aksamitnych poduchach, którym nagie dziewczki na klęczkach wino podają słodzone... znam ten rodzaj.

Nie patrzą dalej niż do ścian swych pałaców. Dyplomacja... piekło! Chcą pokonać Piktów teoriami o ekspansji terytorialnej. Valannus i ludzie mu podobni muszą słuchać rozkazów bandy przeklętych głupców! Tak im się uda zagrabieć więcej piktyjskich ziem, jak odbudować kiedykolwiek Venarium! I czas może nadejdzie, kiedy ujrzą barbarzyńców rojących się na murach wschodnich grodów!

Tydzień wcześniej roześmiałby się Balthus może na podobnie niedorzeczne przepowiednie. Ale teraz nic nie odrzekł. Widział nieopanowaną dzikość ludu zamieszkującego u granic.

Zadrzał, rzucając spojrzenie na posępną rzekę, ledwie widoczną wśród zarośli, na kolumnadę drzew skupionych u brzegów. Wciąż pamiętał, że Piktowie mogli się już przeprawić przez rzekę i uczynić zasadzkę między nimi a fortem. Szybko zapadały ciemności.

Ledwie słyszalny odgłos gdzieś z przodu sprawił, że jego serce podskoczyło do gardła, a miecz Conana załśnił w powietrzu. Opadł powoli, gdy pies, wielka, wychudła i pokryta bliznami bestia, wychynął z krzaków i stał, wpatrując się w nich.

- Ten pies należał do osadnika, co próbował zbudować chatę na brzegu rzeki parę mil na południe od fortu - mruknął Conan. - Piktowie, rzecz jasna, przekradli się, ubili go i chatę puścili z dymem. Znaleźliśmy jego trupa wśród zgliszcz; pies leżał bez zmysłów między trzema Piktami, których zagryzł. Był niemal porąbany na dzwona. Zabraliśmy go do fortu i rany mu opatrzyli, ale gdy tylko siły odzyskał, zemknął na puszcę i zdziczał... No i co, Rębacz, ścigasz ludzi, co ubili twego pana?

Potęźny łeb przekrzywił się z boku na bok, a ślepia rozjarzyły się zielono. Nie warknął nawet, nie szczeknął. Cicho jak zjawą stanął obok nich.

- Niech idzie - wymamrotał Conan. - Zwęszy diabłów pierwej, niż ich ujrzymy.

Balthus uśmiechnął się i pieszczotliwie położył dłoń na karku psa, który nieświadomie obnażył połyskujące kły; potem wielka bestia pochyliła łeb z zakłopotaniem, a jej ogon jął drgać z nerwową niepewnością, jakby jego właściciel zapomniał już, co to przyjazne uczucia.

Rębacz pomknął do przodu, a Conan nie bronił mu prowadzić. Ostatnie cienie zmierzchu ustąpiły zupełnym ciemnościom. Mile topniały pod ich niestrudżonymi stopami... Rębacz wydawał się niemy. Nagle stanął w napięciu z nastawionymi uszami. Chwilę później usłyszeli i ludzie - demoniczny skowyt gdzieś w górze rzeki, słaby jak szept.

Conan zaklął wściekle.

- Zaatakowali fort! Spóźniliśmy się! Chodź!

Przyspieszyli kroku ufając, że pies wywęszy możliwe zasadzki. W pełnym napięcia podnieceniu Balthus zapomniał o głodzie i zmęczeniu. W miarę jak posuwali się do przodu, wrzaski przybierały na sile, a nad diabelskim skowytom przeważały głębokie okrzyki żołnierzy. Gdy Balthus począł się lękać, że lada chwila wpadną na dzikusów, którzy, zda się, wyli tuż przed nimi, Conan jął się oddalać od rzeki szerokim łukiem, co przywiódł ich do niewysokiego wzniesienia. Mogli stąd patrzeć nad lasem. Ujrzeni fort, oświetlony pochodniami umocowanymi na długich drągach nad

parapetami. Rzucali na równinę pod murami niepewny, migotliwy blask. W owym blasku widać było tłum nagich, malowanych postaci ustawionych na skraju polany. Rzeka roiała się od czółen. Piktowie całkowicie otoczyli fort.

Nieprzerwany grad strzał słanych z lasu i rzeki padał na częstokół. Głębokie jęki cięciw wybijały się z tła wrzasków. Wyjąc na podobieństwo wilków, parę setek nagich wojowników z toporami w dłoniach wyprysnęło spod drzew i pomknęło ku bramie wschodniej. Byli sto pięćdziesiąt kroków od celu, gdy niszcząca salwa strzał z fortu zasłała ziemię trupami, a ocalałych zmusiła do ucieczki pod osłonę drzew. Ludzie w czółnach skierowali swe łodzie ku umocnieniom nabrzeżnym i tam zostali przyjęci ulewą na łokieć długich pocisków i salwą z niewielkich balist umieszczonych na wieżach z tej strony palisady. Kamienie i belki zawirowały w powietrzu, rozbijając i topiąc pół tuzina czółen, miażdżąc ich załogi, pozostałe przeto łodzie wycofały się poza obszar rażenia. Głęboki ryk tryumfu rozległ się z murów fortu, na co w odpowiedzi ze wszystkich stron podniosło się zwierzęce wycie.

- Spróbujemy się przebić? - pytał Balthus, dygocąc z zapału.

Conan pokręcił głową. Stał z założonymi ramionami, lekko pochyloną głową, posępny i zadumany.

- Fort przepadł. Piktowie wpadli w szal bojowy i nie ustana, póki wszyscy nie zginą. A zbyt ich wielu, żeby ludzie z fortu wszystkich mogli ubić. Nie zdołamy się przebić, a nawet jeśli byśmy zdołali, to nic innego by nam nie pozostało, jak zginąć z Valannusem.

- Tedy nic nie możemy zrobić, krom uratowania własnych zadków?

- Musimy ostrzec osadników. Pojmujesz, czemu Piktowie nie próbują zażec fortu ognistymi strzałami? Bo nie chcą, żeby płomień ostrzegł ludzi na wschodzie. Chcą rozgnieść fort i ruszyć ku wschodowi, nim ktokolwiek się dowie, że padł. Mogą nawet przekroczyć Rzekę Piorunową i wziąć Velitrium z zaskoczenia. A przynajmniej usieką każdą żywą istotę między fortem a Rzeką Piorunową.

- Nie udało się nam uprzedzić fortu, ale widzę teraz, że nic by nie pomogło, gdybyśmy to uczynili. Zbyt słabo obsadzony jest fort. Kilka jeszcze ataków, a Piktowie wedrą się na mury i rozbiją bramy. Atoli możemy powiadomić osadników w stronie Velitrium. Ruszajmy! Jesteśmy poza pierścieniem Piktów rzuconym wokół fortu. Będziemy się od nich trzymać z daleka.

Ruszyli szerokim łukiem słysząc, jak wznoszą się ryki i opadają w miarę kolejnych ataków i odporów. Ludzie z fortu trzymali się, ale skrzeki Piktów nie traciły na dzikości. Wibrował w nich ton pewności ostatecznego zwycięstwa.

Nim Balthus pojął, że się do niej zbliżają, wyszli na drogę wiodącą ku wschodowi.

- Teraz biegiem! - rzucił Conan. Balthus zacisnął zęby. Do Velitrium było dziewiętnaście mil, a dobrych pięć do Potoku Skalpu, za którym zaczynały się pierwsze osady. Zdało się Aquilończykowi, że walczą już i biegają od stuleci. Ale podniecenie, co burzyło mu krew, pchało go do nadludzkich wysiłków.

Rębacz biegł przed nimi, z nozdrzami tuż nad ziemią. Warczał głucho i był to pierwszy odgłos, jaki

dotychczas wydał.

- Piktowie z przodu? - warknął Conan, opadając na kolano i w świetle gwiazd badając drogę. Zmieszany pokręcił głową.

- Nie wiem ilu. Najpewniej tylko oddział. Ci, co nie mogli się doczekać wzięcia fortu. Ruszyli naprzód, żeby wyróżnić osadników w łózkach. Bieźajmy!

Dostrzegli w końcu przed sobą przebijającą między drzewami poświatę i usłyszeli dzikie, okrutne zawodzenie. Szlak tu skręcał, poniechawszy go tedy, ruszyli na skróty przez gęstwinę. Parę chwil później odrażający widok uderzył ich oczy. Wóz stał na drodze, pełen ubogich sprzętów gospodarskich. Płonął; woły leżały mimo z poderżniętymi gardłami. Mąż i niewiasta spoczywali w pobliżu, nadzy i zmasakrowani. Pięciu Piktów tańcowało dokoła w fantastycznych podskokach i piruetach, wymachując krwawymi toporami; jeden z wojowników potrząsał okrwawionym gieźlem niewiasty.

Na ów widok czerwona mgła zasnuła wzrok Balthusa. Uniósłszy łuk wycelowwał w roztańczoną postać, czarną na tle płomieni, i zwolnił cięciwę. Rabuś poderwał się konwulsyjnie i padł martwy, z sercem przebitym strzałą. A potem dwóch białych mężów i pies spadło na zaskoczonych Piktów. Conana ożywiało tylko duch walki i stara, bardzo stara nienawiść rasowa, ale Balthus płonął z gniewu.

Pierwszego Pikta, który stanął mu na drodze, przyjął okropnym ciosem, co rozłupał barwiony łeb, i przesadziwszy padające ciało ruszył, by szepić się z pozostałymi. Ale Conan uderzył już jednego z dwóch, których sobie upatrzył, i skok Aquilończyka był o chwilę spóźniony. Drugi bowiem wojownik runął przekłuty długim mieczem, nim jeszcze zdołał Balthus unieść topór. Zwróciwszy się ku ostatniemu Piktowi, ujrzał młodzieniec, że Rębacz powstaje znad ciała, a wielkie szczęki ociekają krwią.

Balthus nic nie rzekł, gdy patrzył na żalosne szczątki spoczywające przy płonącym wozie. Obydwoje byli młodzi, ona - prawie dziecko. Zrzędzeniem losu Piktowie nie pokaleczyli jej twarzy i nawet w męce okropnej śmierci twarz owa była piękna. Ale jej delikatne młode ciało zostało okropnie pocięte uderzeniami wielu noży... Balthus z trudem przełknął ślinę i mgła popłynęła przed jego oczyma. Zmogła go na chwilę widziana tragedia. Miał ochotę paść na ziemię i łkać, i gryźć murawę.

- Jakaś młoda para, co dopiero ruszyła na własne - mówił Conan, beznamiętnie ocierając swój miecz. - W drodze byli do fortu, kiedy spotkali ich Piktowie. Może chłopak wojem chciał zostać, a może ziemię wziąć w górze rzeki. Cóż, oto co stanie się z każdym mężem, niewiastą i dzieciakiem po tej stronie Rzeki Piorunowej, jeśli co rychlej nie zapędzimy ich do Velitrium.

Kolana Balthusa drżały, gdy podążał za Conanem. Ale nie było śladu słabości w długim, lekkim kroku Cymmeryjczyka. Istniało jakieś podobieństwo między nim a wielkim wychudłym zwierzem, co sunął u jego boku. Rębacz już nie warczał z łbem przyklejonym do szlaku. Droga przed nimi była wolna. Ledwie docierały do nich wrzaski znad rzeki, ale Balthus wierzył, że fort wciąż się broni. Z przekleństwem na wargach Conan zatrzymał się raptownie.

Wskazał Balthusowi kolejną wiodącą na północ od drogi. Starą koleinę, po części zarosła młodymi krzakami, ale krzaki owe niedawno zostały przygniecione. Poznał to Balthus dotykiem raczej niż wzrokiem, choć zdawało się, że Conan widzi w ciemnościach jak kot. Pokazał młodzieńcowi miejsce, gdzie szeroki ślad wozu skręcał z głównego szlaku, głęboko odciskając się w leśnym gruncie.

- Osadnicy pojechali do lizawki za solą - mruknął. - Na skraj moczarów, jakich dziewięć mil stąd. Przekleństwo! Zostaną odcięci i wysieczeni do ostatniego! Słuchaj! Jeden człek starczy, by ostrzec ludzi podle drogi. Ruszaj przed siebie i pobudź ich, i zagoń do Velitrium. Ja pójdę po tych, co sól gromadzą. Obozować będą przy lizawkach. Nie wrócimy już na szlak, jeno ruszymy wprost przez las.

Nic więcej nie rzekłszy, skręcił Conan w bok i pośpieszył niewyraźną ścieżyną, a Balthus patrzył za nim przez parę chwil, za czym podążył swą dorgą. Pies z nim pozostał i sunął cicho przy nodze. Nie uszedł Balthus jeszcze stu kroków, gdy posłyszał zwierzęce warknięcie. Odwróciwszy się spojrzał w stronę, z której nadszedł - i drgnął, gdy zobaczył niewyraźne, upiorne lśnienie, pogrążające się w puszczy tam, gdzie zniknął Conan. Głuchy warkot dobył się z gardzieli Rębacza, który zjeżył sierść na karku. Oczy psa były jak kule zielonego ognia. Przypomniawszy sobie Balthus posępną zjawę, co niezbyt daleko od tego miejsca porwała głowę kupca Tiberiasa, i zawahał się. Bestia niechybnie goniła Conana. Ale po wielekroć już dowiedział gigantyczny Cymmeryjczyk, że zdolen jest sam strzec swej skóry i Balthus uznał, iż powinność jego raczej w pomocy bezradnym osadnikom, którzy znaleźli się na drodze czerwonego huraganu. Grozę gorejącej zjawy przyćmiła groza owych bezwładnych, pokaleczonych zwłok, spoczywających przy płonącym wozie.

Pospiesznie kroczył drogą, przeszedł Potok Skalpu i dotarł do pierwszej z osadniczych chat - długiej, niskiej budowli z ociosanych toporem kłoców.

Zaspany głos spytał, czego mu potrzeba.

- Wstawajcie! Piktowie rzekę przekroczyli!

Odpowiedź była natychmiastowa. Niski jęk zawtórował jego słowom, a potem niewiasta w skąpym giele rozwarła drzwi. Jej włosy w nieładzie spływały na obnażone ramiona, w jednej dłoni dzierżyła świecę, w drugiej zaś topór. Krew odbiegła z jej twarzy, a oczy okrągłe były z przerażenia.

- Wejdz! - krzyknęła błagalnie. - Obronimy się w chacie.

- Nie. Trzeba nam do Velitrium. Fort ich nie powstrzyma. Już może padł. Nie myśl o szatach. Bierz dzieci i chodź!

- Ale mój chłop z innymi poszedł za solą! - łkała, załamując dłonie. Zza jej pleców wyglądały zmierzwiłone główki trzech oszołomionych i mrugających oczami malców.

- Conan poszedł ich szukać. Przywiedzie ich bezpiecznie. My drogą musimy pośpieszyć, żeby ostrzec inne chaty.

Ulga rozjaśniła jej oblicze.

- Dzięki niech będą Mitrze! - krzyknęła. - Jeśli Cymmeryjczyk za nimi ruszył, to bezpieczni są... na ile człek śmiertelny może ich zratować!

W gorączkowym pośpiechu porwała na ręce najmniejsze z dzieci i popędzając przed sobą dwójkę pozostałych, wyszła z chaty. Balthus wziął świecę i zgasił ją obcasem. Nasłuchiwał przez chwilę. Żaden dźwięk nie dochodził z mrocznej drogi.

- Macie konia?

- W stajni - jęknęła. - Ach, spiesz się!

Odsunął ją na bok, gdy drżącymi dłońmi ją majstrować przy ryglu. Wyprowadził konia i usadził dzieciaki na jego grzbiecie, nakazując, by trzymały się grzywy i siebie nawzajem. Patrzyły nań poważnie i nie odzywały się wcale. Niewiasta ujęła lejce i ruszyła drogą. Wciąż dzierżyła topór i Balthus wiedział, że w ostateczności walczyć będzie z desperacką odwagą pantery.

Trzymał się z tyłu i nasłuchiwał. Prześladowała go myśl, że fort został wzięty, że ciemnoskóre hordy suną już drogą w stronę Velitrium, pijane rzezią i oszalałe z żądz krwi. Mogły nadejść z szybkością stada zgłodniałych wilków.

Ujrzał w końcu wyłaniający się z ciemności kształt następnej chaty. Niewiasta rozwarła już usta do krzyku ostrzeżenia, ale Balthus ją powstrzymał. Podbiegł do drzwi i zakołatał. Odpowiedział mu kobiecy głos. Powtórzył ostrzeżenie i rychło z chaty wyszli jej mieszkańcy - staruszka, dwie młode niewiasty i czwórka dzieci. I ich mężowie, nieświadomi niebezpieczeństwa, ruszyli poprzedniego dnia ku lizawkom. Jedna z kobiet zdawała się oszołomiona, druga bliska hysterii. Ale staruszka, surowa i doświadczona mieszkanka pogranicza, uciszyła je szorstko, pomogła Balthusowi wyprowadzić dwa konie z szopy za chatą i usadzić na nich dzieciaki. Balthus i ją chciał skłonić, by dosiadła wierzchowca, ale w odpowiedzi pokręciła głową i nakazała jechać jednej z młodych niewiast.

- Czeka dziecka - wyjaśniła. - Ja iść mogę... i walczyć, jeśli do tego przyjdzie.

Gdy ruszyli, rzekła jedna z niewiast:

- O zmierzchu młoda para jechała drogą, radziłyśmy, żeby noc spędzili w naszej chacie, ale chcieli do fortu dotrzeć. Czy... czy...

- Spotkali Piktów - odrzekł Balthus krótko, a niewiasta załkała przerażona.

Ledwie stracili chatę z oczu, gdy w jakiejś odległości za nimi rozbrzmiało przeciągłe, wysokie wycie.

- Wilk! - oświadczyła jedna z kobiet.

- Malowany wilk z toporem w garści - mruknął Balthus. - Idźcie! Ruszcie innych osadników

wzdłuż drogi i weźcie ich ze sobą. Ja zbadam, co tam z tyłu.

Bez słowa popędziła staruszka przed sobą swych podopiecznych. Gdy niknęli w mroku, ujrzał Balthus blade owale dziecięcych twarzących zwróconych w swoją stronę. Przypomniawszy sobie bliskich z Tauranu i zakreśliło mu się w głowie. Chwilowa słabość sprawiła, że jęknął i osunął się na drogę, jego muskularne ramię opadło na potężny kark Rębacza i poczuł, że wilgotny język liże mu twarz.

Uniósł głowę i uśmiechnął się z bolesnym wysiłkiem.

- Chodź, chłopie - wymamrotał powstając. - Robota na nas czeka.

Czerwona poświata rozjarzyła się nagle wyraźnie między drzewami. Piktowie podpalili najbliższą chatę. Skrzywił się. Jakże pieniełby się Zogar Sag, gdyby wiedział, że niszczycielska natura wzięła górę w jego wojownikach. Ogień wszakże ostrzeże ludzi dalej mieszkających przy drodze. Rozbudzeni będą i przygotowani, gdy dotrą do nich uciekinierzy. Ale stopniowo oblicze młodzieńca sponiewało. Niewiasty wędrowały powoli, pieszo i z przeładowanymi końmi. Szybkonodzy Piktowie dopadną je w mili, chyba że... Zajął stanowisko za zwałem powalonych pni tuż obok szlaku. Droga na zachód od niego oświetlona była przez płonąca chatę i gdy nadeszli Piktowie, ujrzał ich pierwszy - czarne, przyczajone sylwetki, obrysowane odległą luną.

Naciągnąwszy łuk do ucha, zwolnił cięciwę i jedna z postaci osunęła się na ziemię. Pozostałe roztopiły się w gęstwie po obu stronach drogi. Rębacz skowyczał przy jego boku z żądy mordowania. Nagle postać pojawiła się na skraju szlaku i jęła sunąć ku powalonym pniom. Jęknęła cięciwa Balthusowego łuku i Pikt zawył, zachwiał się i padł w cieniu z udem przebitym strzałą. Jednym susem wyskoczył Rębacz ze zwałiska i pomknął w zarośla. Zakołysały się gwałtownie, a potem pies znów był przy boku Balthusa, paszczę zaś jego barwiła purpura.

Nikt więcej nie pojawił się na drodze; Balthus poczynął się lękać, że skradają się doń od tyłu przez gąszcze, i gdy usłyszał nikły dźwięk ze swej lewej strony, wystrzelił na oślep. Zaklął, bo usłyszał, że strzala uderza o drzewo, ale Rębacz ruszył cicho jak zjawa i po chwili trzask się rozległ i charczenie, i znów jak duch wychynął Rębacz z zarośli, by otrzeć swój pokryty czerwonymi plamami pysk o ramię Balthusa. Krew sączyła się z rany na jego karku, ale dźwięki w gęstwie ucichły na dobre.

Ludzie przyczajeni po obu stronach drogi pojęli snadź, jaki los spotkał ich towarzysza, i doszli do wniosku, że otwarty atak lepszy jest niż zdławienie w ciemnościach przez demoniczną bestię, której ani ujrzeć, ani usłyszeć nie sposób. Może zrozumieli, że jeden tylko człek kryje się za pniami. Gwałtownie uderzyli, wyskakując z kryjówek po obu stronach szlaku. Trzech padło przekłutych strzałami - dwaj ostatni zawahali się. Jeden zawrócił i jął umykać drogą, ale drugi runął przez Balthusowy szaniec ze wzniesionym toporem, lśniącymi oczyma i zębami. Gdy podrywał się Balthus, obsunęła mu się stopa, ale owo potknięcie właśnie ocaliło mu życie. Spadający topór obciął pukiel włosów z jego głowy, a Pikt zsunął się z pni, pociągnięty mocą chybionego uderzenia. Nim odzyskał równowagę, Rębacz rozerwał mu gardło.

Nastąpiło pełne napięcia oczekiwanie, kiedy to zastanawiał się Balthus, czy człek, który umknął,

jest jedynym ocalałym z oddziałku. Najoczywiej była to niewielka banda, co albo poniechała walki o fort, albo rozpoznanie czyniła przed główną siłą. Każda mijająca chwila zwiększała szansę ratunku dla niewiast i dzieci pospieszających w stronę Velitrium.

A potem, bez ostrzeżenia, rój strzał zaświstał nad jego kryjówką. Dzikie wycie uniosło się z gęstwy wzdłuż drogi. Albo ocalały woj przywiódł posiłki, albo kolejny oddział przyłączył się do pierwszego. Podpalona chata wciąż się żarzyła, dając słaby blask. Potem ruszyli nań, sunąc między drzewami. Posłał trzy strzały i odrzucił łuk. Jakby to wyczuwając, podchodzili coraz bliżej - bez wycia, w morderczej ciszy, którą zakłócał tylko tupot wielu stóp.

Mocno przytulił łeb wielkiego psa, co warczał u jego boku, i mruknął:

- W porządku, chłopie damy im popalić!

I zerwał się na nogi, wznosząc topór. Ciemne postacie spłynęły ze stosu pni i dopadły go w burzy nacierających ostrzy, kłujących sztyletów i rwących kłów.

7. DEMON W OGNIU

Gdy skręcił Conan z velitryjskiej drogi, oczekiwał, że biec mu przyjdzie jakie dziewięć mil i na taki właśnie nastawił się trud. Nie pokonał wszelako nawet czterech, gdy usłyszał w przedzie hałas, jaki czyni grupa ludzi. Właśnie z hałasu owego wywnioskował, że to nie Piktowie. Pozdrowił ich.

- Kto idzie? - spytał szorstki głos. - Stań, gdzie jesteś, póki cię nie rozpoznamy, albo strzałę zarobisz.

- Nawet słonia byś nie trafił w tych mrokach - odrzekł Conan niecierpliwie. - Daj pokój, durniu, to ja, Conan. Piktowie rzekę przeszli.

- Takeśmy podejrzewali - odrzekł przywódca tamtych, gdy postąpili do przodu - rośli, smukli mężowie O surowych twarzach, z łukami w dłoniach. - Jeden z naszych ranił antylopę i tropił ją niemal do Czarnej Rzeki. Usłyszał, jak wyją gdzieś w dole i szybko przybiegł do obozowiska. Ostawiliśmy sól i wozy, woły puściliśmy luzem i ruszyliśmy z powrotem ile sił w nogach. Jeśli Piktowie fort oblegają, bandy rabusiów ruszą drogą w stronę naszych chat.

- Rodziny wasze bezpieczne - mruknął Conan. - Mój druh ruszył przodem, żeby powieść je do Velitrium. Jeśli wrócimy na główny szlak, możemy wpaść na całą horde. Tedy przebijemy się na południowy wschód prosto przez las. Ruszajcie. Ja tyłów będę strzegł.

Parę chwil później cała kompania była już w drodze. Conan maszerował nieco wolniej, utrzymując się w zasięgu słuchu od towarzyszy. Kłął hałas, jaki czynili; wielu Piktów i Cymmeryjczyków mogłoby sunąć przez puszcę nie głośniejszy niż wiatr przemykający między czarnymi gałęzmi.

Przekroczywszy niewielką polankę, odwrócił się nagle, czyniąc zadość żądaniu swego pierwotnego instynktu, co mówił mu, że jest śledzony. Stojąc nieruchomo pośród zarośli, słyszał zamierające głosy oddalających się osadników. Potem głos jakiś słaby jął nawoływać ze strony, z której przyszedł:

- Conanie! Conanie! Poczekaj, Conanie!

- Balthus! - zaklął oszołomiony i odkrzyknął niegłośnie: - Tu jestem!

- Zaczekaj na mnie, Conanie! - Głos był już wy-raźniejszy.

Z nachmurzonym obliczem wychynął Conan z cienia.

- Co u diabła tu robisz?... Na Croma!

Niemal przykucnął, a dreszcz mu przebiegł między łopatkami. To nie Balthus wyłaniał się z gęstwy po drugiej stronie polanki. Osobliwa poświata przebijała spomiędzy drzew. Sunęła ku niemu, migocąc niesamowicie - magiczny, zielony ogień, poruszający się celowo i świadomie.

Zatrzymał się parę stóp przed Conanem, który wpatrzył się weń, próbując rozpoznać przymglone

blaskiem kontury. Rozchwilany płomień miał materialny szkielet; ogień był jeno zieloną szatą, co maskowała ożywioną jakąś i wrażą istotę, ni kształtu jednak, ni oblicza nie mógł Cymmeryjczyk rozpoznać. A potem, ku olbrzymiemu zaskoczeniu woja, głos ozwał się doń z głębi ognistej kolumny.

- Czemu zaś stoisz jak baran czekający rzeźnika, Conanie?

Głos był ludzki, ale drżał od nieludzkich zgoła wibracji.

- Baran? - Gniew kazał Conanowi zapomnieć o chwilowym zadziwieniu. - Zali myślisz, że się lękam przekłętogo piktyjskiego demona moczarów? Druh mnie wzywał.

- Jam wołał jego głosem - odrzekł demon. - Mężowie, za którymi podążasz, należą do mego brata; nie okradnę jego noża z ich krwi. Ale ty mój jesteś. O głupcze, przybyłeś z dalekich szarych wzgórz Cimmerii, żeby skon znaleźć w puszczach Conajohary.

- Już wcześniej miałeś okazję, by się do mnie dobrać - parsknął Conan. - Czemuś mnie tedy nie ubił, skoroś mógł?

- Brat mój nie poczercił jeszcze naówczas czerepu za ciebie i nie cisnął go w ogień, co wiecznie płonie na czarnym ołtarzu Gullaha. Nie szepnął jeszcze twego imienia czarnym duchom, co nawiedzają wyżyny Mroczonej Ziemi. Atoli nietoperz przeleciał nad Górami Martwymi i wizerunek twój nakreślił na skórze białego tygrysa, co wisi przed długą chatą, w której śpi Czterech Braci Nocy. Wielkie węże wiją się u ich stóp, a gwiazdy jak świetliki płoną w ich włosach.

- Czemu zaś bogowie mroków przeznaczyli mnie śmierci? - warknął Conan.

Coś - dłoń, stopa albo pazur, nie mógłby powiedzieć co - wystrzeliło z ognia i szybko nakreśliło na ziemi symbol. Zabłyśł, obrysowany ogniem, i wnet zniknął, ale nie wcześniej, aż go Conan rozpoznał.

- Ośmieliłeś się znak uczynić, który tylko kapłani Jhebbala Saga mogą kreślić. Grom przetoczył się przez czarne Góry Martwe i chram Gullaha obalony został przez wichur z Zatoki Duchów. Nur, który jest posłańcem Czterech Braci Nocy, przeleciał szybko i szepnął mi twe imię do ucha. Ludowi twemu kres. Martwy już jesteś. Łeb twój zawiesznie w chramie mego brata. Zewłok twój pożrą czarnoskrzydłe, ostrodziobe Dzieci Jhil.

- Kim, do stu piorunów, jest twój brat? - spytał Conan. Dzierżył w dłoni obnażony miecz i ostrożnie wy-suwał topór zza pasa.

- Zogar Sag, dziecię Jhebbala Saga, które wciąż nawiedza jego święty zagajnik. Niewiasta z Gwaweli spała ongi w zagajniku poświęconym Jhebbalowi Sagowi i powiła Zogara Saga. Ja także dzieckiem jestem Jhebbala Saga, poczętym z ognistą istotą z dalekiej dziedziny. Wezwał mnie Zogar z Krainy Mgieł. Inkantacją i magią i własną krwią odział mnie w materię swego własnego świata. Jednością jesteśmy, złączoną niewidzialnymi więzami. Jego myśli są moimi myślami; rani mnie cios weń wymierzony, on zaś krwawi, gdy ja zostanę zraniony. Ale dość już rzekłem. Wnet twój duch gadać będzie z duchami Mroczonej Ziemi i one ci powiedzą o dawnych bogach, które nie szczyły, a

jeno śpią w otchłaniach i budzą się czasem.

- Rad bym zobaczyć, jak też wyglądasz - mruknął Conan, dobywając topora - ty, co ostawiasz ślad ptaka, płoniesz ogniem i gadasz ludzkim głosem.

- Ujrzysz - odrzekł głos z płomienia - dowiesz się i wiedzę ową zabierzesz ze sobą do Mrocznej Ziemi.

Płomienie buchnęły i opadły, jęły gasnąć, niknąć. Poczęło się rysować mgliste oblicze. Zrazu pomyślał Conan, że to sam Zogar Sag stoi przed nim, spowity w zielony ogień, ale oblicze owo wyżej się znajdowało niż jego własne i miało w sobie coś demonicznego... Conan dostrzegł rozmaite osobliwości Zogarowej twarzy - skośne oczy, ostro zakończone uszy, wilczo wąskie wargi; te cechy potęgowały się w obliczu zjawy, co się teraz przed nim chwiała. Oczy jej czerwone były jak węgle w żywym ogniu.

Dostrzegał coraz więcej: wąski tors, pokryty węzowymi łuskami, a przecie mający zarys ludzki, z którego wyrastały powyżej pasa człowiecze ramiona, poniżej zaś szczudłowate nogi kończyły się płaskimi, trzypalcymi łapami, jakie mógłby mieć wielki ptak. Wzdłuż owych monstrualnych członków przebiegały drżące, błękitne ogniki.

I oto nagle zawisła nad nim bestia, choć nie dostrzegł ruchu w swoją stronę. Długie ramię, uzbrojone - zauważył to dopiero teraz - w zakrzywione, sierpowate szpony, uniosło się do góry i jęło spadać na jego kark. Z dzikim okrzykiem złamał zakłęcie i skoczył w bok, ciskając jednocześnie toporem. Demon uniknął ciosu niewiarygodnie szybkim ruchem wąskiej głowy i znów weń uderzył wśród syku buchających płomieni.

Ale gdy ubijał inne ofiary, strach walczył po jego stronie, zaś Conan się nie lękał. Wiedział, że każda istota, odziana w rzetelne ciało, usieczona być może materialnym orężem, jakkolwiek odrażająca byłaby jej postać.

Zamach jednego ze szponiastych ramion strącił mu hełm z głowy. Odrobinę niżej, a strąciłby głowę z karku. Zalała go okrutna uciecha, gdy potężnie pchnięty miecz pograżył się w pachwinie potwora. Uskoczył przed uderzeniem, wrywając jednocześnie oręż. Szpony przeorały mu pierś, rozrywając ogniwa kolczugi niby szmatę. Ale kolejny atak Cymmeryjczyka był jak skok wygłodniałego wilka. Znalazł się między tłukącymi ramionami i potężnie wraził miecz w brzuch potwora; poczuł, jak obłapiają go długie członki i drą na plecach kolczugę, szukając drogi do żywotnych organów, spowił go i oszołomił zimny jak lód błękitny płomień... A potem wyrwał się Conan wściekle ze słabnących ramion, zaś jego miecz przeciął powietrze w straszliwym zamachu.

Zachwiał się demon i padł na bok; jego głowa trzymała się tylko na wąskim paśmie skóry. Ognie, co spowijały bestię, buchnęły gwałtownie w górę, czerwone teraz jak tryskająca krew. Skryły całkowicie postać demona. Zapach płonącego ciała wypełnił nozdrza Conana, który strząsnąwszy z oczu krew i pot odwrócił się na pięcie i chwiejnym biegiem podążył przez puszcę. Krew ciekła po jego członkach. Gdzieś, wiele mil na południe, ujrzał słabą łunę, co mogła znaczyć płonąca chatę. Za nim, w stronie drogi, narastało dalekie wycie. Przyspieszył biegu.

8. KONIEC CONAJOHARY

Walki wrzały nad Rzeką Piorunową; srogie boje pod murami Velitrium; topór i żagiew trzymały się na brzegu i niejedna osadnicza chata legła w popiołach, nim wycofała się malowana horda.

Osobliwa cisza nastąpiła po tej burzy; ludzie gromadzili się i mówili ściszonymi głosami, a mężowie w zakrwawionych bandażach milcząc pili swe piwo w tawernach na brzegu rzeki.

W jednej z nich do Conana Cymmeryjczyka, ponuro popijającego z wielkiej szklenicy, podszedł wychudły tropiciel z bandażem wokół głowy i ręką na temblaku. Z załogi Fortu Tuscelan on jeden przeżył.

- Byłeś z żołnierzami w ruinach fortu?

Conan przytaknął.

- A ja nie mogłem - mruknął tropiciel. - Nie było walki?

- Piktowie przewalili się na powrót przez Czarną Rzekę. Coś im ducha złamało, lecz tylko diabeł, który ich stworzył, mógłby rzec co.

- Gadają, że nie było ciał wartych grzebania?

Conan kiwnął głową.

- Popioły. Piktowie zwalili trupy w forcie i podpalili, nim wycofali się za rzekę. Swoich po równi z ludźmi Valannusa.

- Valannus poległ wśród ostatnich, w walce wręcz, kiedy przedarli się przez szanice. Chcieli go żywym pojmać, ale ich zmusił, by go ubili. Wzięli nas dziesięciu do niewoli, kiedyśmy zbyt już słabi byli, żeby dalej walczyć. Dziewięciu zarżnęli z miejsca. I wtedy zdechł Zogar Sag, a mnie się okazja trafiła, by się wyrwać i zemknąć.

- Zogar Sag nie żyje? - wykrzyknął Conan.

- A tak. Samem widział, jak zdycha. Oto czemu o Velitrium nie bili się Piktowie równie wściekle jak o fort. Dziwne to było. W walce szwanku nie poniósł. Tańcował wśród ubitych, machając toporem, co nim przed chwilą łeb ostatniemu z mych towarzyszy rozszczępił. Ruszył na mnie, wyjąc niczym wilk... a potem zachwiał się, puścił topór i zaczął kręcić się w kółko, i skowyczał tak, jakem nigdy skowyczącego człeka ni zwierza nie słyszał. Padł między mną a ogniskiem, co je rozniecili, żeby mnie upiec, i pianę toczył z pyska, a potem zaraz zeszytniał i zawrzaśli Piktowie, że nie żyje. Jam w zamieszaniu wysunął się z więzów i popędził do lasu.

- Widziałem go w blasku ognia. Żaden oręż go nie tknął, a przecie były ślady niczym rany po mieczu w pachwinie, na brzuchu i szyi... ów ostatni, jakby łeb niemal odcięto od ciała. Pojmujesz coś z tego?

Conan nic nie odrzekł, zaś tropiciel, świadom powściągliwości barbarzyńcy w pewnych sprawach, ciągnął dalej:

- Żył magią i jakimś sposobem od magii zginął. To tajemnica jego śmierci serce Piktom odjęła. Ani jeden człowiek, co to widział, nie stanął do boju o Velitrium. Wszyscy wrócili za Czarną Rzekę. Nad Rzeką Piorunową wojowali owi, co wyruszyli, zanim Zogar szezeł. Zbyt ich mało było, żeby wziąć miasto.

- Szedłem drogą za główną siłą i wiem, że z fortu nikt już za mną nie przyciągnął. Przekradłem się przez Piktów i dostałem do grodu. Tyś swych osadników też przeprowadził, ale niewiasty ich i dzieci dotarły do Velitrium tuż przed malowanymi diabłami. Gdyby młodzik Balthus i stary Rębacz nie powstrzymali ich przez jakiś czas, zarznąłoby każdą niewiastę i dziecko w Conajoharze. Przechodziłem przez miejsce, gdzie Balthus i pies stoczyli bój. Leżeli wśród stosu martwych Piktów - siedmioro naliczył, porąbanych jego toporem lubo poszarpanych kłami, a na drodze byli inni, naszpikowani strzałami. Bogowie, jakaż to musiała być walka!

- Był prawym mężem - rzekł Conan. - Piję do jego cienia i cienia psa, co nie znał lęku.

Wychylił część wina, a potem osobliwym tajemnym gestem wylał resztę na podłogę i roztrzaskał kielich.

- Dziesięć piktyjskich łbów jego żywot opłaci, a siedem - psa, który był lepszym wojem od niejednego męża.

I tropiciel, patrząc w posępne, rozżarzone błękitne oczy, wiedział, że barbarzyńska przysięga zostanie dotrzymana.

- Nie odbudują fortu?

- Nie. Conajohara stracona dla Aquilonii. Cofnięto granicę. Piorunowa Rzeką teraz nią będzie.

Tropiciel westchnął i popatrzył na swą dłoń, stwardniałą od dzierżenia styliska topora i rękojeści miecza. Conan sięgnął długim ramieniem po dzbanek z winem. Tropiciel porównywał go z ludźmi siedzącymi wokół, z ludźmi, co padli nad utraconą rzeką, i z dzikimi, co za nią żyją. Conan nie był świadom zwróconego nań badawczego spojrzenia.

- Barbarzyństwo jest naturalnym stanem ludzkości - rzekł w końcu tropiciel, patrząc posępnie na Cymmeryjczyka. - To cywilizacja jest nienaturalna. Jest zbiegiem okoliczności. I barbarzyństwo musi ostatecznie zatryumfować.

SZKARŁATNA CYTADELA

(Przełożył: Stanisław Plebański)

Utrata Conajohary nie była jedynym dowodem, że źle się dzieć poczyna w Aquilonii,

najpotężniejszym królestwie hyboryjskim. Nieudolność i okrucieństwo króla Numedidesa stały się źródłem niezadowolenia, spisków, a wreszcie rebelii, na czele której stanął Conan. Pierwej jednak doszedł Cymmeryjczyk do stopnia generała w służbie aquilońskiej, w puch rozbił Piktów w wielkiej bitwie pod Velitrium i na własnej skórze przekonał się o charakterze zwyrodniałego władcy, gdy ten, wezwawszy go do stolicy na tryumf, zdradziecko pojmał. Skarb znaleziony przez Conana w piktyjskich puszczech stworzył poczynaniom rebeliantów bazę materialną, dowódczy geniusz Cymmeryjczyka nadał akcjom wojskowym niezbędny rozmach: wnet podeszli pod Tarantię, stolicę Aquilonii, i rychło ją zdobyli. Numedidesa zdławił Conan własnoręcznie, co zaś uczyniwszy zasiadł na tronie, popierany przez dalej widzących polityków aquilońskich. Nie minął jednak rok, nim przyszło królowi bronić korony i głowy przed sztyletami spiskowców. A nie było to ostatnie ani największe zagrożenie...

1.

Podle Lwa usidlili na równinie Shamu

Członki mu żelaznymi spętali łańcuchy

I wśród ryku fanfar zakrzyknęli gromko:

Wreszcie pręty klatki zatrasły się za nim!

O, biada wam, równinne i nadrzeczne grody

Jeśli Lew kiedy jeszcze puści się na łowy.

(ze starej ballady)

Zamarł gwar bitewny; tryumfalne okrzyki zwycięzców niosły się nad pobojowiskiem, zagłuszając jęki konających. Powaleni zaścielali równinę niczym jaskrawo ubarwione liście po jesiennej burzy. Zachodzące słońce krzesło iskry z polerowanych szyszaków, srebrnych napierśników, złoconych kolczug i połamanych mieczy. Ciężkie zwoje jedwabnych królewskich sztandarów poniewierały się w błocie, zbrukane krwią. Tu i ówdzie piętrzyły się zamarte w bezruchu zwaliska ciężkich, bojowych rumaków i zakutych w stal rycerzy; rozwiane grzywy i paradne pióropusze jednak splamione były szkarłatną posoką. Pomiędzy nimi i dookoła, niczym zasy naniezione wiatrem, spoczywały splecione, pocięte i stratowane ciała w stalowych czepcach i skórzanych kubrakach - łucznicy i pikinierzy.

Dźwięk tryumfalnych fanfar niósł się nad równiną, a podkowy miażdżyły ciała powalonych, gdy połyskujące stałą szeregi zwycięzców ciągnęły ze wszystkich stron niczym lśniące szprychy wielkiego koła, do miejsca, gdzie ostatni ocalały wojownik ciągle jeszcze toczył nierówny bój, dając odpór przeważającym siłom wroga.

Dnia tego Conan, król Aquilonii, ujrzał, jak rozniesiono w puch, rozszarpano i w pień wycięto kwiat jego rycerstwa. W sile pięciu tysięcy doborowej jazdy opuścili granice Aquilonii zmierzając na południe i wkroczyli na trawiaste pastwiska Ophiru, by znaleźć się w potrzasku - ich dawny sojusznik, król Ophiru, Amalrus, połączył przeciw nim swe siły ze Strabonusem, królem Koth.

Zbyt późno dostrzegł Conan pułapkę. Dokonał jednak wszystkiego, czego mógł dokonać wódz mający pięć tysięcy konnicy przeciw sunącym na niego siłom trzydziestu tysięcy rycerstwa, łuczników i pikinierów.

Nie mając ni piechoty, ni łuczników, rzucił swą pancerną jazdę na nadciągającego wroga; ujrzał, jak zakuci w błyszczącą stal rycerze Amalrusa ścielają się pod kopiami aquilońskiej jazdy, przełamał środek wrażeń szyków i gromił uciekających na łeb, na szyję, gdy wtem znalazł się w kleszczach nienaruszonych skrzydeł sprzymierzonych przeciw niemu armii.

Shemiccy łucznicy Strabonusa wzniecili zamęt wśród rycerstwa Conana; szyli celnie, trafiając w każdą szczelinę pomiędzy płytami pancerzy, powalali konie, a kothyjscy włócznicy doskakiwali, skłuwając leżących jeźdźców.

Rozbita w pierwszym starciu pancerna konnica wroga ponownie sformowała zwarty szyk i wspomagana lżejszą jazdą ze skrzydeł przypuściła atak, miażdżąc już samą liczebną przewagą aquilońskich rycerzy. Aquilończycy nie pierzchnęli - ginęli, walcząc, i z pięciu tysięcy rycerstwa, jakie ruszyły z Conanem na południe, nikt żywym nie opuścił równiny Shamu. I tylko król stał jeszcze pośród okrutnie pociętych ciał gwardzistów, wsparty plecami o stos martwych ludzi i koni. Ophirscy rycerze w złotych kolczugach dojeżdżali konno, godząc weń koncerzami; krępi Shemici o stalowoczarnych brodach i ciemnolicy Kothyjczycy ścierali się z nim pieszo; ogłuszający łoskot stali niósł się z placu boju. Odziany w czarną kolczugę król dwoił się i troił pośród nacierających nań nieprzyjaciół, obdzielając ich strasznymi ciosami miecza niczym rzeźnik władający wielkim toporem; wokół jego obutych w żelazo stóp utworzył się pierścień porąbanych ciał; napastnicy przerażeni desperacją olbrzymiego rycerza odstępowali, zziajani i pobladli, miotając z oddali przekleństwa na głowę niezłomnego mocarza.

Rozpychając na boki tłoczącą się wkoło miejsca potyczki ciżbę, nadjeżdżali zwycięzcy - Strabonus o rozbieganych oczkach wyzierających z ciemnej, szerokiej twarzy; szczupły, wymuskany Amalrus, zdradliwy i groźny jak kobra, wreszcie odziany jeno w jedwabną tunikę, podobny wychudzonemu sępowi Tsotha-lanti, kapłan o wielkich, czarnych, błyszczących oczach wyzierających z twarzy przywodzącej na myśl łeb sępa ścierwojada. O owym kothyjskim czarnoksiężniku opowiadano mrozące krew w żyłach legendy; w wioskach na zachodzie i północy kraju wieśniaczki o pomarszczonych twarzach straszyły dzieci jego imieniem; krnąbrnych niewolników łatwiej niż batem można było zmusić do posłuszeństwa groźbą sprzedania w ręce okrytego złą sławą maga. Wieść gminnaniosła, iż miał on wielką bibliotekę wypełnioną czarnoksiężskimi traktatami oprawnymi w skórę odartą z żywych ludzi, powiadano też, iż w przepastnych lochach wydrążonych pod wzgórzem, na którym posadowiony był jego pałac, utrzymywał kontakty z mocami piekielnymi, wymieniając młode niewolnice za bezbożne sekrety i magiczne formuły dające mu władzę nad światem demonów.

Tsotha-lanti był rzeczywistym władcą Koth.

Teraz uśmiechnął się zgryźliwie, widząc królów ściągających wodze w bezpiecznej odległości od groźnej postaci w czarnej kolczudze.

A nawet najodważniejsi tracili rezon i jakby kurczyli się pod morderczym spojrzeniem niebieskich oczu pałających pod okapem pogiętego szyszaka. Ciemna, naznaczona bliznami twarz Conana pociemniała jeszcze bardziej od rozpierającej go furii; jego czarna zbroja była powgniatana i ociekała krwią, a wielki miecz aż po jelec unurzany w szkarłacie.

W bitewnej potrzebie opadły zeń pozory ogłady - był teraz barbarzyńcą stojącym wobec swych pogromców.

Cymmeryjczyk z urodzenia, pochodził z owych krewkich a posepnych górali, zamieszkujących pochmurne północne krainy. Saga o drodze, jaką pokonał, nim zasiadł na tronie Aquilonii, dała kanwę bezlikowi legend, sławiących jego przewagi.

Obaj królowie utrzymywali tedy bezpieczną odległość od Conana; Strabonus pienieł się aż z furii na widok swych setników ścielących się niczym zżęty łan u stóp Cymmeryjczyka; skąpy, gdy szło o zaciężnych, jak o swoje złoto, zakrzyknął na shemickich łuczników, by szli w Conana z daleka.

Ale Tsotha-lanti pokręcił głową.

- Weź go żywym.

- Łatwo ci tak gadać! - warknął Strabonus, zdjęty obawą, że odziany w czarną kolczugę olbrzym mógłby jakimś cudem wyrąbać sobie drogę poprzez włócznie pikinierów aż do miejsca, gdzie stali władcy. - Któż mógłby pojmać żywcem ludożerczego tygrysa! Na Isztar! On depcze karki moich najlepszych fechtowników! Siedem lat i góry złota pochłoneło wyćwiczenie każdego z nich, a oto leżą tam, rozplątani niczym wieprze w jatce! Strzały, powiadam, tylko strzały!

- Jeszcze raz: nie! - uciał Tsotha zsiadając z konia. Zaśmiał się chłodno i rzekł:

- Zali jeszcze nie wiesz, iż mój rozum potężniejszy jest od jakiegokolwiek miecza?

Minął szeregi włóczników, a potężne chłopcy w czepcach stalowych i kolczugach umykały na boki, drżąc nawet na myśl o muśnięciu skrajem jego szaty.

Mag przestąpił poprzez szaniec usypany z martwych ciał i stanął twarzą w twarz z groźnym królem. Żołdactwo ślepiło nań z zapartym tchem; zapadła istnie grobowa cisza.

Olbrzymia postać w czarnej kolczudze, zda się, zawisła ponad białą odzianą, szczupłą sylwetką, a wyszczerbiony, oburęczny miecz wznosił się do ciosu.

- Ofiaruję ci życie, Conanie - ozwał się Tsotha, a w głosie jego brzmiała nuta okrutnej uciechy.

- A jać śmiercią obdarzę, czarowniku! - ryknął król i miecz powodowany stalowymi mięśniami i ognistą nienawiścią śmignął z siłą wystarczającą, by tors kapłana na pół rozplatać.

Równy z okrzykiem żołdaków, szybciej niż głos podąży, postąpił Tsotha w przód i tknął jeno gołą dłonią lewego ramienia króla w miejscu, gdzie odarto zeń kolczugę.

Tnąca powietrze głównia zboczyła z drogi, a odziany w stal olbrzym obalił się z hukiem na ziemię i znieruchomiał.

Tsotha zaśmiał się bezgłośnie.

- Weźcie go, a nie trwóście się: oto wyrwano lwu kły!

Obaj królowie zacięli konie i zbliżyli się, mierząc zdumionym wzrokiem powalonego olbrzyma. Conan leżał sztywno, jak człowiek martwy, ale jego otwarte szeroko i pałające bezradną furią oczy patrzyły ku górze, podążając za twarzami stojących nad nim ludzi.

- Cóżes mu uczynił? - niepewnym głosem zapytał Amalrus.

Tsotha uniósł dłoń i pokazał szeroki pierścień o dziwnym kształcie; zwarł mocno palce i na wewnętrznej powierzchni pierścienia wyskoczył, niczym węzowy język, małeńki stalowy kiel.

- Ostrze to jest pokryte sokiem purpurowego lotosu, porastającego nawiedzane przez duchy stepy południowej Stygii - powiedział mag. - Dotknięcie nim powoduje na czas pewien paraliż. Zakujcie go w łańcuchy i złożcie na rydwanie; słońce już zachodzi i czas, by ruszać do Khorshemish.

Strabonus zwrócił się do swego namiestnika, Arbanusa:

- Wracamy z rannymi do Khorshemish i tylko oddział gwardii pojedzie z nami. Ty o świcie maszeruj ku aquilońskiej granicy i miasta Shamar dobywaj. Furażu Ophirczycy ci w drodze dostarczą, a my dołączymy do ciebie z posiłkami tak szybko, jak to będzie możliwe.

I stało się, jak powiedział: zakuci w stal rycerze, łucznicy i pikinierzy wraz z obozowymi ciurami rozłożyli się opodal pobojuwiska, oczekując świtu, zaś obaj królowie, wraz z magiem potężniejszym niż jakikolwiek władca, ruszyli poprzez noc pod ugwieżdżonym niebem ku Strabonowej stolicy, otoczeni połyskującą złotem gwardią pałacową, a ciągnął za nimi długi sznur rydwanów, wiozących rannych. Na jednym z nich spoczywał Conan, król Aquilonii, omotany łańcuchami, z duszą miotaną furią pojmanego tygrysa przeżywającego goręcy porażki.

Jad, który sparaliżował potężne członki, nie zaćmił umysłu. Rydwan toczył się, podskakując na wybojach, a Conan dumiał, rozpamiętując klęskę. Dni temu kilka Amalrus pchnął doń gońca z prośbą o przysłanie pomocy przeciw Strabonusowi, który, jak mówiło posłanie, niepokoił wschodnie prowincje Ophiru, leżące pomiędzy granicą Aquilonii i rozległym południowym królestwem Koth. Amalrus prosił o tysiąc jazdy jeno i obecność Conana dla dodania ducha wylęknionym zastępom ophirskim.

Conan bluźnił w myśli: w swej wielkoduszności pociągnął w pięć tysięcy pancernych, pięciokrotnie więcej wiodąc, niż domagał się zdradliwy Amalrus. W dobrej wierze wkroczył w granice Ophiru i stanął wobec rzekomych wrogów, sprzymierzonych przeciw niemu.

A szacowano jego bitność tak wysoce, iż przeciw jego pięciu tysiącom wyprowadzono dwie całe armie.

Czerwony obłok przesłonił mu wzrok, żyły nabrzmiały z wściekłości, a puls szaleńczo łomotał w skroniach. W całym życiu nie zaznał potężniejszej i równie bezsilnej złości. Oczyma wyobraźni czytał księgę swego żywota - stronicie umykały szybko zmieniającymi się scenami; widział siebie pod różnymi postaciami, w wielu przebraniach. Oto był odzianym w skóry barbarzyńcą, najemnym żołdakiem w rogatym hełmie i karacenowej zbroi, korsarzem na gaterze o dziobie w kształcie smoka, ostawiającej za sobą wzdłuż południowych wybrzeży krew, zgliszcza i rumowiska; tu znów był kapitanem gwardii odzianym w błyszczącą zbroję, dosiadającym wielkiego, czarnego rumaka, tu zaś królem zasiadającym na złotym tronie, nad którym powiewał proporzec ze złotym lwem, a u stóp jego klęczały tłumy dworaków i wysoko urodzonych dam. Ale podskoki rydwanu na wyboistej drodze wprawiały jego umysł w konwulsje wściekłości, przypominając o zdradzie Amalrusa i magii Tsoth-lanti.

Żył na skroniach nieomalże pękały mu z wściekłości, a jedynym ukojeniem były jęki rannych wiezionych na rydwanach, napawające go złośliwą satysfakcją.

Przed północą przekroczyli granicę Ophiru, a o świcie ujrzeli wyzierające z za horyzontu strzeliste dachy Khorshemish, lśniące i przybarwione różowo promieniami słońca wyniosłe wieżycy, ponad którymi wisiała posępna, szkarłat-na cytadela, z tej odległości wyglądająca jak plama krwi na błękitnym niebie. Była to siedziba Tsotha-lanti, wzniesiona na wzgórzu o zboczach zbyt stromych, by się na nie wspiąć; wiodła do niej tylko jedna wąska droga wyłożona marmurem i przegrodzona potężnymi, żelaznymi bramami.

Z murów cytadeli dało się ogarnąć wzrokiem szerokie, jasne ulice miasta, minarety, świątynie, bogate rezydencje wielmożów i rzędy kramów na placach targowych. Można też było spojrzeć na królewskie pałace, posadowione pośród rozległych ogrodów otoczonych wysokimi murami, przecinane przepyszными szpalerami owocowych drzew i krzewów; szemrały pośród nich sztucznie utworzone strumyki, a nieprzerwanie bijące fontanny rozsnuwały srebrzystą mgiełkę.

Ponad wszystkim wisiała cytadela, niczym kondor pochylony nad swą ofiarą, pogrążony w posępnej medytacji.

Potężne bramy pomiędzy wyniosłymi wieżami zewnętrznego muru rozwarły się z łoskotem i król wjechał do stolicy pośród szpaleru połyskujących rynsztunkiem pikinierów, a pięćdziesiąt fanfar zabrzmiało powitalnym salutem.

Ale tłumy nie wyległy na wyłożone białym marmurem ulice, by rzucać pęki róż pod kopyta królewskiego konia. Strabonus przybywał szybciej niż nowina o wygranej bitwie, a ludzie podejmujący właśnie swe codzienne zajęcia spoglądali na powracającego z niewielkim orszakiem króla niepewni, czy porażkę to oznaczało, czy zwycięstwo.

Życie z wolna powracało w ciało Conana; uniósł głowę z podłogi rydwanu, by przypatrzeć się cudom miasta zwanego przez ludzi Królową Południa. Kiedyś zamierzał wjechać przez owe zdobione złotem bramy na czele swych zakutych w stal zastępów, z wielkim sztandarem Aquilonii powiewającym nad głową. Miast tego wjeżdżał oto ciśnięty niczym pojmany niewolnik na podłogę rydwanu wroga, odarty ze zbroi i omotany łańcuchami.

Przemożna fala szyderczej uciechy wzięła górę nad wściekłością, ale dla żołnierzy powożących rydwanem śmiech Conana zabrzmiał niczym pomruk rozdrażnionego lwa.

2.

Pięknie lśni otoczka kłamstwa przejrzystego;

o Prawie Bogów bajęda...

Wyście drogą spadku korony dostali, za moją

krwew była ceną.

Tronu, com go zdobył krwią własną i potem

nigdy, na Croma! nie przedam

Nawet za doliny wypełnione złotem czy pod

groźbą do Piekieł wtrącenia!

- DROGA KRÓLÓW

W cytadeli, w komnacie o wysoko sklepionym suficie z rzeźbionego granitu i ażurowych portalach lśniących od rzadkich, czarnych klejnotów, dziwne trwało spotkanie.

Conan Aquiloński stał oto przed swymi pogromcami, a krew sączyła się z jego nie opatrzonych ran. Z każdego boku czuwał przy nim tuzin czarnoskórych olbrzymów dzierżących topory na długich styliskach.

Przed nim stał Tsotha, a za nim, na pokrytych aksamitem łóżach, spoczywali Strabonus i Amalrus, odziani w jedwabie, obsypani złotem i skrzącymi się klejnotami. Przy każdym z nich czuwał młody, nagi niewolnik dolewający w miarę potrzeb wina do wyciętych z szafiru pucharów.

Dziwnie, zaiste, w tym otoczeniu wyglądał Conan - posępny, okrwawiony, w przepaskę jeno na biodrach przyodziany, w okowach krępujących potężne członki; jego niebieskie oczy gorzały pod zwichrzoną grzywą spadającą na niskie, szerokie czoło.

Górował nad obecnymi, już samym wigorem prostego ducha przyćmiewając przepych obu władców, zaś każdy z nich w skrytości serca, mimo wypisanej na obliczu dumy i aury splendoru, pojmował to, nie czując się pewnie wobec dzikiej siły drzemiącej w ciele barbarzyńcy. Tylko Tsotha zdawał się nie ulegać podobnym uczuciom.

- Nasze życzenia szybko obracają się w czyny - ozwał się wreszcie. - Jest naszą wolą poszerzyć granice królestwa Koth.

- I dlatego, wieprze, mego pożądamie królestwa - warknął Conan.

- Czymeś więcej jest, niżli tylko śmiałkiem zawłaszczającym koronę, do której praw nie więcej masz, niż jakikolwiek inny barbarzyński rozbójnik - odparował Amalrus. - Jesteśmy przygotowani na danie ci stosownej kompensacji.

- Kompensacja? - Z potężnej piersi Conana dobył się grzmot basowego śmiechu. - Czyli cena za infamię i zdradę! Barbarzyńcą jestem, mam tedy sprzedać me królestwo i lud jego, za cenę życia i waszego plugawego złota! Ha! Jakaś sam posiadał koronę, ty i ta siedząca obok ciebie świnia o czarnym pysku? Wasi ojcowie walczyli i cierpieli, by podać wam korony na złotych półmiskach; to, coście odziedziczyli bez kiwnięcia palcem - oprócz strucia kilku braci - ja wywalczyłem sobie sam!

Siedzicie na pluszach, spijacie wino wyrabiane w pocie czoła przez waszych poddanych i gadacie o świętych prawach dziedzictwa - ha! Wspiąłem się na tron z otchłani nagiego barbarzyństwa, a w tej wspinaczce równie łatwo przelewałem krew innych, jak i swoją. Jeśli któryś z nas ma prawo władać ludźmi to, na Croma, jestem nim ja!

Jakeście mi wykazali waszą wyższość? Zastałem Aquilonię w uścisku świni wam podobnej - pyszałka, co swój ród na tysiące lat wstecz wywodził. Kraj szarpały wojny pomiędzy baronami, a lud cierpiał od ucisku, podatków i bezlitośnie ściąganych danin. Dziś żaden aquiloński wielmoża nie poważy się poniewierać najpodlejszego z mych poddanych, a powinności na naród nałożone najłżejsze są w całym świecie. A wy? Twój brat, Amalrusie, trzyma wschodnią połąć twego królestwa i zwalcza cię ze wszystkich sił. A twoi najmici, Strabonusie, w tej chwili oblegają zamki tuzina zbuntowanych baronów. Ludzie w waszych królestwach jęczą pod brzemieniem tenut i podatków, ale wy chcecie ograbić i moich poddanych! Gdybym miał wolne ręce, wasze potrzaskane czerepy zbrukałyby tę posadzkę!

Tsotha uśmiechnął się złośliwie, widząc wzbierającą w obu władcach furję.

- Choćby to wszystko prawdą było, nie o tym tu chcemy mówić. Nie twoją rzeczą są nasze plany. Twoja odpowiedzialność skończyła się; gdy podpiszesz ten oto pergamin, będący aktem abdykacji na rzecz księcia Arpello z Pellii, dostaniesz konia, rynsztunek i pięć tysięcy złotych lunów, po czym pod eskortą do wschodniej granicy odstawiony będziesz.

- Chcecie pozostawić mnie w miejscu, gdzie byłem, nimem wkroczył w granice Aquilonii, by zaciągnąć się pod sztandary jej ówczesnej armii - z tym tylko, że z piętnem zdrajcy odcisniętym na czole! - Śmiech Conana zabrzmiał jak krótkie, głębokie warknięcie pustynnego wilka. - Arpello, czy tak? Miałem w podejrzeniu tego pellijskiego rzeźnika. Czy nie możecie nawet kraść i rabować otwarcie, że aż takiej się imacie wymówki, na miłą śmierdzącej oszustwem? Arpello przyznaje się do śladów krwi królewskiej w swych żyłach i dlatego posługujesz się nim, dla usprawiedliwienia złodziejstwa chcąc jego rękoma rządzić Aquilonią? Pierwej spotkamy się w Piekło!

- Ty głupcze! - uniósł się Amalrus. - Wszak w naszej jesteś mocy i tak korony, jak życia, możemy cię zbawić, jeśli nam się zechce!

Odpowiedź Conana nie była ani królewska, ani wytworna, a właściwa człowiekowi, którego barbarzyńska natura nigdy nie nagięła się do sztywnych ram dworskiego ceremoniału.

Splunął prosto w twarz Amalrusa. Król Ophiru, chwytając za miecz, poderwał się z wrzaskiem wściekłości i ruszył na Conana, dobywając wąską klingę z pochwy. Tsotha stanął mu na drodze.

- Wolnego, Wasza Wysokość; ten człek moim jest jeńcem.

- Na bok, czarowniku! - wycharczał Amalrus, doprowadzony do szaleństwa szyderczym spojrzeniem niebieskich oczu Cymmeryjczyka.

- Powiedziałem: stój! - ryknął Tsotha, a złość wykrzywiła jego oblicze paskudnym grymasem.

Szczupła ręka kapłana wystrzeliła z rękawa, a obłok pyłu spowił twarz Amalrusa. Ten zakrzyknął, cofając się chwiejnie, upuścił miecz, a dłońmi schwycił się za twarz; bezwładnie opadł na łoże; kothyjscy strażnicy patrzyli przed siebie niewidzącym wzrokiem, a Strabonus, obejmując naczynie drżącymi dłońmi, pośpiesznie wychylił puchar wina.

Amalrus odjął ręce od twarzy i potrząsnął głową; z wolna jego oczy odzyskiwały normalny wyraz.

- Zaniewidziałem - stęknął. - Cóżes mi uczynił, czarowniku?

- Drobną to była sztuczka, po to, być przypomnieć, kto jest tu rzeczywistym panem - rzucił Tsotha, zbywszy się pretensjonalnej maski dostojnika, obnażając zarazem swą prawdziwą, złą naturę.

- Strabonus otrzymał lekcję - miej i ty swoją: to, com ci cisnął w oczy, było jeno pyłem, który znalazłem w stygijskim grobowcu; jeśli raz jeszcze cię oślepię, będziesz błądzić w ciemnościach aż po kres żywota.

Dreszcz przebiegł ramiona Amalrusa; zdjęty grozą uśmiechnął się pojednawczo i sięgnął po puchar, maskując przerażenie i wściekłość. Będąc szczwanym dyplomatą potrafił szybko odzyskać pozory spokoju.

Tsotha zwrócił się do Conana, który przez cały czas stał, obojętnie śledząc wydarzenia. Na skinienie czarownika strażnicy schwycili jeńca i wyprowadzili go, podążając za Tsotha; wyszedłszy z komnaty przez ostrołukowy portal, znaleźli się w krętym korytarzu o mozaikowej podłodze i złożonych ścianach, ornamentowanych srebrem; z wysklepionego sufitu zwisały złote kadzielnice rozsnuwające w korytarzu gęste, wonne dymy. Skręcili w węższy korytarz oblicowany jaspisem i czarnym marmurem, mroczny i posępny, zakończony brązowymi drzwiami, nad którymi szczyrzyła w przeraźliwym uśmiechu zęby ludzka czaszka. Przy drzwiach stał tłusty jegomość o odpychającej powierzchowności, podzwaniając pękiem kluczy - niewolnik Tsothy, najwyższy rangą eunuch imieniem Shukeli; krążyły o nim mrozące krew w żyłach legendy, bowiem miast normalnych ludzkich uczuć władało nim jedno - zwierzęce okrucieństwo, znajdujące ujście w zamięłowaniu do tortur.

Za drzwiami z brązu wąskie schody opadały w dół, jakby wiodąc do samych trzewi wzgórza, na którym posadowiono cytadelę.

Schody kończyły się na dole podestem opatrzonym żelaznymi drzwiami o konstrukcji aż nadto potężnej; najwyraźniej nie łączyły się one ze światem zewnętrznym, a jednak sprawiały wrażenie zbudowanych tak, by wytrzymywać uderzenia oblężniczych taranów.

Shukeli otworzył drzwi i odstąpił na bok. Conan zauważył, że wyraźny niepokój zapanował wśród wiodących go ciemnoskórych Kushytów. Shukeli równie niepewnie wejrzał w ciemność panującą za drzwiami; tkwiła tam jeszcze jedna przeszkoda - krata z potężnych, stalowych prętów, opatrzona wymyślnym, działającym bez klucza zamkiem, który można było otworzyć jedynie z zewnątrz.

Shukeli nacisnął dźwignię i krata wsunęła się w ścianę. Przeszedłszy przez drzwi, znaleźli się w szerokim korytarzu wyciętym wprost w masywie skalnym; Conan zrozumiał, że są głęboko pod ziemią - poniżej podstawy wzgórza, na którym piętrzyła się cytadela. Ciemność ustępowała, odpychana płomieniem pochodni niesionej przez eunucha. Kushyci przykuli króla do stalowego kółka osadzonego w ścianie; w niszy ponad jego głową umieścili pochodnię tak, że stał w półkolu słabego światła.

Strażnicy spieszyli się, jakby chcąc czym prędzej odejść; pomrukiwali między sobą i rzucali niespokojne spojrzenia w otaczający ich mrok.

Tsotha gestem wskazał im wyjście; stłoczyli się w drzwiach, przepychając się w pośpiechu, jakby w obawie, iż otaczająca ich ciemność przybierze drapieżny kształt i skoczy im na plecy.

Tsotha zwrócił się ku Conanowi, a król zauważył, że oczy czarownika świecą w półmroku, jego zęby zaś podobne są zębom wilka, białe połyskującym w ciemnościach.

- Życzę ci tedy szczęścia, barbarzyńco - szydził mag. - Trza mi jechać do Shamar, do oblężenia. W dni dziesięć stanę z moimi wojownikami w twym pałacu w Tarantii. Cóż mam przekazać od ciebie twoim kobietom, zanim zedrę z nich atlasowe skóry na zwoje do spisania kroniki zwycięstw Tsothalanti?

Conan odpowiedział ciężkim cymmeryjskim przekleństwem, a jego ryk targnął powietrzem z siłą, zdolną rozdrzeć bębenki uszu zwykłego człowieka.

Tsotha zaśmiał się jeno szyderczo i wyszedł.

Krata wsunęła się na swoje miejsce, a król uchwycił jeszcze zarys podobnej sępowi sylwetki za grubymi prętami. Ciężkie drzwi zewnętrzne zatrzasnęły się z hukiem i zapanowała cisza.

3.

Bieżył Lew przez czeluści piekielne

Cienie kładły się przed nim posępne

Wielu zjaw nienazwanych, w mroku przyczajonych

Bestyj o plugawych paszczach rozdziawionych

Od skowytu i wrzasku zadrżały ciemności

Kiedy skradał się Lew przez piekielne czeluści.

(ze starej ballady)

Conan szarpnął łańcuchem, próbując jego wytrzymałości; zbadał też osadzone w ścianie kółko, do którego łańcuch przykuto. Członki miał wolne, ale zrozumiał, że nawet jego stalowe mięśnie nie mogłyby zerwać owych pęt. Ogniwa miały grubość jego kciuka, a przytwierdzone były do opasującej go żelaznej sztaby na dłoń szerokiej i grubej na pół cala; sama waga okowów mogłaby zabić słabszego niż on człowieka. Spojenie łańcucha ze stalowym pasem było nader solidne i nawet kowalski młot nie zdołałby go rozgiąć; pierścień w murze najwyraźniej stanowił zakończenie pręta przeciągniętego przez ścianę i przytwierdzonego kowalską sztuką po drugiej stronie.

Conan zaklął, a gdy spojrział w ciemność napierającą na półkole migotliwego światła pochodni, ogarnął go niepokój. Zrodzone z przesądów obawy drzemały w barbarzyńskiej duszy, nie tknięte trzeźwym osądem, jaki właściwy jest ludziom wychowanym w cywilizowanych krajach. Prymitywna wyobraźnia olbrzyma zaludniała podziemne ciemności groźnymi kształtami, zaś rozum podpowiadał mu, iż nie został wtrącony do owego lochu gwoli odosobnienia jeno; Tsotha nie miał powodu, by go przy życiu zachować, tedy w lochu tym kaźni okrutnej winien się spodziewać.

Przeklinał swą głupotę - wszak mógł się zgodzić na haniebny układ, jaki mu podsunęto, choć na samą myśl o tym burzyła się w nim dusza; wiedział wszelako, że gdyby go z lochu wyprowadzono i zapytano powtórnie, czy gotów jest abdykować, odpowiedziałby tak, jak to już raz uczynił - nie mógł przecie zaprzedać swych poddanych krwawemu okrutnikowi. A przecież, gdy zdobywał królestwo, czynił to dla swego i niczyjego więcej zysku - oto jak niepostrzeżenie może się czasem wśliznąć w duszę awanturnika o rękach krwią splamionych świadomość odpowiedzialności władcy za podległy mu naród.

Conan pomyślał o ohydnej groźbie Tsotha-lanti i aż jęknął z nieopisanej wściekłości, wiedząc, iż nie były to czcze pogrożki. Ludzkie istoty, tak mężowie jak i niewiasty, nie są dla okrutnego maga niczym więcej, jak wijącym się robactwem dla badającego je mędrca. Miękkie, białe dłonie, które go pieściły, pąsowe usta, które przywierały do jego ust, alabastrowe piersi drżące od jego ognistych pocałunków - miały być odarte z delikatnej skóry, białej niczym kość słoniowa, różowej jak pąki róż... Krzyk okropny wydarł się z warg Conana, nieludzki wręcz od szaleńczej furii.

Dudniące echo zatrwożyło go i sprowadziło na jawę, jał tedy ponownie rozważyć swą sytuację. Spojrzał niepewnie w ciemność, otaczającą świetliste półkole, a wspomniawszy na wszystkie ponure opowieści, jakie zdarzyło mu się zasłyszeć o wyrafinowanym okrucieństwie Tsotha-lanti, poczuł, jak niemiły chłód wędruje mu wzdłuż krzyża. Zdał sobie sprawę, że nie gdzie indziej się znajduje, jeno w osławionych Komnatach Trwogi, wspomnianych w mrozących krew w żyłach legendach; w tych właśnie tunelach i lochach dokonywał

Tsotha-lanti straszliwych doświadczeń na istotach ludzkich, zwierzęcych i, jak powiadano, demonicznych, igrając bałwochwalczo z samym sednem natury życia. Wieść gminna niosła, że szalony bard Rinaldo odwiedził te lochy, a czarownik pokazał mu różne okropieństwa i niewyobrażalne potworności, o których później wspomniął Rinaldo w poemacie „Pieśń lochu”; opisane tam rzeczy nie były tedy czym jeno wymysłem trawionej gorączką jaźni.

A jaźń owa w pył się rozpadła pod toporem Conana, gdy nocy pewnej musiał walczyć o życie ze skrytobójcami, których szalony Rinaldo do pałacu wprowadził; szczeł tedy autor rymów, ale wstrząsające słowa owej posępnej pieśni wciąż brzmiały w uszach króla, gdy tak stał, przykuty łańcuchem do ściany.

Wtem Cymmeryjczyk zamarł, usłyszawszy cichy szelest, krew w żyłach mrozący podejrzeniem, jakie na myśl przywodził. Król zastygł w napięciu, słuch aż do granic bólu wyteżając - nieomylnie rozpoznał odgłos wydawany przez giętkie łuski prześlizgujące się po kamieniu. Krople zimnego potu zrosiły mu skórę, gdy poza kręgiem słabego światła wypatrzył niewyraźny, kolosalny kształt, choć ledwo dostrzegalny, i tak dość okropny, by go przerazić. Kształt ów uniósł się w górę, kołyszając się cokolwiek, a wzrok żółtych, płonących ślepi wyzierających z ciemności zawisł na Cymmeryjczyk. Stopniowo przed oczyma Conana jęła się zarysowywać wielka, szkaradna, trójkątna głowa, a z ciemności wypełzło powoli wijące się cielsko gada. Wąż to był, a wobec jego rozmiarów karłami się zdały gady, jakie król mógł sobie wyobrazić: od większej niżli koński łeb głowy po czubek szpiczastego ogona mierzył sobie najmniej stóp osiemdziesiąt. W przyćmionym świetle jego łuski lśniły zimno, białe niczym szron; z pewnością gad ten wyklął się i wyrósł w ciemności, a jednak ślepa jego zionęły złym i bystrym spojrzeniem. Gad zapętlił swe tytaniczne zwoje naprzeciw przykutego do ściany człowieka i uniósł wielki łeb, kołyszając nim o kilka cali od twarzy Conana; rozwidlony, wysuwający się rytmicznie język nieomal ocierał się o usta króla, a dojmujący odór przyprawił go o mdłości; olbrzymie, żółte ślepa patrzyły mu prosto w oczy. Walczył z sobą, by nie ulec podpowiadanej przez instynkt chęci schwycenia w potężne dłonie kołyszającej się przed nim grubej szyi gada. Będąc silniejszym, niżli może to sobie wyobrazić człek cywilizowany, Conan skreślił niegdyś kark olbrzymiego pytona po upiornej walce stoczonej w latach, gdy trudnił się korsarstwem. Ale gad zwinięty teraz przed nim, jakby nie dość, że monstrualnie wielki, był i jadowity: Conan widział białe, wygięte niczym szable, długie na stopę kły - kapala z nich bezbarwna ciecz, w której Cymmeryjczyk, wiedziony barbarzyńskim instynktem, wyczuwał śmierć.

Zapewne mógłby zgruchotać ową trójkątną czaszkę desperackim ciosem zaciśniętej pięści, lecz wiedział, że na pierwsze drgnienie mięśnia, ba, nawet powieki, potwór uderzy - niczym błyskawica. Conan trwał bez ruchu choć rozum mu podpowiadał, by rozjuszyc węza, przybliżając i tak przesadzoną zgubę. Ślepy instynkt nakazujący życia ratowanie usztywnił członki Cymmeryjczyka tak, iż przypominał raczej odlany z brązu posąg niż żywego człowieka.

Gruba szyja uniosła się wyżej, a głowa gada zawisła nad więźniem: wąż badał z bliska pochodnię osadzoną w niszy ponad głową króla. Kropla jadu spadła na nagie udo człowieka, a jej tknięcie było niczym pogrążenie w ciele rozżarzonego do białości sztyletu; choć szkarłatne plamy zawirowały przed oczyma Conana, nie drgnął nawet; nie drgnął ani jeden mięsień jego ciała, nie drgnęła nawet powieka; nic nie zdradziło bólu sprawionego oparzeniem.

Wąż kołysał się nad nim, jakby chcąc się przekonać, czy w owej zastygłej postaci tli się choć iskra życia.

Wtem dało się słyszeć szcęknięcie otwieranych drzwi. Wąż, jak wszystkie gady ostrożny i płochliwy, zwinął się z zaskakującą jak na jego wielkość szybkością i odpełził, niknąc w mroku.

Potężne drzwi rozwarły się i tak już pozostały; krata wsunęła się w ścianę, a potężna czarnoskóra postać stanęła w wejściu, oświetlona płomieniami kwaczy płonących w zewnętrznym korytarzu. Człek ów wsunął się do lochu, a kratę za sobą przymknął, bacząc jednak, by nie zatrasnęła się przemyślna zasuwka. Kiedy przybysz wkroczył w półkole światła rzucanego przez pochodnię osadzoną nad głową króla, Conan ujrzał, iż był to mąż olbrzymi, czarnoskóry i prawie nagi; pęk kluczy dzierżył w jednej ręce, w drugiej zaś wielki miecz.

I ozwał się czarny, a gadał w dialekcie ludów zamieszkujących morskie pobrzeża; Conan poznał niegdyś ową mowę, a to gdy był piratem, grasującym u wybrzeży kraju Kush.

- Długom czekał, by cię spotkać, Amra! - Czarny zwał Conana imieniem, pod którym Cymmeryjczyk znany był Kushytom w swych pirackich latach - „Amra”, czyli „Lew”.

Na twarz niewolnika wypełził zwierzęcy grymas, na kształt uśmiechu odsłaniając śnieżnobiałe zęby, a oczy jego lśniły czerwono w świetle pochodni.

- Wielem ryzykowałem dla tego spotkania! Spójrz - oto klucze do twych łańcuchów: skradłem je eunuchowi. Cóż byś mi za nie dał?

- Dziesięć tysięcy złotych lunów! - szybko wypalił Conan, czując, jak nadzieja ożywia bicie jego serca.

- Mało! - wrzasnął czarny, a uniesienie jakby rozjaśniło jego hebanowe oblicze. - Za mało, jak na takie ryzyko! Ulubieńcy Tsotha-lanti mogą wychynąć z ciemności i pożreć mnie, a jeśli Shukeli odkryje, że mu skradł klucze, obwiesi mnie za nogi. Więc cóż mi dasz za klucze?

- Piętnaście tysięcy i pałac w Poitain - rzucił król.

Czarny zakrzyknął radośnie i podskoczył wysoko, dając tym wyraz swej radości na sposób barbarzyński.

- Więcej! - wrzasnął. - Chcę więcej! Co mi dasz?

- Ty czarny psie! - Purpurowa mgła wściekłości zasnęła oczy Conana. - Gdybym był wolny, dałbym ci kark złamany! Czy to Shukeli nasłał cię, byś ze mnie szydził?

- Shukeli nic nie wie o tym, że tu przyszedł, biały człowieku - odparł niewolnik, wyciągając szyję tak, by zajrzeć wprost w oczy Conana. - Znam cię od dawna, z czasów, gdy byłem wodzem wolnego plemienia, zanim Stygijczycy pojмали mnie i sprzedali na północy. Czy nie pamiętasz zdobycia Abombi, kiedy twe morskie wilki wtargnęły do miasta? Przed pałacem króla Ajagi zabiłeś wodza; inny wódz uszedł z życiem; zabitym był mój brat, a tym, co uciekł, byłem ja! Żądam od ciebie ceny krwi, Amra!

- Uwolnij mnie, a zapłacę ci tyle w sztukach złota, ile sam wazysz! - warknął Conan.

Przekrwione oczy czarnego rozświetlił drapieżny błysk, a jego zęby zaśniły niczym zęby wilka.

- Takiś, biały psie, jak i cała twoja rasa, ale czarnemu człowiekowi złoto nigdy nie wynagrodzi krwi przelanej! Cena, jaką zapłacisz, to twoja głowa!

Ostatnie słowa zostały wykrzyczane w opętańczym uniesieniu i poniosły się echem wzdłuż przepastnych korytarzy.

Conan stęzał, podświadomie napinając okowy, zdjęty obrzydzeniem na myśl o umieraniu śmiercią bezbronno go jagnięcia. Nagle zamarł z przerażenia - oto ponad ramieniem czarnego olbrzyma dojrzał w ciemności niewyraźny zarys kołyszącego się rytmicznie straszno go cielska.

- Tsotha nigdy się nie dowie! - Pokładał się ze śmiechu czarny, zbyt upojony swym tryumfem, by zważać na cokolwiek za swymi plecami. - Nie wejdzie do lochu, nim demony nie odrą ciała z twych kości, a kości nie wywleką z łańcuchów! Będę miał twoją głowę, Amra!

Niewolnik rozstawił szeroko masywne niczym kolumny nogi i zamachnął się oburącz ciężkim mieczem, a jego lśniące w świetle pochodni, żylaste mięśnie zagrały.

W tym momencie tytaniczny cień poza nim strzelił w dół i w przód, i głowa w kształcie klina uderzyła z takim impetem, że aż echo powtórzyło odgłos ciosu w tunelach i korytarzach wydrążonych w litej skale. Żaden dźwięk nie dobył się z sinoczerwonych, grubych, rozchylonych szeroko w agonalnym grymasie warg; Conan ujrzał tylko, jak wraz z głuchym tąpnięciem uderzenia uchodzi życie z szeroko rozwartych oczu czarnego - tak szybko, jak gaśnie płomyk zdmuchniętej świecy. Odrzucone ciosem ciało legło w poprzek korytarza, a potworne sploty zwinęły się wokół niego, zasłaniając połyskującymi zwojami hebanową skórę; do uszu Conana doszedł wyraźny dźwięk miażdżonych i gruchotanych kości. Nagle serce zabiło mu szybciej - miecz i klucze wypadły z dłoni czarnoskórego olbrzyma i odbiły się, dźwięcząc, od kamiennej podłogi; klucze zatrzymały się tuż przy jego stopach. Schylił się, próbując czy ich dosięgnie, ale łańcuch był zbyt krótki; czując, jak dusi go opętańczo walące serce, zsunął sandał z prawej stopy i schwycił klucze palcami; zginając kolano podniósł je i złapał kurczowo, ledwie powstrzymując się od wydania okrzyku radości. Po chwili zmagania się z potężną kłodą był wolny. Porwał leżący na podłodze miecz i rozejrzał się wkoło; otaczała go tylko ciemność, w której zniknął wąż unoszący zmiażdżony, poszarpany ochłap, ledwo przypominający ludzkie ciało. Conan zwrócił się ku otwartym drzwiom; kilka skoków i był na progu, gdy wtem rozległ się w ciemnościach wybuch śmiechu, a krata zatrzasnęła się tuż przed jego wyciągniętą ręką. Zza prętów wyzierała twarz przypominająca maskarona uchwyconego przez rzeźbiarza w koszmarnym grymasie - był to eunuch Shukeli, który podążył za skradzionymi kluczami.

Najwyraźniej upojony szyderstwem, nie dojrzał miecza w dłoni Cymmeryjczyka; z okropnym przekleństwem na ustach Conan uderzył niczym kobra; miecz świsnął pomiędzy prętami, a śmiech kastrata zmienił się nagle w przedśmiertny krzyk. Shukeli zgiął się w pół, jakby oddawał pokłon swemu zabójcy, i padł niczym bela sadła, na próżno starając się pulchnymi dłońmi powstrzymać wypływające trzewia.

Conan obnażył zęby w grymasie dzikiej uciechy; wciąż jednak pozostawał więźniem - miał klucze, ale nie dało się nimi otworzyć kraty: zasuwę otwierało się tylko z zewnątrz. Nawykły do badania stali dotyk mówił mu, że pręty kraty dorównywały twardością klindze miecza; próba wyrąbania sobie drogi musiałaby zakończyć się strzaskaniem oręża. Ku swemu zdumieniu wymacał palcami wgłębienia na grubych sztabach - jakby ślady po ukąszeniach olbrzymich kłów; mimowolny dreszcz wstrząsnął jego ramionami, gdy pomyślał, jakie to nie znane światu potwory poharatały tak okrutnie kratę.

Mógł tedy zrobić tylko jedno - poszukać innego wyjścia. Zabrawszy pochodnię z niszy, ruszył więc korytarzem, miecz dzierżąc w dłoni. Po wężu i jego ofierze pozostał tylko ślad w postaci wielkiej kałuży krwi na kamiennej podłodze.

Ciemność skradała się wkoło niego na bezszelestnych stopach, rozpraszana cokolwiek przez migotliwy płomień pochodni. Po obu stronach korytarza ziały czarne otwory, ale Conan trzymał się środka, bacznie obserwując podłogę przed sobą, by nie wpaść do jakowej studni. Wtem osadził go niespodziewany dźwięk - głos zawodzącej żałośnie kobiety. Kolejna ofiara Tsotha-lanti, pomyślał, przeklinając czarownika, skręcił w wilgotny i niski boczny korytarz, posuwając się w stronę, z której dochodziło biadolenie; w miarę jak się przybliżał, głos przybierał na sile; unosząc wyżej pochodnię, dojrzał jeno niewyraźny kształt w półmroku i kroków jeszcze kilka postąpiwszy, zatrzymał się nagle, by nie wpaść na cielsko o znacznej tuszy rozciągnięte na ziemi. Zmienne zarysy owego stwora przywodziły na myśl ośmiornicę, ale koślawe macki były zbyt krótkie jak na tak duży korpus, a całe cielsko drżało niczym galareta, samym widokiem przyprawiając Conana o mdłości. Z odrażającej, galaretowatej masy wystawała głowa podobna żabiej i Cymmeryjczyk z przerażeniem zauważył, że zawodzenie dobywało się spomiędzy plugawych, sinoczarnych warg. Spojrzenie wielkich, ruchliwych oczu stwora spoczęło na Conanie, a płynący z ohydnej paszczęki dźwięk zmienił się we wstrętny, wysoki chichot, zaś trzęsące się cielsko jęło sunąć niezgrabnie w stronę króla.

Conan zawrócił na pięcie i umknął, nie ufając sile swego miecza. Choć kreatura mogła być uczyniona z ziemskiej materii, już samo spojrzenie na nią dogłębnie wstrząsnęło Cymmeryjczykiem, który zwątpił w możliwość zadania jej rany bronią wykutą przez człowieka. Jeszcze przez czas jakiś słyszał za sobą odgłosy człapania i pełzania, którym towarzyszył straszny chichot; nieomyłne ucho barbarzyńcy rozpoznawało w owym głosie ludzką nutę i prawie zmaćło mu to rozum: słyszał niegdyś, jak dokładnie taki sam śmiech dobywał się z grubych, lubieżnych warg niewiast z Shadizar - Miasta Rozpusty - gdy na targowiskach odzierano do naga wystawione na sprzedaż niewolnice. Jaką to szatańską sztuką powołał Tsotha do życia ową monstualną istotę?

Conan doznał wrażenia, iż widział przed chwilą coś, co samym swym istnieniem stanowiło bluźnierstwo przeciw odwiecznym prawom natury.

Rzucił się pędem ku głównemu korytarzowi, ale nim doń dobiegł, wpadł do małej, kwadratowej

komnaty, w której spotykały się dwa korytarze; wbiegając do niej, zauważył jakiś niewielki, płaski kształt na ziemi, ale nim zdążył zwolnić czy zmienić kierunek, zawadził stopą o coś miękkiego, co przeraźliwie pisknęło... i runął jak długi, a pochodnia wypadła mu z dłoni i uderzając o podłogę, zgasła. Na poły ogłuszony upadkiem, podniósł się jednak i jął badać wyciągniętymi dłońmi ciemność dookoła; padając, stracił orientację w przestrzeni i nie mógł się teraz zdecydować, w którą stronę ma ruszyć, by główny korytarz odnaleźć. Pochodni nie szukał, jako że krzesiwa nie mając, ognia rozniecić nie mógł. Trafił na ścianę; macając ją dłońmi, odnalazł wyloty korytarzy i na chybił-trafił wybrał jeden z nich, w ten się decydując zapuścić. Jak długo podążał w kompletnej ciemności - nie wiedział. Wtem instynkt ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

Stanął jak wryty. Miał wrażenie, że tuż przed nim znajduje się spowity ciemnością brzeg bezdennej przepaści. Opadł na kolana i posuwając się na czworakach, wymacał dłonią krawędź jakowej studni; podłoga korytarza urywała się raptownie, przechodząc w stromą ścianę. Tak głęboko, jak mógł sięgnąć, oślizła i wilgotna ściana opadała pionowo. Wysunął ramię w ciemność przed sobą i stwierdził, że ledwo może dotknąć przeciwległego brzegu studni sztychem miecza; mógł tedy przeskoczyć na drugą stronę, ale próżny by to był wysiłek - zmylił korytarze i nie tym, co powinien, podążał; główny tunel leżał gdzieś w stronie, z której przyszedł. Gdy tak myślał, poczuł lekki powiew - słaby ciąg wznoszący się ze studni poruszał jego czarną grzywą. Włos mu się zjeżył na głowie - a nie od owego wilgotnego tchnienia: sam się omamić próbował, chcąc uwierzyć, że sztolnia ze światem zewnętrznym się łączy, ale wiedział, że być to nie może - wszak nie we wnętrzu wzgórza się znajdował, a głęboko pod nim, głęboko poniżej poziomu ulic miasta; jak tedy mógłby wiatr do lochów wnikać i z dołu się wznosić? Odległy, słabo słyszalny łomot pulsował, owym wiatrem niesiony, niczym łoskot bębnow grzmiących głęboko, głęboko niżej...

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął ciałem króla Aquilonii; powstał i począł się cofać; gdy to czynił, coś wychynęło ze sztolni; co to było - nie wiedział. Nadaremnie próbując przebić wzrokiem ciemności, czuł ledwie uchwytną obecność niewidocznej istoty, polatującej jakby z rozdrażnieniem wkoło niego.

Zawrócił gwałtownie i popędził w stronę, z której nadszedł; dojrzał w oddali maleńką, czerwoną skrę - rzucił się ku niej, i na długo wcześniej, nim spodziewał się do niej dotrzeć, wyrzwał łbem w twardą ścianę - i ujrzał iskrę u swych stóp.

Była to jego pochodnia; płomień zgasł, lecz zwęglony koniec smolnej szczapy żarzył się jeszcze.

Ostrożnie podniósł łuczywo i delikatnie dmuchając na żar, rozniecił ogień; westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi, gdy pełgający płomyk rozproszył mrok.

Był z powrotem w kwadratowej komnacie; bez trudu rozpoznał tunel, którym nadszedł od głównego korytarza, i ruszył nim bez namysłu; wtem płomień pochodni zafalował nagle, jakby dmuchnęły nań niewidzialne usta; znów czuł czyjąś obecność - uniósł pochodnię i rozejrzał się wkoło.

Nie dostrzegł niczego.

Wciąż jednak miał wrażenie, że jakaś niewidzialna, bezcielesna istota polatuje wokół niego,

miotając przekleństwa, których nie mógł słyszeć, ale jakimś podświadomym zmysłem wyczuwał nawet ich plugawą naturę.

Zamachnął się gwałtownie mieczem i zdało mu się, iż klinga brnie w gąszczu pajęczyn. Ogarnęła go trwoga; ruszył pędem, umykając co sił w nogach, a w biegu czuł na plecach coś na kształt dotkliwie palącego tchnienia.

Gdy stanął w głównym korytarzu, opuściło go wrażenie obecności czegoś - widzialnego czy niewidzialnego.

Ruszył szparko naprzód, zezując niepewnie na boki i spodziewając się, że w każdej chwili mogą nań wychynąć z ciemności demony o wilczych kłach i szablitych pazurach.

A w korytarzu nie panowała już cisza - z trzewi ziemi dobiegały dźwięki nie należące do normalnego świata. Były to chichoty, skrzeki, rehotliwe wybuchy szatańskiej uciechy, niosące się długo skowyty, a raz śmiech, bez wątpienia z paszczy hieny się dobywający, nagle przeszedł w ludzką mowę, potokiem bluźnierstw płynącą; kilkakroć dosłyszał Conan ukradkowe człapanie stóp, a w wylotach bocznych tuneli dostrzegał czasem kątem oka monstrualne zarysy ciemniejszych niż mrok kształtów.

Cymmeryjczyk miał wrażenie, iż błądzi po Piekło - Piekło stworzonym przez

Tsotha-lanti. Ale cieniste kształty nie wypuszczały się z bocznych korytarzy, choć wyraźnie słyszał łapczywe cmokanie oślizłych warg i czuł na sobie parzące spojrzenia głodnych ślepi.

Nagle pojął przyczynę takiego zachowania istot czających się w mroku - na szelest, który dobiegł go z tyłu, uskoczył w ciemność najbliższego bocznego tunelu i machnięciem zdusił płomień pochodni; usłyszał, jak wzdłuż korytarza pełźnie olbrzymi wąż, ospały jeszcze po niedawnej uczcie; coś uskoczyło tuż przed jego paszczą i wtopiło się w gęstą ciemność bocznego tunelu.

Najwyraźniej główny korytarz stanowił teren łowów wielkiego węża, a wszelkie stworzenie ustępowało mu pola.

Conana ów gad najmniej jeszcze przerażał ze wszystkich tu zgromadzonych potworów; król nieomalże odczuwał sympatię dla niego, zwłaszcza gdy wspominał chichoczącą i zawodzącą galarete i bezcielesną, miotającą klątwy bestię, która wychynęła z przepastnej sztolni. Wąż był przynajmniej stworzony z ziemskiej materii; przedstawiał sobą pełzającą śmierć, ale zagrażał cielesną jeno zagładą, podczas gdy inne potworności godziły także w umysł i duszę.

Kiedy gad oddalił się, Conan rozniecił pochodnię i ruszył za nim w bezpiecznej odległości. Nie uszedł daleko, gdy postyszał jęk dobywający się z ciemnego wylotu pobliskiego tunelu. Ostrożność powstrzymywała go, lecz ciekawość była silniejsza i podnosząc wysoko pochodnię, z której pozostał już jeno dopalający się ogarek, wkroczył w ciemny otwór. Był przygotowany na każdy widok, ale to, co ujrzał, zaskoczyło go.

Zaglądał do obszernej komory odgradzonej od korytarza gęsto rozmieszczonymi prętami o końcach

pogrążonych w sklepieniu i podłodze. W obrębie tak stworzonej klatki spoczywała postać, która - co stwierdził zbliżywszy się - albo człowiekiem była, albo dokładnym człowieka wyobrażeniem. Postać owa tkwiła w oplocie grubych macek pnąca podobnego winorośli, zdających się przerastać poprzez lity kamień podłogi. Pnącze pokryte było listowiem o dziwacznym kroju i obsypane szkarłatnymi pąkami, szkarłatnymi nie naturalnym, satynowym szkarłatem zwykłych pąków, a przedziwną, ognistą czerwienią. Zawikłane, mocne łodygi spowijały nagie, wychudłe ciało, zdając się pieścić je lubieżnymi pocałunkami; jeden wielki kwiat zawisł wprost nad ustami człowieka; niskie, zwierzęce rżenie dobyło się z rozwartych warg; głowa skręcała się niczym w nieopisanych cierpieniach; szeroko rozwarte oczy patrzyły wprost na Conana, ale brakło w nich błysku właściwego oczom istoty rozumnej - były szklane i puste jak oczy szaleńca.

Wielki szkarłatny kwiat pochylił się i przycisnął swe płatki do rozwartych ust; członki ofiary zadrżały z bólu, a macki rośliny zafalowały, jakby w ekstazie wibrując na całej długości. Fale zmieniających się odcieni przebiegały wzdłuż węzowych splotów; ich barwa stawała się coraz bardziej soczysta, coraz jadowitsza.

Conan nie pojmował, co to wszystko mogło oznaczać, domyślał się jednak, iż jest świadkiem jakiejś okropnej tortury. Cierpienia ofiary, czymkolwiek była, demonem czy człowiekiem, poruszyły wrażliwym sercem Cymmeryjczyka. Poszukał wejścia do klatki i znalazł je - małą furtkę z kraty, zamkniętą na potężną kłódkę; jeden z pęku kluczy pasował do niej.

Gdy tylko wszedł do środka, pąki rozwarły się podobnie jak kaptur kobry, macki zafalowały groźnie, a cała roślina, drżąc silnie, zwróciła się w jego stronę. Był już pewien, iż ma przed sobą rodzaj istoty obdarzonej świadomością; roślina widziała go i odczuł, jak emanuje złością tak silną, że niemal namacalną. Ostrożnie zbliżył się i wypatrzył miejsce, gdzie z litej skały wychodził główny pień pnąca, nadspodziewanie solidny, grubszy niż jego udo pal. Nie zważając na ciskające się ku niemu z sykiem i trzepotem liści macki, zamachnął się mieczem i jednym pewnym cięciem przerąbał pień.

Ofiara pnąca w okamgnieniu została odrzucona na bok gwałtownym skurczem macek; te zwijały się i pętliły, niczym pozbawiony głowy wąż, tworząc wielki, nieregularny kłęb; pnącze drżało i wilo się z głośnym trzepotem liści, a kwiaty konwulsyjnie otwierały się i zamykały; w końcu roślina legła, rozciągnięta i bezwładna, żywe kolory wyblakły i spłowieły, a cuchnący biały płyn jął się sączyć z przerąbanego pnia.

Conan patrzył jak zauroczone; wtem, na szmer za plecami, odwrócił się, miecz unosząc do ciosu - i zastygł, otwierając usta ze zdumienia: człowiek uwolniony od splotów rośliny stał, obserwując go; oczy wyzierające z wymizerowanej twarzy nie były już tępe i pozbawione wyrazu - ciemne i myślące, emanowały inteligencją, a maska głupca zniknęła z oblicza ofiary drapieżnego winogrodu.

Głowa owego człeka była wąska i szlachetnie uformowana, o wspaniałym, wysokim czole i rysach znamionujących głęboką mądrość; w samej sylwetce też było coś arystokratycznego, zarówno w wysokiej, smukłej posturze, jak i drobnych, kształtnych dłoniach i stopach.

Mąż ów ozwał się, a pierwsze jego słowa zdumiały Conana:

- Jaki mamy teraz rok?

- Dziś jest dziesiąty dzień miesiąca Yuluk, roku Gazeli - odparł zaskoczony Cymmeryjczyk.

- Yagkoolan Ishtar! - zakrzyknął nieznajomy. - Dziesięć lat!

Przeciągnął dłonią po czole i wstrząsnął głową, jakby chcąc pozbyć się oplatającej ją pajęczyny.

- Wszystko jest jeszcze nieostre, zaćmione... Ale cóż - po dziesięciu latach jałowej pustki nie można oczekiwać, iż umysł od razu pocznie sprawnie pracować. Kim jesteś, człeczko?

- Jam Conan, rodem z Cimmerii, a teraz król Aquilonii.

W oczach tamtego pojawiło się zdumienie.

- Doprawdy? A cóż się stało z Numedidesem?

- Zadusiłem go na jego własnym tronie, tej nocy, com wziął stolicę.

Naiwna nuta w odpowiedzi króla wywołała uśmiech na twarzy nieznajomego.

- Wybacz mi, Wasza Wysokość. Winienem ci wdzięczność za oddaną mi przysługę. Jestem jak człek nagle zbudzony ze snu głębszego niż śmierć, a wypełnionego marami straszniejszymi niż piekielne, lecz rozumiem, iż uwolniłeś mnie. Powiedz mi - czemuś przeciął pień rośliny Yothga, miast wyrwać ją z korzeniami?

- Bo już dawno nauczyłem się nie tykać rękoma rzeczy, których nie rozumiem - odparł Cymmeryjczyk.

- Dobrze to świadczy o twym rozsądku, człeczko - rzekł nieznajomy. - Gdybyś zdołał wyrwać owo pnącze, mógłbyś znaleźć uczone jego korzeni rzeczy, przeciw którym nawet twój miecz okazałby się bezradny, albowiem korzenie rośliny Yothga pogrążone są w Piekło.

- Ale, ale - kim ty jesteś? - zaciekawił się Conan.

- Zwą mnie Peliasem.

- Co?! - zakrzyknął król. - Ten Pelias-czarnoksiężnik, rywal Tsotha-lanti, co zniknął ze świata dziesięć lat temu?

- Niezupełnie ze świata - odparł Pelias, uśmiechając się kwaśno. - Tsotha wolał pozostawić mnie żywym, w okowach straszniejszych niżli pordzewiałe żelaza. Cisnął mnie tu, wraz z tym szatańskim kwiatem, którego nasiona przypląły przez czarny Kosmos z Przekłętego Yaga i znalazły stosownie dla siebie żyzną glebę dopiero w otchłaniach piekielnych. Gdy ów diabelski winograd wysysał mą duszę w plugawie pieszczotliwym uścisku, nie mogłem pamiętać mej magii i stosowanych zaklęć, stanowiących o mej potędze. Dzień i noc wysysało pnącze zasoby mego umysłu, czyniąc mózg mój równie próżnym, co pęknięty puchar. Dziesięć lat! O Ishtar, zachowaj nas!

Conan nie znalazłszy stosownych słów, stał milcząco, trzymając w jednej dłoni dogasającą pochodnię, drugą zaś wsparł na rękojeści miecza; pewien był, że stoi przed nim człek szalony, ale przecież z dziwnych, ciemnych oczu, które spoczywały na nim, nie wyzierało szaleństwo.

- Powiedz mi - ozwał się mag - zali Tsotha-lanti jest w Khorshemish? Ale nie - nie musisz odpowiadać: moje moce poczynają się budzić i czytani w twym umyśle o wielkiej bitwie, o królu przez zdradę zwabionym w pułapkę; widzę też Tsotha-lanti pędzącego co koń wyskoczy ku rzece Tybor, a przy jego boku jadą Strabonus i król Ophiru. Tym lepiej - moja sztuka jest zbyt słaba jeszcze po tak długim śnie, bym mógł już sprostać Tsotha-lanti; potrzebuję czasu, by zgromadzić siły, by odzyskać całą moc mej magii. Wyjdźmy tedy z tych lochów i ucieszymy nasze serca pucharem szlachetnego trunku...

Conan machnął przecząco pękiem kluczy.

- Krata, co broni przystępu do drzwi wyjściowych, zawarta jest rygłem, który tylko z zewnątrz można otworzyć. Czy jest drugie wyjście z tych przeklętych tuneli?

- Tylko jedno jeszcze, ale żaden z nas wolałby z niego nie korzystać, jako że prowadzi ono w dół, a nie do góry - zaśmiał się Pelias. - Ale nie smućmy się zawczasu; pójdźmy spojrzeć na ową kratę.

To rzekłszy, ruszył mag korytarzem, a kroki stawiał początkowo niepewnie, zastałym członkom niezbyt ufając. Idący za nim Conan odezwał się, a nuta niepokoju brzmiała w jego głosie:

- Po tym tunelu pomyka czasem diablo wielki wąż. Baczmy, byśmy nie wleźli mu prosto w paszczę!

- Znam go od dawna - odparł posepnie Pelias. - A tym lepiej go pamiętam, że zmuszono mnie, bym patrzył, jak pożera kolejno dziesięciu moich uczniów. Zwie się Stary Satha i jest ulubieńcem Tsotha-lanti.

- Czy Tsotha wydrążył te tunele tylko po to, by trzymać w nich owe szkaradne monstra?

- To nie on je wykopał. Kiedy trzy tysiące lat temu założono tu miasto, na wzgórzu i w jego okolicy już były ruiny grodu jeszcze dawniejszego. Założyciel Khorshemish, król Khossus V, wznosił swój pałac na wzgórzu, a kopiąc pod nim piwnice natknął się na przegrodzony ścianą korytarz i włamał się doń, odkrywając lochy takie, jakimi je teraz widzimy. Ale jego wielkiego wezyra spotkał tu los tak okrutny, że król kazał ponownie zamurować wejście. Ogłoszono, że wezyr wpadł do studni - ale piwnice zasypano, a z czasem król opuścił i pałac, wznosząc sobie nową siedzibę pod miastem; stamtąd dnia pewnego umknął w panice, znalazłszy jakiś czarny pył rozsypany na marmurowej posadzce swej komnaty. Przeniósł naonczas cały dwór pod wschodnią granicę królestwa i wznosił nową stolicę. Pałac na wzgórzu nie był używany i popadł w ruinę. Kiedy Akkutho I przywrócił dawną świetność Khorshemish, na miejscu pałacu zbudował fortecę. Przetrwała ona aż do czasów Tsotha-lanti, który przekształcił ją w Szkarłatną Cytadelę i ponownie otworzył wejście do lochów.

- Cokolwiek spotkało wielkiego wezyra Khossusa, Tsotha uniknął podobnego losu. Nie wpadł do żadnej studni - w każdym razie nie przypadkiem: owszem, opuścił się do sztolni, jaką odnalazł, a

kiedy powrócił, był odmieniony na twarzy, a dziwny wyraz już nigdy nie opuścił jego oczu.

- Widziałem ową sztolnię, ale nie mam zamiaru w niej właśnie szukać mądrości; jestem czarownikiem, i to starszym, niż ludzie przypuszczają, ale jestem człowiekiem.

- Co do Tsotha-lanti, to ludzie powiadają, iż nocy pewnej tancerka z Shadizar zasnęła zbyt blisko przedludzkich ruin na Wzgórzu Dagoth i zbudziła się w objęciach czarnego demona; z owego grzesznego związku zrodzić się miała przeklęta hybryda zwana przez ludzi Tsotha-lanti...

Wtem Conan zakrzyknął ostrzegawczo i odskoczył w tył, pociągając za sobą Peliasa; przed nimi wychyło nagle z mroku lśniące bielą cielsko Sathy, a odwieczna nienawiść do wszystkiego co żywe pałała z jego ślepi.

Conan napiął mięśnie, gotując się do jednego, szaleńczego wypadu - zamierzał cisnąć płonące jeszcze łuczywo w szatańską paszczkę i zawierzyć życie jednemu, morderczemu ciosowi miecza.

Ale wąż nie zważał nań: ślepił ponad jego ramieniem na Peliasa, stojącego spokojnie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i z uśmiechem na twarzy.

I z wolna nienawiść wyzierającą z olbrzymich żółtych ślepi zaczęła znikać, a na jej miejsce pojawiła się dzika trwoga - ten jedyny raz w życiu widział Conan taki wyraz oczu węża.

Wielki gad zakotłował się w miejscu i tylko podmuch podobny nagłemu uderzeniu wiatru musnął oblicze Conana, a wąż przepadł w mrokach korytarza.

- Co ten bydlak zobaczył, że aż tak się wypłoszył? - zdziwił się Cymmeryjczyk.

- Istoty pokryte łuską widzą rzeczy, które umykają spojrzeniom ludzi śmiertelnych - odparł tajemniczo Pelias. - Ty widzisz moją cielesną powłokę, on zobaczył mą nagą duszę.

Conan poczuł, jak chłód wędruje mu wzdłuż krzyża i nie był już wcale pewien, czy Pelias rzeczywiście jest człowiekiem, czy też jakowymś demonem rodem z wnętrza ziemi, który tylko przybrał ludzką postać, by ludzi mamić i do zguby przywozić.

Rozwagał możliwość natychmiastowego pogrążenia miecza w plecach idącego przed nim maga, ale nim podjął decyzję, doszli do kraty odcinającej się czarnymi liniami na tle światła płonących na zewnątrz pochodni; martwy Shukeli zastygł wsparty o kraty, a wkoło niego rozlała się szkarłatna kałuża krwi.

- Na alabastrowe biodra Isztar, któż to jest naszym odźwiernym? - zakrzyknął zdumiony Pelias. - Toż to nikt inny, jak sam szlachetny Shukeli, który wieszał za nogi moich wychowanków i ze śmiechem obdzierał ich ze skóry! Czyżbyś zasnął, Shukeli? Czemuż leżysz tak sztywno, z zapadniętym niczym u sprawionej świni kałdunem?

- Nie żyje - mruknął Conan.

- Żywy czy martwy, i tak furtę nam otworzy - zaśmiał się Pelias. Klasnął głośno w ręce i

zakrzyknął:

- Powstań, Shukeli! Powróć z Piekieł, powstań z zakrwawionej ziemi i otwórz kratę twym panom! Powstań, rzekłem!

Okropny jęk poniósł się korytarzem. Włosy stanęły Conanowi dęba i poczuł, jak zimny pot kropli mu się na grzbiecie.

Eunuch zadrżał i poruszył się niezgrabnie, ciągnąc za sobą pulchne dłonie. Bezlitosny śmiech Peliasa, ostry niczym obsydianowy sztylet, wtórował ruchom powstającego ciała eunucha, podciągającego się na prętach kraty.

Conan widząc to, struchlał, a kolana się pod nim ugięły; oczy trupa były szeroko rozwarte, ale puste i niewidzące, a z rozprutego brzucha wylewały się trzewia, sięgając aż do podłogi; jelita płątały się pomiędzy stopami Shukelego, który poruszając się niczym wielka kukła, podszedł do furty i jął się zasuwy.

Kiedy eunuch drgnął po raz pierwszy, Conan pomyślał, że Shukeli jakimś cudem żyje jeszcze, ale teraz nie mógł już wątpić: eunuch był martwy - martwy od wielu godzin.

Pelias wyszedł przez otwartą kratę, a ociekający zimnym potem Conan podążył za nim, uważając, by nie dotknąć odpychającej postaci, słaniającej się na nogach, uczeptionej furty, którą otworzyła.

Mag nie obejrzał się nawet za siebie, a Cymmeryjczyk sztywno kroczył jego śladem, wstrząsany nudnościami; nim uczynił pół tuzina kroków, odwrócił się odruchowo, usłyszawszy głucho tąpnięcie za plecami - zewłok eunucha leżał bezwładnie u stóp kraty.

- Wykonał swe zadanie i Piekło dopomina się o niego - rzucił zdawkowo ukontentowany Pelias, przez grzeczność udając, że nie dostrzega silnego drżenia potężnych ramion Cymmeryjczyka.

Mag poprowadził na górę, po długich schodach i przez drzwi z brązu, wieńczone ludzką czaszką. Conan poprawił miecz w garści, oczekując, iż lada chwila opadnie ich mrowie niewolników, ale nie musiał używać oręża.

W cytadeli panowała cisza.

Minęli czarny korytarz i weszli do drugiego, zasnutego wonnym dymem nieprzerwanie dobywającym się ze złotych kadzielnic; ciągle jeszcze nie natknęli się na nikogo.

- Niewolnicy i strażę kwaterują w innym skrzydle cytadeli - rzucił Pelias obojętnie. - Dzisiejszego wieczoru, gdy ich pan jest daleko, niechybnie leżą spojeni winem albo sokiem lotosu.

Conan wyjrzał przez wielkie ostrołukowe okno o szybach oprawnych w srebro i aż zaklął ze zdumienia: widział ciemnogramatowe, ugwieżdżone niebo. Wtrącono go do lochu wkrótce po wschodzie słońca - teraz było dobrze po północy; nie mogło mu się pomieścić w głowie, iż był pod ziemią aż tak długo; teraz dopiero poczuł pragnienie i głód szarpiący trzewia.

Pelias poprowadził go do komnaty o złotym sklepieniu i podłodze wyłożonej srebrem; ściany z lapislazuli kontrastowały z czarnym granitem misternie rzeźbionych portali.

Z westchnieniem ulgi Pelias rozciągnął się na krytym kosztowną tkaniną łożu.

- Nareszcie - znowu złoto i jedwabie! - powiedział. - Tsotha udaje, iż jest ponad ziemskie rozkosze, ale jest on półszatanem; ja jestem człowiekiem, pomimo mej czarnoksięskiej sztuki; kocham wygodę i dobrą zabawę - i przez to właśnie pojmał mnie Tsotha: wziął mnie, gdy leżałem bezradny - za sprawą wina. Wino to przekleństwo - na alabastrowe piersi Isztar, nawet gdy teraz o nim mówię, ów zdradliwy trunek tu jest! Proszę cię, przyjacielu, napełnij mi puchar... ach, nie! Zapomniałem, że jesteś monarchą - ja ci służę.

- Do diabła z tym - mruknął Conan, napełnił kryształowy puchar i podał go Peliasowi; sam przechylił gąsior i pociągnął długi łyk wprost z szyjki pękatego naczynia i, podobnie jak Pelias, westchnął z lubością.

- Ten pies zna się na winie - powiedział, wierzchem dłoni ocierając usta. - Ale, na Croma, Peliasie, czy mamy tu siedzieć i czekać, aż zbudzą się jego knechci i poderzną nam gardła?

- Nie lękaj się, przyjacielu - odparł spokojnie Pelias. - Czy chciałbyś zobaczyć, jak fortuna dopisuje Strabonusowi?

Błękitne skry trysnęły z oczu Conana i ścisnął rękojeść miecza tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

- Och, gdybym go miał na długość miecza! - warknął dziko.

Pelias podniósł z hebanowego stołu dużą, lśniącą kryształową kulę i rzekł:

- To kryształ Tsotha-lanti; dziecinna zabawka, ale pożyteczna, gdy nie dość jest czasu na poważniejsze czary. Spójrz, Wasza Wysokość. - Tu mag położył kulę na stole, przed oczyma Conana.

Król wejrzał w zamglone wnętrze kryształu, a ono zdawało się rozszerzać i pogłębiać; mgły stopniowo rzedły, a spośród nich jęły się wyłaniać ostro skreślone obrazy; Conan poznawał już teraz znajomy krajobraz: rozległa równina opadająca ku szerokiej, krętej rzece, poza którą płaski teren przechodził nagle w labirynt niskich wzgórz; na północnym brzegu rzeki wznosiło się otoczone murami miasto, okolone fosą, ta zaś oboma końcami łączyła się z rzeką.

- Na Croma! Toż to Shamar! Te psy oblegają je!

Najeźdźcy przekroczyli rzekę; ich namioty stały na wąskim skrawku płaskiego terenu pomiędzy wzgórzami a miastem; wojownicy tłoczyli się pod murami, a ich zbroje połyskiwały blade w świetle księżyca; z murów i wież padał na nich deszcz strzał i kamieni; zachwiali się i cofnęli, lecz po chwili przypuścili następny atak.

Conan już otwierał usta, by ponownie zakląć, gdy wtem obraz w kryształowej kuli zmienił się.

Z mgieł wychynęły strzeliste dachy pałaców i lśniące kopuły świątyń - król patrzył teraz na swą stolicę - Tarantię - a panowało w niej ogromne zamieszanie.

Widział zakutych w stal rycerzy z Poitain - swych najwierniejszych wojowników, którym powierzył pieczę nad miastem - wyjeżdżających przez bramę wśród gwizdów i wyzwisk tłumów wyległych na ulice.

Widział zbiegowiska i rabunki, widział zbrojnych, na których puklerzach rozpoznał pellijskie insygnia, obsadzających wieże i panoszących się na ulicach i placach.

A ponad tym wszystkim ujrzał ciemną, wykrzywioną triumfalnym grymasem twarz księcia Arpella Pellijskiego...

... i obraz w kuli pociemniał, zafalował i znikł.

- Więc to tak! - zaklął Conan. - Mój lud zwrócił się przeciwko mnie, gdy jeno na chwilę plecami się odwrócił!

- Niezupełnie - przerwał mu Pelias. - Twym poddanym powiedziano, że nie żyjesz; myślą, iż nie ma nikogo, kto mógłby obronić ich przed wrogiem zewnętrznym lub wojną domową. Jest to więc naturalne, że poddali się władzy najsilniejszego wielmoży, by uniknąć okropieństw walki o władzę; pamiętając dawne wojny, nie ufają Poitańczykom, a pod ręką znalazł się Arpello - najpotężniejszy książę centralnych prowincji.

- Gdy powrócę do Aquilonii, pozostanie z niego bezgłowy zewłok, gnijący na pałacowym śmietniku wedle Baszty Zdrajców - rzucił z wściekłością Conan, zgrzytając zębami.

- Lecz nim zdążysz dotrzeć do stolicy, Strabonus będzie tam przed tobą - przypomniał mu Pelias - a co najmniej jego jazda spustoszy twoje królestwo.

- To prawda! - Conan przemierzał komnatę długimi krokami, w tę i z powrotem, jak tygrys zamknięty w klatce.

- Nawet na najlepszym koniu nie zdołam dojechać do Shamar przed południem, a i wtedy najlepsze, co zdołam zrobić, to polec wraz z ludem, gdy miasto padnie - a padnie najdalej za kilka dni. Od Shamar jest do Tarantii pięć dni rozstawnymi końmi, nawet jeśli zajeździć rumaki na śmierć; nim dotrę do stolicy i wystawię armię, Strabonus już zakołacze do bram - a zebrać armię będzie piekielnie trudno: głowę daję, że na wieść o mej śmierci wszyscy przekłęci nobile czmychną do swych dóbr; gdy lud wygnał Trocero Poitańczyka, nie masz w stolicy nikogo, kto by wzbronił Arpellowi zawładnąć koroną - i koronnym skarbem.

- W zamian za marionetkowy tron Arpello stanie się lennikiem Strabonusa, ale gdy ten się odwróci plecami, Pellijszyk wzniesi rewoltę; baronowie go nie poprą, i da to tylko pretekst Strabonusowi, by jawnie zagarnąć moje królestwo.

- Na Croma, Ymira i Seta! Gdybym miał skrzydła, by polecieć do Tarantii!

Siedzący przy stole Pelias wystukiwał paznokciami marsza na jaspisowym blacie i zdawał się nie słyszeć wywodów Conana, pograżywszy się we własnych myślach. Ale wtem jaspisowy werbel zamilkł, a czarownik poderwał się, jakby wiedziony jakiś nagłym impulsem; gestem nakazał Conanowi iść za sobą i wyszli z komnaty; Pelias poprowadził na marmurowe schody i jęli się wspinać, by znaleźć się po chwili na blankach najwyższej w całej cytadeli wieży.

Była noc; wiał silny wiatr, targający czarną grzywą Conana. W dole, w oddali, migotały światła Khorshemish, na pozór dalsze niż skrzące się ponad ich głowami gwiazdy.

Pelias, jakby nieobecny duchem, sprawiał wrażenie nawiedzonego; ozwał się w końcu, a głos dziwny miał i zmieniony:

- Są istoty żyjące nie tylko na ziemi czy w wodzie, ale też w powietrzu, a nawet w niebiesiach, rzadkie i rozproszone na niezmiernych przestrzeniach, ludziom nie znane...

- Ale dla kogoś, kto zna Znaki, Słowa i Wiedzę, leżące u podstaw wszystkiego, nie są one ani groźne, ani niedostępne...

- Patrzaj, a nie lękaj się!

Mag wyciągnął ramiona ku niebu i wydał przedziwny, długi okrzyk, zdający się rozchodzić nieskończenie w przestrzeni, wibrując i słabnąc, ale nie zanikając; głos ów odpływał coraz to dalej i dalej, sięgając aż po wymiary nie znane śmiertelnym.

W ciszy, która zapadła, dosłyszał Conan nagłe bicie skrzydeł od strony gwiazd jakby dochodzące i aż się cofnął, gdy z mroku wychynął czarny, nietoperzowi podobny stwór i przysiadł na blankach tuż przy jego ramieniu.

Ochłonawszy, począł się Cymmeryjczyk istocie owej bacznie przyglądać. I widział wielkie, łagodne oczy, przypatrujące mu się w świetle gwiazd, widział skrzydła potężne, najmniej stóp czterdzieści rozpiętości mierzące; a spostrzegł jeszcze, że nie był to ani ptak, ani nietoperz.

Ciszę przerwał Pelias:

- Dosiądź go i leć - przed świtem będziesz w Tarantii!

- Na Croma! Czyż wszystko to było jeno marą nocną? Zali przebudzę się po koszmarnym śnie w moim pałacu w Tarantii? A cóż z tobą - wszak nie pozostawię cię pośród nieprzyjaciół.

- Nie troskaj się o mnie - odparł Pelias. - O świcie lud Khorshemish dowie się, iż ma nowego pana. Przyjmij z pokorą to, co ci ześlą bogowie; spotkam cię niezadługo na równinie pod Shamar. Leć!

Ostrożnie dosiadł Conan zrogowaciałego grzbietu i uchwycił się wygiętego karku latającej istoty, wciąż przekonany, iż śni po prostu, tak niewiarygodnym wszystko to mu się zdawało.

Z gwałtownym łopotem tytanicznych skrzydeł czarna bestia wzbiła się w powietrze; król spojrział

w dół i poczuł, że w głowie mu się kołuje - hen, niżej, migotały maleńkie iskierki - światła królewskiego miasta Khorshemish; oddalały się coraz bardziej, aż znikły zupełnie, i tylko ugwieżdżone niebo nad głową przypominało Conanowi, iż szybciej niż najsmiglejszy rumak mknie na południe - ku Tarantii.

4.

Miecz, który zabija króla, przecina więzi

dzierżące imperium

(przysłowie aquilońskie)

Ulice Tarantii wypełniały falujące tłumy. Ludzie o wykrzywionych wściekłością twarzach potrzęsali buńczucznie pordzewiałymi pikami i berdyszami, las zaciśniętych pięści wznosił się ponad głowami szalejącego motłochu.

Brakło jeszcze godziny do świtu, na drugi dzień po bitwie pod Shamar, a wydarzenia rozgrywały się tak szybko, że niejednego mogło to przyprawić o zawrót głowy.

Sposobem znanym jeno Tsotha-lanti wieść o porażce i śmierci Conana dotarła do Tarantii już w kilka godzin po bitwie i zaowocowała chaosem. Baronowie w popłochu opuścili stolicę, pędząc co koń wyskoczy do swych włości, by strzec dóbr przed zakusami chciwych sąsiadów. Dobrze zorganizowane przez Conana królestwo zdawało się balansować na krawędzi rozpadu, a bankierzy i kupcy drżeli na samą myśl o powrocie feudalnych porządków. Lud domagał się obrania króla, który mógłby zarówno bronić państwa przed wrogami zewnętrznymi, jak i okiełznać rodzimą arystokrację. Hrabia Trocero, pozostawiony przez króla namiestnikiem na stolicy, próbował ciżbę uspokoić, ale opanowani bezrozumną paniką mieszczanie pamiętali, jak przed piętnastu laty podczas wojny domowej ten sam Trocero zdobył Tarantię i krwawo rozprawił się z jej obrońcami. Na ulicach słyhać było okrzyki głoszące, że hrabia zdradził króla i że miasto splądrować zamierował. Korzystając z zamieszania, oddziały wojsk zaciężnych poczęły rabować i gwałcić, wyciągając z domów zawodzące mieszczki i przerażonych kupców.

Trocero uderzył na rozpasanych żołdaków, zasłał ulice ich ciałami, zmusił pozostałych przy życiu do powrotu do koszar i aresztował dowódców. Ale niczego to nie zmieniło - nadal słyhać było niezadowolone głosy; ludzie pędzili nie wiadomo dokąd i po co, szerzyły się plotki; powiadano, że to dla własnych celów Trocero wzniecił rabunki, by je potem stłumić.

Książę Arpello pojawił się na zebraniu rady królewskiej i oświadczył, że skoro Conan nie miał syna - dziedzica tronu - gotów jest wziąć na swe barki ciężar sprawowania władzy, dopóki nie zapadnie decyzja co do osoby nowego króla.

Podczas gdy rada debatowała, przepłaceni przez Arpella szubrawcy snuli się w tłumie, przypominając mieszkańcom, iż w żyłach Arpella płynie domieszka królewskiej krwi. Nawet przez grube szyby w oknach sali obrad dotarły do uszu członków Rady okrzyki tłumy zgromadzonego pod pałacem, wiwatującego na cześć Arpella, zawczasu już zwanego Ocalicielem.

Rada skapitulowała.

Trocero zrazu odmówił zrzeczenia się władzy nad miastem, ale tłum falował, gwizdząc, wyjąc,

ciskając kamienie i łajna na jego rycerzy. Widząc bezcelowość wdawania się w uliczne walki z zastępami przywiedzionymi przez Arpella z jego dóbr, cisnął Trocero buławą w pysk samozwańczego władcy i jął się gotować do opuszczenia stolicy, swym ostatnim urzędowym aktem czyniąc obwieszenie dowódców wojsk zaciężnych, po czym wyjechał przez południową bramę na czele piętnastu setek swego zakutego w stal rycerstwa.

Gdy tylko wrota zatrzasnęły się za nim, fałszywa dobroćliwość znikła z twarzy Arpella, odsłaniając oblicze wygłodzonego wilka. Jako że rozbici i pozbawieni dowódców najemnicy skrywali się w koszarach, oddziały Arpella stanowiły jedyną zbrojną siłę w mieście.

Dosiadając wielkiego, białego ogiera stanął Arpello pośrodku placu przed pałacem i proklamował się prawowitym władcą Aquilonii pośród wiwatów otumanionego pospólstwa. Kanclerz Publius sprzeciwił się takiemu bezprawiu - i został wtrącony do lochu. Kupcy, którzy zrazu z ulgą powitali pojawienie się nowego władcy, teraz struchleli, dowiadując się, iż pierwszym posunięciem samozwańczego króla było nałożenie morderczego podatku na nich właśnie. Sześciu bogatych kupców wysłano, by błagali o litość - ich głowy spadły bez sądu i dłuższych ceregieli. Po owej kaźni przerażenie zapanowało w domach zamożnych mieszczan.

Kupcy, jak to jest w ich zwyczaju, nie mogąc nic wskórać złotem, padli na tłuste brzuchy, liżąc buty swego ciemńyciela. Prości ludzie nie troskali się zbytnio ich losem, ale poczynali szemrać, połapawszy się, iż rozpasane pellijskie żołdactwo nie lepsze jest od turańskich zbójców, i pod pozorem zaprowadzania porządku rabuje i gwałci, przechodząc w okrucieństwie nawet najemników. Skargi o zabójstwa i grabieże jeły napływać do Arpella, który uczynił swą siedzibą pałac kanclerza, jako że w królewskim zamku zamknęli się wraz ze swymi pocztami zdesperowani członkowie Rady Królewskiej, skazani zaocznie na śmierć, i trzymali się dzielnie przeciw wojskom Arpella. Nie zdobywszy głównego pałacu, zawładnął jednak Pellińczyk letnią rezydencją Conana, zamieszkiwaną przez żony i nałożnice Cymmeryczyka.

Mieszczanie szemrali na widok wijących się w uściskach zakutych w stal żołdaków Arpella królewskich piękności. A były to ciemnookie panny z Poitain, szczupłe, czarnowłose dziewczki z Zamory, Zingary i Hyrkanii, brythuńskie dziewczęta o lnianych włosach - wszystkie jednako szlochające ze wstydu i poniżenia, nienawykłe do brutalnego traktowania.

Noc skryła owo miasto pełne zamętu i trwogi, a przed północą jakimś cudem rozprzestrzeniła się po ulicach plotka, że Kothyjczycy nie poprzestali na rozgromieniu armii i kołaczą już do bram warownego Shamar. W ludzi jakby grom strzelił; nie zastanawiając się nawet, jakim cudem wieści tak szybko dotarły do miasta, tłum napał na drzwi pałacu domagając się, iżby król na koniu siadał i na czele swych wojsk na południe ruszał, by napaść odeprzeć i wroga za Tybor odrzucić. Król zaś, władzą pijany, miast ludowi wyłożyć, iż sił ma nie dość, by armię wystawić, tłumowi w twarz się roześmiał.

Na placu targowym młody student Athemides wspiął się na kolumnę i płomiennymi słowy oskarżył Arpella o znowę ze Strabonusem; przemawiając dalej, młodzieniec żywo odmalował bytowanie pod zadami Kothyjczyków z Arpellem w roli satrapy; zanim skończył, gawiedź już wyła z przerażenia i kipiała wściekłością. Samozwańczy władca pchnął oddział zbrojnych, by studenta ujęli, ale tłum porwał i uniósł młodzieńca, częstując ścigających go żołdaków deszczem kamieni i zgniłymi jajami.

Kompania kuszników otoczyła plac, a szarża jazdy zdziesiątkowała motłoch, ale Athemides umknął; cichcem wymknął się z miasta i udał się do hrabiego Trocero, a zamierzał go błagać, by Tarantię odbił i maszerował z odsieczą na Shamar.

Student zastał hrabiego przy zwijaniu obozu rozbitego pod murami miasta i dowiedział się, że Trocero zamierza ciągnąć do Poitain, w dalekim, zachodnim krańcu królestwa. Na ogniste błagania młodzieńca hrabia odparł, że nie dość ma sił, by Strabonusowi czoła stawić, a i Tarantii odbić nie zdoła - nawet gdyby mógł liczyć na pomoc ciżby wewnątrz miasta. Poza tym, prawił Trocero, jego chciwi sąsiedzi gotują się, by pod jego nieobecność Poitain splądrować; gdy król nie żyje, każdy musi zadbać o własne sprawy - rusza tedy do swych włości, by tam dać odpór Arpellowi i jego sprzymierzeńcom najlepiej jak potrafi.

Gdy Athemides próbował przebłagać hrabiego, tłum ciągle szalał po mieście z bezradną furją. U stóp wysokiej wieży, wznoszącej się pod bokiem królewskiego pałacu, motłoch wrzał i falował ciskając przekleństwa na głowę Arpella; ten zaś, stojąc na wieży, natrząsał się z bezradności kłębiącej się w dole ciżby, podczas gdy jego łucznicy obsadzili okna i jakby od niechcienia mierzyli w kotłujący się tłum, a palce kuszników igrały niecierpliwie na spustach napiętych kusz.

Książę Pellii był masywnie zbudowanym człkiem, wzrostu średniego, o twarzy ciemnej i srogiej. Biegły jako intrygant, nie stronił i od miecza; spod jedwabnego kaftana o bufiastych rękawach, szamerowanego złotem, połyskiwała wypolerowana stal pancerza. Zlane wonnościami długie, czarne, trefione loki miał upięte z tyłu głowy w misternie tkanej srebrnej siateczce, ale u jego boku zwiślał szeroki miecz o zdobnej w klejnoty rękojeści steranej w licznych bitewnych potrzebach.

Stojąc tak na szeroko rozstawionych nogach, ujawszy się butnie pod boki, nachylił twarz ku kłębiącej się u stóp wieży czerni i zakrzyknął:

- Głupcy! Wycie sobie, skoro taka wasza wola! Conan jest martwy, a królem jest teraz Arpello!

Bo i cóż, jeśli nawet cała Aquilonia sprzymierzy się przeciw niemu? Dość ma żołdaków, by utrzymać potężnie obwarowane miasto, póki nie nadciągnie Strabonus z odsieczą. Poza tym, wewnętrzne sprzeczności podzieliły Aquilonię - baronowie czyhali na siebie wzajemnie, a każdy tylko czekał sposobności, by zawładnąć skarbami sąsiada. Tylko z bezbronną czernią musiał się rozprawić samozwańczy władca - i czekać, aż Strabonus przebiję się przez luźne szyki zwaśnionych baronów niczym żelazny taran wojennej galery, rozcinający pianę na fali. Musiał tedy tylko utrzymać stolicę.

- Głupcy! Królem jest Arpello!

Słońce wstawało spoza wschodnich wież miasta. Na tle zaróżowionego brzaskiem nieba pojawił się czarny punkcik, szybko zwiększający rozmiary - już miał wielkość nietoperza, już orła...

I wszyscy zawrzaśli ze zdumienia, gdyż nad murami Tarantii śmignął stwór znany ludziom jedynie z na poły zapomnianych legend, a kiedy zawisł nad wielką wieżą, z jego grzbietu opuściła się ludzka postać, zaś latająca istota wzniosła się z piorunowym łopotem skrzydeł i po chwili znikła w zenicie, a zadziwieni ludzie mrugali tylko powiekami, myśląc, iż śnią na jawie.

Ale nie był to sen - oto na blankach wieży stała potężna, półnaga, okrwawiona postać, ważąc w dłoni olbrzymi, szeroki miecz.

I z gardzieli zgromadzonych przed pałacem tłumów wzbił się ku niebu ryk o mocy gromu, wstrząsający posadami murów miejskich:

- To król! To król!!!

Arpello skamieniał. Ale po chwili zawrzasnął okropnie i dobywając miecza rzucił się na Conana. Ten odparował podstępny sztych wąskiej klingi i cisnąwszy precz swój oręż, pochwycił Arpella za kark i krocze, i podniósł nad głową wijące się ciało.

- Zabierz swe spiski ze sobą - do Piekła! - ryknął i cisnął księciem Pellii niczym worem soli w otchłań, rozwierającą się na sto pięćdziesiąt stóp pod blankami wieży.

Tłum cofnął się, widząc opadające ciało, owo zaś strzaskało się u stóp baszty, śląc wkoło bryzgi krwi i mózgu, i spoczęło w rozłupanym pancerzu niczym rozdeptany żuk.

Łucznicy na wieży cofnęli się od okien i ogarnięci paniką jęli uciekać, licząc na to, iż zgubiwszy się w pałacowych ogrodach, ujdą pomsty tłumy. Zapomnieli jednak o członkach Rady Królewskiej, którzy wraz ze swymi pocztami zamknęli się w pałacu i teraz wypadli, tnąc z pasją i siekąc pierzchających żołdaków.

Pellijscy rycerze poszli w rozsypkę, szukając ratunku na ulicach miasta, ale tłum ogarnął ich i rozdarł na strzępy. W mieście wrzało; tu i ówdzie widać było jeszcze spiczasty szyszak wystający ponad zmierzwionymi czuprynami, miecz wirujący szaleńczo pośród gęstniejącego lasu włóczni i rohatyn, a ponad wszystkim unosił się ryk tłumy, błagania o litość i żądne krwi wycie setek i tysięcy gardzieli, zagłuszające przedśmiertne jęki powalonych.

A wysoko ponad ową kipiela stała na blankach wieży półnaga postać z założonymi ramionami, wstrząsana wybuchami tubalnego śmiechu - śmiechu, którego szydercze ostrze godziło na równi w czerń, książąt i władców.

5.

Weź długi, lęgi, dobry łuk i niechaj niebo

ściemnieje!

Cięciwę przęż, do ucha bełt - król Koth

będzie teraz twym celem!

(z pieśni bossońskich łuczników)

Zmierzające ku zachodowi słońce ścieliło błyski na wodach Tyboru, obmywającego południowe bastiony Shamar. Wymizerowani obrońcy miasta wiedzieli, iż tylko niewielu z nich ujrzy świt dnia następnego - sycili tedy swe oczy widokiem słońca po raz ostatni w życiu.

Namioty oblegających niczym śnieg rozbieliły równinę za rzeką. Będąc w mniejszości, obrońcy Shamar nie mogli wzbronić najeźdźcom przeprawy przez wody Tyboru. Złączone ze sobą barki utworzyły most, po którym hordy napastników wlewały się na brzeg po stronie miasta.

Strabonus nie odważyłby się wejść głębiej w granice Aquilonii, mając za plecami niezdobyte, warowne Shamar, puścił tedy dalej jeno zagony lekkiej jazdy, by kraj pustoszyły, wzniecając panikę, sam zaś począł wznosić na równinie maszyny oblężnicze.

Flotylla łodzi dostarczonych przez Amalrusa kotwiczyła w nurcie rzeki, naprzeciw murów miejskich; niektóre z nich poszły na dno, trafione i obrócone w drzazgi głazami, miotanymi przez balisty miejskie, większość jednak trwała na kotwicach, a z dziobów i koszów na masztach, spod osłony słomianych mat, łucznicy szachowali wysunięte ku rzece baszty. A byli owymi łucznikami Shemici, przychodzący na świat z łukami w rękach; w wymianie strzał żadna nacja mierzyć się z nimi nie mogła - także i aquilońska.

Podciągnięte ku miastu od strony lądu balisty miotały ponad murami głazy i nabite ćwiekami bale, lekko przez dachy przechodzące, a szerzące popłoch wśród mieszczan, jako że miażdżyły ludzi niczym bezbronne robactwo.

Tarany nieprzerwanie waliły w kamienne mury, kopacze wgryzieni w ziemię niczym krety ryli miny pod bastionami. Fosa przegrodzona tamą z jednego końca, wypełniła się głazami, ziemią i martwymi ciałami ludzi i koni. U stóp murów kłębiły się szturmujące tłumy odzianych w zbroje i kolczugi wojowników; nie bacząc na ciskane przez obrońców głazy i potoki smoły lanej z olbrzymich kadzi, pod osłoną puklerzy rąbali bramy, ciągnęli drabiny, pchali ku basztom wieże uginające się pod ciężarem włóczników.

W mieście tracono już nadzieję, choć piętnaście setek obrońców dawało wciąż odpór czterdziestu tysiącom oblegających. Z głębi państwa do wysuniętej twierdzy, jaką było Shamar, nie docierały żadne wieści. O jednym wszelako wiedziano - o śmierci Conana, a to stąd, że oblegający

niestrudzeni wykrzykiwali ową nowinę, ku pogębieniu obrońców grodu.

Mocne mury jeno i desperacka odwaga mieszczan sprawiały, iż miasto jeszcze nie padło. Ale ni mury, ni odwaga nie mogły na długo wystarczyć - losy twierdzy były przesądzone.

Mur zachodni legł w kupę gruzu obrócony i na owych zwaliskach wrzała mordercza walka wręcz; w innych miejscach pojawiły się głębokie rysy od podkopów, a grożące zawaleniem baszty pochylały się jak pijane.

Napastnicy gotowali się do szturm.

Zabrzmiały rogi, wyrównały się zakute w stal szeregi; obleźnicze wieże, obite świeżo odartymi byczymi skórąmi, jęły się toczyć ze złowróżbnym hurgotem ku mur.

Pośrodku nacierających sił obrońcy Shamar ujrzeli powiewające obok siebie dwie królewskie chorągwie - Ophiru i Koth; przy nich, w otoczeniu lśniących stała rycerzy, dało się wyróżnić osoby obu królów - szczupłego, odzianego w złotą zbroję Amalrusa i krępego Strabonusa w czarnym pancerzu; pomiędzy nimi widać było postać wprawiającą w drżenie serca najmężniejszych - podobną sępowi chudą sylwetkę w zwiewnej, białej szacie.

Włócznicy ruszyli, płynąc ponad ziemią niczym lśniaca rzeka roztopionej stali; za nimi ciągnęli stępa rycerze, pochylając niżej opatrzone proporcami kopie.

Wojownicy zgromadzeni na murach nabrali głębiej tchu w piersi i polecając swe dusze Mitrze, ścisnęli mocniej rękojeści okrwawionych i wyszczerbionych mieczy.

Wtem niespodziany dźwięk rogu wzbił się ponad narastający gwar, a hurgot podków zagłuszył pobrząk oręża rozwijających się do szturm zastępów.

Równinę, po której posuwała się obleźnicza armia, ograniczało od północy pasmo niskich wzgórz, wznoszących się ku zachodowi niczym stopnie gigantycznych schodów; teraz oto z ich stoków spadał na łeb na szyję, jak piana pędzona sztormową falą, oddział lekkiej jazdy, wysłanej w głąb kraju przez Strabonusa dla pustoszenia prowincji i niecenia zamętu; nisko pochyleni jeźdźcy mieczami płazowali końskie zady i nie żałowali ostróg, a za ich plecami słońce zalśniło na prącym naprzód stalowym szeregu; gdy już i końskie sylwetki wychynęły zza wzgórz, jasne się stało, iż to pancerna jazda nadciąga. Nad głowami ciężkozbrojnych rycerzy łopotał wielki koronny sztandar Aquilonii.

Uniesienie opanowało zgromadzonych na murach i wieżach obrońców miasta i krzyk wielki wzleciał ku niebiosom. Zdjęci radością wojownicy jęli bić poszczerbionymi mieczami o sadzone ćwiekami pawęże, a mieszczanie, zarówno odziani w łachmany nędzarze, jak i bogaci kupcy, ladacznice w kusych czerwonych spódniczkach ze szlachetnymi damami odzianymi w jedwabie pospołu - słowem wszyscy jak jeden padli na kolana, wyciągając ku niebiosom ramiona i szepcząc słowa podziękki przeznaczonej Mitrze, a łzy szczęścia płynęły po ich twarzach.

Strabonus i jego namiestnik Arbanus ciskali chaotyczne rozkazy, czyniąc wysiłki, by zatrzymać rozpędzone ku murom zastępy i zawrócić je dla odparcia niespodziewanej napaści. Ciemnicy

monarcha, chcąc dodać ducha tak sobie, jak i swym oficerom, zakrzyknął:

- Górujemy nad nimi liczbą, chyba że mają ukryte pośród wzgórz odwody; knechtów na wieżach dość jest, by dać odpór mieszczanom, jeśli się na wycieczkę poważają! Już ich poznaję - to Poitainczycy! Winniśmy się spodziewać, że Trocero zechce w swym szaleństwie wdać się w podobnie beznadziejny bój, choćby gwoli nasycenia swej rycerskiej pychy!

Amalrus wydał okrzyk zdumienia:

- Widzę Trocero, a i jego kapitana, Prospero - ale kto galopuje pomiędzy nimi?!!!

- Isztar, zachowaj nas! - zapał Strabonus, blednąc. - To król Conan!

- Oszalałeś chyba! - syknął Tsotha, i aż go w siodle podniosło. - Od wielu dni Conan siedzi w brzuchu Sathy!

Nagle zamilkł jednak, dziko wytrzeszczając oczy na zastępy Aquilończyków spływające ze wzgórz fala za falą. Wzrok go nie mylił - nie mógł nie rozpoznać potężnej postaci odzianej w czarną, zdobioną złotem zbroję, galopującej na olbrzymim, karym rumaku pod łopocącym na wietrze wielkim sztandarem Aquilonii.

Wrzask jadowitej wściekłości buchnął z ust Tsotha-lanti, a strzępy piany jęły padać mu na brodę; Strabonus, po raz pierwszy w życiu widząc czarownika tak rozjuszonego, sam zalękniony, oddalił się chyłkiem.

- To muszą być czary! - zakrzyknął Tsotha, szarpiąc z wściekłości swą własną brodę. - Nie jest to możliwe, by zbiegłszy z lochów, dotarł do swego królestwa tak szybko, by jeszcze nadażyć tu z armią! Czuję w tym rękę Peliasa, oby był przeklęty! To jego sprawka! Niechaj i moja głupota przeklętą będzie za to, że go, mając w swej mocy, nie zgładził!

Obaj słyszący te słowa władcy struchleli, gdy mag wypowiedział imię czarownika, który od lat dziesięciu uchodził za martwego; popłoch władców udzielił się ich zastępom - wszyscy już rozpoznali jeźdźca na czarnym rumaku. Wściekłość wykrzywiła oblicze

Tsotha-lanti na kształt szatańskiej maski, gdy ujrzał, jak wojska sprzymierzonych królów zachwiały się łamiąc szyki; odgadując, iż zabobonny lęk opanowuje żołdaków, zakrzyknął z furją:

- Do szeregu! Ciągłeśmy od nich silniejsi! Dziś wieczór będziemy fetować zwycięstwo na ruinach Shamar!

Kapłan wyciągnął ramiona ku niebiosom i głosem mrozącym krew w żyłach zawołał:

- O Secie! Ześlij nam zwycięstwo, a przysięgam, iż rzucę na twe ołtarze pięciokroć po sto shamaryjskich dziewic, spławionych we krwi!

Nadciągające zastępy spłynęły już ze wzgórz na równinę. Za rycerstwem podążała jakby druga armia - mrowie jeźdźców na krępych, szybkich konikach - ci spieszyli się na równinie i sformowali

szyki: oddzielnie przysadziści bossońscy łucznicy, przy ich boku zapalczywi gunderscy pikinierzy o jasnych lokach, spływających na ramiona spod żelaznych czepców.

Armia, którą Conan sformował w ciągu kilku szalonych godzin po powrocie do Tarantii, istną była zbieraniną. Rozpoczął król od tego, że odgonił spieniony i żądny krwi motłoch od pellijskich oddziałów, co strzegły murów miasta, i wcielił wdzięcznych mu za ocalenie życia żołdaków do swej powstającej dopiero piechoty. Za Trocero pchnął gońca na śmigłym rumaku z rozkazem, by z drogi do swych włości zawrócił i co koń wyskoczy do stolicy śpieszył.

Mając tyle za trzon swej armii, ruszył Conan na południe, przeczesując wsi i miasta w poszukiwaniu rekruta i koni; nobile z Tarantii i okolic oddali swe poczty pod jego rozkazy, on zaś ogołocił z mężów zdolnych do dźwignięcia oręża każdą wieś i gród każdy, jakie po drodze napotkał.

Zbieranina to była, nie prawdziwa armia, za to o sile stali hartowanej i duchem prężnym nawiedzona. Dziewiętnaście setek ciężkozbrojnej konnicy miał Conan pod swymi rozkazami, a większość z niej stanowili poitańscy rycerze: za piechotę miał poczty wielmożów i resztki zaciężnych, w stolicy zagarnięte, co razem pięć tysięcy łuczników i cztery pikinierów dawało.

I oto teraz owe zastępy uszykowały się należycie na równinie - pierwszej łucznicy, pikinierzy za nimi, zaś na końcu stępa idąca ciężkozbrojna jazda.

Przeciw nim zwrócił Arbanus siły sprzymierzonych, sunące naprzód niczym ocean połyskującej stali. Mieszczanie, obserwujący przygotowania do bitwy z wysokości murów, zadrżeli widząc, jak wielce siły owe przeważają liczbą nad odsieczą pod wodzą Conana.

Pierwsi maszerowali shemiccy łucznicy, za nimi pikinierzy z Koth, a na końcu zakuci w stal rycerze Amalrusa i Strabonusa.

Zamiar Arbanusa był przejrzysty - chciał swą piechotą odrzucić na boki piechotę Conana, otwierając drogę dla miażdżącej szarży pancерnej konnicy.

Shemici poczęli szyc z pięciuset kroków i chmura strzał mknących między wojskami przesłoniła słońce.

Łucznicy z Zachodu, wyćwiczeni w tysiącletnich zmaganiach z dzikimi Piktami, kroczyli niewzruszenie, ścieśniając szeregi, gdy ten czy ów padał, przeszyty wrażym grotem. Mniej ich było, a i łuk shemicki dalej niesie; celnością Bossończycy nie ustępowali jednak Shemitom, zaś liczebną przewagę znosiła wyższa karność i duch bojowy łuczników zachodnich, a i lepsze pancерze, na strzały miotane z daleka odporne.

Odległość skróciwszy tak, by strzał był pewny, napięli Bossończycy cięciwy i pomknął kąśliwy rój, a Shemici jęli padać - rząd za rządem. Czarnobrodzi wojownicy, w lekkie jeno odziani kolczugi, nie zdzierżyli morderczej nawały strzał i pękły ich szeregi - pierzchli, ciskając łuki, i wprowadzili zamęt wśród idących za nimi kothyjskich pikinierów, ci zaś, bez oparcia w łucznikach, jęli się ścielić setkami, bieżąc jednak pędem, by skrócić dystans - po to tylko, by odbić się od najeżonych pikami szeregów, które odsłonił łucznicy.

A nie masz pikiniera nad dzikiego Gunderczyka rodem z owej najdalej ku północy położonej aquilońskiej prowincji. Leży ziemia owa o kilka stajañ ledwie od Cimmerii, Bossonią jeno od niej oddzielona, zaś lud z niej się wy-wodzący najczystszą krwią hyboryjską się chlubi i wprost zrodzony jest do walki.

Kothyjeczycy bossońskimi strzałami przerzedzeni, chwilę tylko napór Gunderczyków wytrzymali i w puch rozniesieni, rozbiegli się w popłochu.

Strabonus ryknął z furii, widząc swą piechotę rozbitą i unicestwioną, i wielkim głosem zakrzyknął, by pancerni przypuszczali główną szarżę; Arbanus mitygował go, ukazując na Bossończyków, formujących się karnie na wprost stojących bez ruchu podczas starcia piechoty zastępów konnicy; doradzał pośpiesznie, by odstąpić chwilowo, wyprowadzając rycerstwo poza zasięg łuków.

Na nic się jednak zdały jego dobre rady - Strabonus, oszalały z wściekłości, potoczył wzrokiem po długich, lśniących szeregach swej konnicy, cisnął wściekle spojrzenie w stronę pancernych przeciwnika, wyglądających jak garstka straceńców naprzeciw sił sprzymierzonych - i rozkazał Arbanusowi, by dał sygnał do szarży.

Generał polecił swą duszę Isztar i zadał w złoty róg.

Opadł las kopii i z piorunowym rykiem potoczył się po równinie pancerny mur, coraz to większego nabierając rozpędu. Ziemia jęczała pod lawiną końskich kopyt, a odbłyski od złota i stali olśniły obrońców Shamar, patrzących na bój z wysokości bastionów. Zakute w stal pułki przetoczyły się przez luźne szeregi pikinierów, nie bacząc, iż tratują na równi swoich, jak i wroga, i tu po raz pierwszy dopadła ich zjadliwa chmura strzał Bossończyków. Ale toczyli się dalej niczym burza, pozostawiając po swym przejściu ziemię zasłaną na podobieństwo jesiennych liści błyszczącymi rycerzami. Sto kroków jeszcze, i wcieliby się w Bossończyków, kładąc ich jak zboże, ale krew i ciało nie mogły zdzierżyć deszczu śmierci, zbierającej okrutne żniwo.

Nogi rozstawione, ramię przy ramieniu stali łucznicy, w rytm krótkich okrzyków przyciągający belt do ucha i jak jeden mąż puszczający cięciwy.

Zwinął się i powalił cały pierwszy szereg pancernych, a na najeżone strzałami ciała ludzi i koni waliły się następne, padając na złamanie karku i wciąż powiększając piekielne kłębowisko.

Strabonus jedne wykrzykiwał rozkazy, Amalrus zaś inne, a wszystkimi zawładnął zabobonny lęk, wzbudzony niespodziewanym ukazaniem się Conana, dawno uznanego za martwego.

A kiedy lśniące szeregi kłębiły się w zamieszaniu, skinął król Conan na trębacza, a ten podniósł do ust róg kręcony i zadał, i rozwarły się szeregi bossońskich łuczników, a przez uwolnione pole runęła straszliwa szarża pancernej aquilońskiej konnicy.

Zadrzała ziemia, gdy zwały się wrogie zastępy, a taki był impet owego starcia, że aż zakołysały się w posadach wieże Shamar. Zmieszane szyki najeźdźców nie mogły wytrzymać ciosu masywnego, stalowego klina, najeżonego kopiami. Pękły szeregi sprzymierzonych niczym rozdarte piorunem, a w sam środek ich formacji wpadli rycerze z Poitain, wywijający swymi straszliwymi oburęcznymi

mieczami. Podniósł się grzmot i jęk stali, jakby nieprzeliczone młoty waliły w równie niezmierną liczbę kowadeł; wojownicy na wieżach mocniej uchwycili się blanków, gdyż nawet ich ogłuszył łoskot niosący się z miejsca okrutnej kośby; ich wzrok przykuł wir szalejący tam, gdzie pomiędzy ciskającymi błyskawicami głowniami wznosiły się wysoko przepyszne pióropusze, tam, gdzie widać było chwiejące się drzewca sztandarów.

Padł Amalrus, rozplątany oburęcznym mieczem Prospera, i skonał pod końskimi kopytami.

Mrowie nieprzyjaciół otoczyło niespełna dwa tysiące rycerzy Conana, ale mogli jedynie krążyć wkoło owego masywnego klina, wcinającego się coraz głębiej w ich szeregi - rozerwać formacji aquilońskiej nie zdołali.

Łucznicy i pikinierzy, rozprawivszy się z niedobitkami wrogiej piechoty, której resztki umykały właśnie w nieładzie z placu boju, zacieśnili swe szyki wokół pobrzeży toczącej się bitwy, wypuszczając z bliska strzały, doskakując, by ciąć brzuchy i pęciny koni, godząc długimi pikami w szczeliny pancerzy.

Prący na czele stalowego klina Conan wydał swój okrzyk bojowy i jął zataczać mieczem mordercze kręgi, na których drodze nie ostał się ni hełm żelazny, ni misiurka zacna; król wprost w największą ciżbę nieprzyjaciół się wrąbał, znacząc śmiercią nagłą i krwią swoją drogę, a gęstwa kothyjskich i ophirskich rycerzy zawarła się za jego plecami, od towarzyszy go odcinając.

Ale Conan parł dalej niczym piorun, samą już siłą impetu torując sobie drogę, aż dotarł do pobladłego Strabonusa, otoczonego swą gwardią. A ważyły się właśnie losy bitwy, jako że Strabonus, wciąż jeszcze liczebną przewagę mający, mógł wykraść bogom zwycięstwo nie jemu należne.

Ujrzawszy swego odwiecznego wroga o długość ramienia, zawrzasnął i machnął straszliwie toporem; oręż skrzesał iskrę z Conanowego szyszaka, a król wzniosł się w strzemionach i cios miecza okropny na łeb Strabonusa spuścił; długa na stóp pięć głownia hełm zgruchotała, pękł i czerep pod nim, a rumak pobitego zarżał, dęba stanął, i zawróciwszy pomknął precz, martwe ciało po ziemi za sobą wlokąc.

Krzyk wielki wydarł się z piersi kothyjskiego rycerstwa i zachwiał się jego szyk, i cofnęło się, pole Conanowym wojom oddając.

Trocero ze swym pocztem, tnąc i siekąc desperacko, wyrąbał sobie drogę do króla, a po chwili wielki sztandar królewski Koth zachwiał się i padł.

Nagle do uszu ścierających się rycerzy dobiegł od strony miasta harmider potężny, a w niebo uderzyła łuna - to obrońcy Shamar przypuścili desperacką wycieczkę, a wyciąwszy zastępy bram pilnujące, wpadli do obozu i między tabory, ciury obozowe gromiąc, ogień niecąc i maszyny oblężnicze obalając.

I ta kropla przepelniła czarę - świetna tak niedawno armia sprzymierzonych rozpierzchnęła się, a każdy jął dla swej głowy ratunku w ucieczce szukać; zwycięzcy jechali na karkach umykających, bez

pardonu ich wycinając; wielu uchodzących rzuciło się ku rzece, ale załogi skut i barek, nęcane srodze przez mieszkańców miasta, którzy z nowym zapalem jęli ciskać głązy i smolne kwacze, kotwice wyciągnawszy, ku drugiemu brzegowi odpłynęły, pozostawiając swych pobratymców ich własnemu losowi. Część uciekających drugi brzeg osiągnęła, przeprawiając się po barkach szepionych tak, by most tworzyły, ale szybko wojownicy z miasta liny przecięli, a nurt barki porwał, i wtedy bitwa w rzeź się przemieniła - spychani do wody, gdzie tonęli w ciężkich pancerzach, lub wycinani na brzegu, ginęli najeźdźcy tysiącami. Sami, gdy górą byli, pardonu nie dając, teraz spodziewać się go nie mogli.

Od podnóży wzgórz aż po brzegi Tyboru martwe ciała zaścielały równinę, a rzeka, której wody zdawały się toczyć czystą krew, pokryła się warstwą trupów.

Blisko dwa tysiące rycerzy ruszyło z Conanem na południe; ledwie pięciuset bitwę przeżyło, by wygoić swe rany i bliznami się szczycić, a wśród łuczników i pikinierów śmierć jeszcze obfitsze zebrała żniwo. Ale nieprzebrane i lśniące od stali zastępy Strabonusa i Amalrusa przestały istnieć, a tych, co z placu boju zbiegli, życie unosząc, mniej było niż tych, co na polu legli.

Trwały jeszcze jatki nad rzeką, gdy po jej drugiej stronie, daleko na łąkach, rozgrywał się rzeczywisty finał walnej potyczki.

Pośród tych, co zdołali przekroczyć most z barek, zanim go zniszczono, był

Tsotha-lanti, mknący niczym wiatr na wielkim, dziwnie wyglądającym rumaku, którego szybkości żaden normalny koń nie mógł dorównać. Traktując okrutnie kogo popadło, osiągnął Tsotha drugi brzeg Tyboru, a rzuciwszy okiem za siebie, ujrzał posępną postać na ognistym, czarnym ogierze, gnającą na łeb, na szyję w szaleńczym pościgu.

Cumy już odcięto i barki poczęły dryfować, ale Conan nie zrażony tym, spiął konia i zmusił go do skoków z barki na barcę, tak jak to czynią ludzie, skacząc z jednej kry na drugą.

Tsotha cisnął weń strasznym zaklęciem, ale rumak, spięty ostrogą, wyciągnął się w ostatnim, długim skoku i aż jęknął z wysiłku - ale drugi brzeg osiągnął.

Nie czekając dłużej, mag zawrócił konia i pomknął nad płaskimi, pustymi łąkami, a jego śladem rwał galopujący szaleńczo Conan, wywijając wielkim mieczem, który znaczył przebytą drogę szkarłatnymi kroplami.

I pędzili tak - myśliwy i zwierzyna - i ani na stopę nie zdołał się czarny ogier przybliżyć do umykającego przed nim konia, choć napinał do granic wytrzymałości każde ścięgno i każdy nerw.

Gnali poprzez kraj cienisty już, bo przy zachodzącym słońcu, aż odgłosy toczącej się za nimi bitwy ucichły. A wtedy na niebie pojawiła się plamka, która szybko przybrała kształt zbliżającego się wielkiego orła; spadł on z nieba wprost na łeb rumaka Tsotha-lanti, a koń spłoszony zarżał i stanął dęba, zrzucając jeźdźca na ziemię.

Stary Tsotha poderwał się i zwrócił twarzą w stronę nadciągającego jak burza Conana, a jego oczy

przypominały ślepie oszalałego węża, zaś na twarz wypełzła mu odpychająca maska nieludzkiej furii. W każdej dłoni ścisnął coś błyszczącego, a król wiedział, iż to, co trzyma Tsotha - to śmierć.

Cymmeryjczyk zeskoczył z konia i pobrzękując zbroją, ruszył na wroga, z mieczem wysoko uniesionym nad głową.

- I znów się spotkaliśmy, czarowniku! - zaśmiał się dziko.

- Trzymaj się z dala! - wrzasnął Tsotha głosem opętanego żądzą krwi szakala. - Mogę odrzeć ciało z twych kości! Nie zdołasz mnie pokonać - nawet jeśli porąbiesz mnie na kawałki, ciało i kości zrosną się, i śmierć ci zadam! Czuję w tym rękę Peliasa, ale pokonam was obu! Jam jest Tsotha, syn...

Conan skoczył, czujnie przymrużywszy oczy, a miecz błysnął, odbijając promienie nisko stojącego słońca. Tsotha zamachnął się prawą ręką i cisnął czymś, a król uchylił się i pocisk śmignął tuż koło jego szyszaka i upadł daleko, buchając szatańskim płomieniem, osmalając i topiąc szmat piachu.

Nim Tsotha zdążył cisnąć trzymaną w lewej dłoni lśniącą kulą, świsnął miecz Conana i głowa czarownika spadła z karku, a z przerąbanej szyi trysnęła fontanna krwi, zaś ciało odziane w białą szatę zachwiało się i opadło na ziemię.

Ale czarne, szalone oczy ślepiły na Conana dalej, wcale nie pozbawione złowróbnego blasku, usta drgały paskudnie, a ręce macały wkoło, jakby szukając po omacku ściętej głowy.

Wtem z poszumem skrzydeł spadł z nieba olbrzymi ptak - orzeł, który zaatakował przedtem konia czarownika; drapieżnik uchwycił w potężne szpony ociekającą krwią głowę i wzbił się ku niebu, a Conan stanął jak wryty, gdyż z gardzieli ptaka dobył się ludzki śmiech - śmiech Peliasa czarnoksiężnika.

Ale nie był to koniec grozy, bo oto bezgłowy korpus poderwał się z ziemi i wyciągnawszy na ślepo ręce, ruszył pędem, bieżąc na sztywnych nogach w stronę punktu na ciemniejącym, wieczornym niebie, oddalającego się z coraz większą prędkością.

Conan skamieniał i stał tak, patrząc, dopóki szybko biegnąca postać nie wtopiła się w zmierzch, okrywający purpurą łąki.

- Na Croma! - stęknął zdumiony olbrzym, a dreszcz przebiegł jego potężne ramiona. - Oby zaraza pochłonęła owe czarnoksiężskie waśni i fortele! Pelias postąpił ze mną ładnie, ale nie dbam o to, by go jeszcze kiedyś spotkać. Dajcie mi raczej zacy miecz i uczciwego wroga, w którym go mógłbym pogrzyźć. Przekleństwo! Czegóż bym teraz nie dał za dzban starego wina!

ERA HYBORYJSKA

CZEŚĆ II

(Przełożył: Stanisław Plebański)

Po upływie pięciuset lat od panowania Conana Wielkiego cywilizacja hyboryjska została zmieciona z powierzchni ziemi; jej upadek był wydarzeniem szczególnym - nie spowodował go wewnętrzny rozkład imperium, a wzrost potęgi sił zewnętrznych: Hyrkańczyków i pewnego barbarzyńskiego narodu. Władających niepodzielnie niemal całym światem Hyperborejczyków obalono w chwili, gdy ich ekspansywna kultura osiągnęła szczyt rozwoju; pośrednią przyczyną owego przewrotu była zaborczość władców Aquilonii: pragnąc rozszerzyć granice swego mocarstwa wzniesili zaborczą wojnę przeciw państwom ościennym. Zingara, Argos i Ophir zostały po prostu anektowane; ich los podzieliły zachodnie miasta shemickie, które niedawno - tak jak i miasta wschodnie - zrzuciły kothyjskie jarzmo. Samo królestwo Koth, Korinthię i wschodnie plemiona shemickie zmuszono do płacenia danin i udzielania Aquilonii pomocy w wojnach.

Pomiędzy Aquilonią i Hyperboreą istniała odwieczna waśń; teraz wojska Hyperborejczyków ruszyły na spotkanie nadciągającej z zachodu wrogiej armii. Równiny Królestwa Pogranicznego stały się polem wielkiej i zjadłej bitwy; rozgromione zastępy Hyperborejczyków wycofały się do ośnieżonych fortec na swym terytorium, a zwycięzcy Aquilończycy nawet ich nie ścigali.

Nemedia, która z powodzeniem dawała od stuleci odpór zachodniemu sąsiadowi, wciągnęła Brythunię, Zamorę i - potajemnie - Koth w przymierze, z zamiarem zmiążdżenia rosnącego w siłę aquilońskiego imperium. Ale nim sojusznicze armie przypuściły zaplanowaną napaść, nowy wróg nadciągnął ze wschodu: Hyrkańczycy po raz pierwszy w znacznej sile uderzyli na świat zachodni. Wspomagana przez awanturnicze szczepy z obszarów leżących na wschód od Vilayet turańska konnica przetoczyła się przez Zamorę i po splądrowaniu wschodniej Korinthii zwarła się na równinach Brythunii z Aquilończykami, ponosząc sromotną klęskę; niedobitki hordy naciskane przez zwycięzców ratowały się ucieczką na wschód.

Tak oto została złamana siła przymierza wymierzonego przeciw Aquilonii, a Nemedia w następnych wojnach przyjmowała postawę obronną; czasami wspomagały ją Brythunia i Hyperborea oraz, sekretnie jak zwykle, Koth.

Porażka Hyrkańczyków ukazała światu prawdziwą siłę Aquilonii. Jej świetne armie zasilali najemnicy, zaciągani pośród Zingaryjczyków i barbarzyńców - Piktów i Shemitów.

Zamorę odbito od Hyrkańczyków, ale jej naród szybko pojął, iż nastąpiła jedynie zmiana wschodniego ciemiezcy na zachodniego; aquilońskie garnizony kwaterowały na terenie Zamory nie tylko dla obrony wyniszczonego królestwa, ale i po to, by utrzymać jego lud w poddaństwie.

Hyrkańczyków nie zraziła porażka: po trzykroć jeszcze uderzali na granice Zamory i tyleż razy zostali odrzuceni przez Aquilończyków, choć turańskie armie powiększały się w miarę napływu zakutych w stal wojowników, prących na zachód dookoła południowego krańca śródlądowego morza.

Ale siła, której przeznaczone było zrzucić z tronu władców Aquilonii, rosła na zachodzie...

Na północy nie ustawało wrzenie: wzdłuż cymmeryjskiej granicy czarnowłosi barbarzyńcy ścierali

się z wojownikami z Nordheimu, zaś armia Aesiru - w przerwie pomiędzy wojnami z Vanirem - napadła na Hyperboreę i przesunawszy granicę niszczyła miasto za miastem. Cymmeryjczycy nie opowiadali się po niczyjej stronie - walczyli także z Piktami i Bossończykami, kilkakrotnie przypuszczając napaści na samą Aquilonię, lecz wywoływane przez nich wojny miały więcej cech łupieżczych wypadów niż zaborczych inwazji.

Tymczasem Piktowie zdumiewająco szybko przybierali na liczbie, a co za tym idzie, i sile. Przez dziwne zrządzenie losu, za sprawą wysiłków jednego człowieka - i to cudzoziemca - wkroczyli na drogę wiodącą do utworzenia własnego imperium. Owym człkiem był Arus - nemedyski kapłan, urodzony reformator. Nie jest jasne, dlaczego właśnie Piktowie zaprzętnęli jego uwagę, jest jednak faktem historycznym, iż postanowił udać się w głąb zachodniej puszczy, by zmienić prymitywne obyczaje pogan poprzez zaprowadzenie wśród nich łagodnego kultu Mitry. Nie odstraszyły go posępne opowieści o losie kupców i podróżników, którzy przed nim zagłębiali się w puszcze; szczęśliwy dlań kaprys fortuny sprawił, iż gdy natknął się na tych, których szukał - samotnie i bez broni - nie został natychmiast zakłuty jak bezradne prosię.

Piktowie zyskiwali wiele przez kontakty z cywilizacją, ale bronili się przed nimi ze wszech sił. Nauczyli się prymitywnej obróbki miedzi i cyny, które w niewielkich ilościach znajdowali w swym kraju; po drugi z tych metali urządzali wypadki w głąb Zingary lub uzyskiwali go w drodze wymiany, oferując w zamian skóry, fiszbin, kły morsów i podobne nieliczne dobra, jakie może posiadać dzikie plemię. Nie mieszkali już w jaskiniach i dziuplach, lecz wznosili namioty ze skór i niezgrabne szałas, które podpatrzyli u Bossończyków. Żywot wiedli nadal koczowniczy, jako że puszcza roiła się od wszelakiego zwierza, a rzeki pełne były ryb; nauczyli się wprawdzie uprawiać zboże, ale czynili to rzadko, woląc raczej kraść je od sąsiadów - Bossończyków i Zingaryjczyków. Grupowali się w klany, przeważnie zwaśnione między sobą; obyczaje mieli prymitywne, krwawe i całkowicie niezrozumiałe dla cywilizowanego człowieka, jakim był Arus z Nemedii. Z Hyperborejczykami nie mieli bezpośredniego kontaktu, jako że Bossończycy stanowili barierę oddzielającą ową nację od Piktów. Arus spodziewał się, że Piktowie są w stanie rozwijać się, a dalsze wypadki potwierdziły słuszność tego przypuszczenia, choć nie w taki sposób, jak tego oczekiwał.

Nemedyski kapłan miał szczęście zetknąć się z wodzem o nieprzeciętnej jak na Pikta inteligencji. Nosił on imię Gorm. Jego osobowości nie da się zrozumieć do końca, tak jak nie można zrozumieć duszy Dżyngis-chana, Otomana, Attyli czy któregośkolwiek z podobnych im mężów, zrodzonych w nagim stepie pośród niewykształconych barbarzyńców, a jednak obdarzonych instynktem podbojów i tworzenia imperium.

W łamanym narzeczu bossońskim kapłan wyłożył Piktowi swe zamiary, a Gorm, choć niepomiernie zdumiony, nie kazał go zgładzić i pozwolił mu zostać przy swoim szczepie - a był to wypadek bez precedensu w dziejach plemienia.

Nauczywszy się języka, Arus jął pracować nad wykorzenieniem z życia Piktów co bardziej niemiłych obyczajów, takich jak składanie ofiar z ludzi, krwawe właśnie czy palenie żywcem jeńców. Do Gorma często i długo przemawiał, znajdując w nim zaciekawionego, choć milczącego słuchacza.

W wyobraźni można odtworzyć sobie taką scenę - oto wódz o kruczoczarnych włosach, odziany w tygrysią skórę i naszyjnik z ludzkich zębów, siedzi w kucki na plugawym klepisku niezdarnie

skleconej lepianki, słuchając z uwagą elokwentnych wywodów mędrca, odzianego w białą szatę nemedyjskiego kapłana, posadowionego zapewne na rzeźbionym, okrytym skórą mahoniowym stolcu; gestykulując szczupłymi, delikatnymi dłońmi, Arus wykladał odwieczne prawa i sądy, będące prawdami objawionymi przez Mitrę. Bez wątpienia kapłan wskazywał z przyganą na rzędy czaszek zdobiących ściany lepianki, nakłaniając Gorma, by raczej przebaczał swym wrogom, niżli czynił podobny użytek z ich zbielałych od słońca szczątków.

Arus przedstawiał swą osobą szczytowe osiągnięcie rasy o wrodzonych talentach artystycznych, rasy wydoskonalonej przez stulecia cywilizacji; Gorm reprezentował dziedzictwo trwającego sto tysięcy lat dzikiego barbarzyństwa - jego krok przypominał skradanie się tygrysa, uścisk jego dłoni o czarnych paznokciach - uścisk łapy goryla; ogień gorzejący w ślepiach lamparta gorzał w jego oczach.

Będąc człowiekiem praktycznym, Arus grał na zrozumiałym dla dzikusów pojęciu materialnego zysku; potęgę i splendor hyboryjskich mocarstw stawiał za przykład wszechmocy Mitry, którego nauki wyniosły owe państwa na tak ważne miejsce w świecie. I prawil o miastach i żyznych równinach, marmurowych ścianach i rydwanach z żelaza, o wysadzanych drogami kamieniami kopułach świątyń i o rycerzach w połyskującej stal zakutych, gotujących się do boju...

A Gorm, wiedziony nieomylnym instynktem barbarzyńcy, puszczał mimo uszu słowa dotyczące bogów i ich nauk, skupiając uwagę na sprawach ziemskich, tak żywo odmalowywanych przez zdolnego retora.

Właśnie w owej lepiance o glinianym klepisku, gdzie spowity w tygrysią skórę wódz wysłuchiwał nauk odzianego w jedwabną szatę kapłana, posadowionego na mahoniowym stolcu, właśnie tam położono podwaliny potężnego imperium.

Jak już powiedzieliśmy, Arus był człowiekiem praktycznym; żyjąc pomiędzy Piktami odkrył, że człowiek inteligentny może zdziałać wiele dla dopomożenia ludzkości, nawet jeśli owa „ludzkość” jest odziana w tygrysie skóry i nosi naszyjniki z ludzkich zębów. Jak wszystkich kapłanów Mitry, i jego nauczono wielu rzeczy. Szybko odkrył, iż Piktyjskie Wzgórza kryją bogate pokłady rud żelaza; nauczył przeto tubylców wydobywać rudę, wytapiać metal i przekuwać go w narzędzia - w rolnicze narzędzia, jak w swej ufności przypuszczał. Zaprowadził i inne reformy, ale spośród rzeczy, jakich dokonał, te oto miały najdonioślejsze znaczenie: rozpalil w duszy Gorma żądę ujrzenia cywilizowanych krain, nauczył Piktów obrabiać żelazo, ustanovil kontakty pomiędzy nimi a światem zewnętrznym. Na żądanie wodza Arus przeprowadził jego i pewną liczbę wojowników przez Pogranicze Bossońskie do opływającego w dostatek świata cywilizowanego; po drodze witały ich zdumione spojrzenia wieśniaków.

Arus bez wątpienia sądził, iż na prawo i lewo dokonuje nawróceń, ponieważ Piktowie słuchali go i powstrzymywali się od zarabiania go miedzianymi toporkami. Ale barbarzyńcy nie traktowali poważnie nauk przykazujących im przebaczać wrogom i opuścić ścieżkę wojenną dla pokojowego trybu życia. Powiadano, iż puszczańskim dzikusom brakowało zdolności artystycznych; cała natura Pikta nastawiona była na prowadzenie wojny i zabijanie.

Kiedy kapłan rozprawiał o wspaniałościach narodów cywilizowanych, jego ciemnoskórzy

słuchacze pilnie nadstawiali uszu, ale nie na ideały jego religii, a na opisy łupów, które nieświadomie odmalowywał w opowieściach o bogatych miastach i dostatnich krainach. Kiedy prawił, jak to Mitra dopomógł pewnym królom pokonać wrogów, Piktowie nie zwracali uwagi na cuda dokonywane przez Mitrę, ale chłonili obrazy szyków bojowych, konnych rycerzy, musztry pikinierów i ćwiczeń łuczników. W pochlebiającym Arusowi skupieniu wysłuchiwali instrukcji o obróbce żelaza i podobnych sztukach, czy ich były bystre, a twarze nieprzeniknione; czekali końca opowieści, po czym rozchodzili się bez słowa.

Przed jego przybyciem podkradali stalowy oręż i zbroje od Bossończyków i Zingaryjczyków albo wyklepywali swą własną, prymitywną broń z miedzi lub brązu; teraz otworzył się przed nimi nowy świat, a dźwięk kowalskich młotów niósł się po całym kraju, zaś Gorm dzięki znajomości tej nowej sztuki zaczął zdobywać dominację nad innymi klanami - częściowo poprzez orężne przewagi, częściowo sprytem i dyplomacją; w tej ostatniej dziedzinie prześcignął później wszystkich barbarzyńskich wodzów.

Zaopatrzeni w stosowne glejty Piktowie przybywali teraz do Aquilonii swobodnie, po czym powracali, bogatsi w nową wiedzę o kuciu pancerzy i hartowaniu mieczy; co więcej, poczęli się zaciągać do aquilońskich pułków najemnych, budząc tym nieopisany niesmak zaciętych Bossończyków.

Aquilońscy władcy radowali się w duchu pomysłem rzucenia Piktów przeciw Cymmeryjczykom, co mogłoby za jednym pociągnięciem zlikwidować oba źródła zagrożenia z zachodu, byli jednak zbyt zajęci swą polityką agresji na południu i wschodzie, by zwracać uwagę na mało znane krainy zachodnie, skąd coraz to więcej napływało dzielnych wojowników, zasilających szeregi najmitów. Wojownicy owi po zakończeniu służby powracali do puszczy dobrze zaznajomieni ze sztuką wojenną narodów cywilizowanych i z pogardliwym stosunkiem do cywilizacji, który rodzi się po bliższym poznaniu tejże.

Bębny jęły dudnić na wzgórzach; na wzniesieniach zapłonęły ogniska zwołujące wojowników, a dzicy płatnerze kuli zbroje i miecze na tysiącach kowadeł. Poprzez najazdy, intrygi i fortele zbyt liczne i zawile, by je tu wymieniać, Gorm został wodzem wodzów, jednocząc władzę, co praktycznie czyniło go królem wszystkich plemion - królem, jakiego Piktowie nie mieli od tysięcy lat. Długo czekał na tę chwilę - był już w wieku bardziej niż średnim - ale mógł wreszcie ruszyć ku granicom - nie dla handlu, a na wojnę.

Arus zbyt późno dostrzegł swą pomyłkę: nie udało mu się dotrzeć do duszy poganina, w której czaiła się odwieczna żądza krwi; jego perswazyjna elokwencja nie zdołała nawet zadrasnąć skostniałej świadomości dzikusów; na niczym spęły próby rozbudzenia sumienia w barbarzyńskich sercach.

Miast tygryziej skóry karacenowa zbroja okrywała teraz ciało Gorma, ale była to jeno zewnętrzna odmiana: w duchu Pikt pozostał sobą - wiecznym barbarzyńcą, obojętnym na filozofię czy teologię, o instynktach nastawionych niezmiennie na grabież i rozbój.

Piktowie runęli na bossońską granicę, torując sobie drogę ogniem i mieczem - a nie byli już odziani w tygrysie skóry i nie wywijali jak dawniej miedzianymi toporkami: ciała ich okrywały

karaceny i kolczugi, a broń mieli z doskonałej stali.

Arusowi jakiś pijany Pikt zgruchotał czaszkę właśnie wtedy, gdy mędrzec udawał się do Gorma, chcąc uczynić ostatnią próbę powstrzymania lawiny, którą mimowolnie wywołał.

Gorm nie okazał się niewdzięcznikiem - kazał głowę zabójcy zatknąć na szczycie kurhanu usypanego nad ciałem kapłana. I czy nie zakrawa to na posępną ironię sił władających wszechświatem, że głazy, co przykryły doczesne szczątki Arusa, miały być przyozdobione tak barbarzyńskim w swej wymowie akcentem? Wszak w duszy pochowanego pod nimi człowieka zemsta i rozlew krwi budziły niewymowną odrazę.

Nowsza broń i pancerze nie wystarczyły dla przełamania bossońskich szyków obronnych; granica płonęła przez całe lata, ale doskonalszy oręż, zacięcie i odwaga Bossończyków osadzały zapędy najeźdźców; gdy było to niezbędne, obrońcy Pogranicza otrzymywali wsparcie koronnych pułków Aquilonii. Dopiero zdrada z niespodziewanej strony przełamała zwarte bossońskie szeregi; zanim jednak powiemy o niej coś więcej, przyjrzyjmy się najpierw aquilońskiemu imperium.

Z dawien dawna było to królestwo bogate, ale teraz, za sprawą coraz to nowych podbojów, poczęły napływać w jego granice bogactwa wprost niewyobrażalne. Rozpasany przepych zajął miejsce prostego, zgrzebnego stylu życia, ale degeneracja jeszcze nie dotknęła ludu i władców; choć Aquilończycy chadzali przyodziani w złotogłowie i jedwabie, ciągle byli żywotną i mężną rasą.

Ale arogancja poczęła wypierać ich dawną prostolinijność; słabsze narody traktowali z rosnącą pogardą, nakładając na swych lenników coraz to cięższe powinności. Argos, Zingarę, Ophir, Zamorę i kraje shemickie uznawali za podporządkowane bez reszty prowincje, co było szczególnie nieznośne dla dumnych Zingaryczyków, którzy często wzniecali rewolty, nie bacząc na srogie represje.

Wasalem Aquilonii stało się także królestwo Koth, pozostające pod aquilońską „protekcją” na wypadek hyrkańskiej napaści.

Ale zachodnie imperium nigdy nie zdołało ukorzyć Nemedii, aczkolwiek sukcesy Nemedian polegały głównie na skutecznej obronie i były możliwe dzięki pomocy armii hyperborejskiej.

W tym okresie Aquilonia doznała jeno dwóch porażek: pierwszą stanowiło rzeczone niepowodzenie w próbach zaanektowania Nemedii, drugą zaś klęska poniesiona przez armię koronną w wojnie z Aesirami. O ile Hyrkańczycy przekonali się, iż nie są w stanie zdzierżyć szarż ciężkiej jazdy aquilońskiej, o tyle zastępy imperium, gdy tylko wkroczyły w śnieżne krainy, zostały powstrzymane przez mordercze starcia wręcz z Nordykami.

Na południu podboje aquilońskie dotarły aż po rzekę Styx; armię stygijską rozgromiono i w pień wycięto, a król Stygii ostatecznie złożył hołd i przysłał daninę, by zapobiec inwazji na swe królestwo.

Kiedy po serii szybkich wojen padła Brythunia, imperium jęło czynić przygotowania do decydującej rozprawy z odwiecznym rywalem - Nemedią. Wzmocniwszy znacznie wojskami zaciężnymi swe lśniące od stali zastępy, Aquilończycy ruszyli w końcu na wschód i zanosilo się na

to, że pod potężnym ciosem padnie ostatnie niepodległe państwo Zachodu. Ale oto pomiędzy Aquilończykami i ich bossońskimi pomocnikami wynikły niesnaski. Płynący na fali imperialnej ekspansji Aquilończycy stali się grubiańscy i nietolerancyjni; z lubością szydzili z prostych i nieokrzyszanych Bossończyków, przez co poczęły narastać pomiędzy owymi nacjaми nieprzychylnie uczucia; Aquilończycy jak tylko mogli poniżali Bossończyków, ci zaś nie byli dłużni swym panom - tak bowiem bez ogródek mówili o sobie Aquilończycy, traktując bossońskich najemników jak zobowiązanych do uległości poddanych. Na mieszkańców Pogranicza nakładali coraz to okrutniejsze podatki i siłą wcielali ich do armii prowadzącej wojny ku chwale Imperium - ku chwale, z której żaden pożytek dla Bossończyków nie płynął. W ojczyźnie najemników pozostawiono wojów ledwie dość do obrony granicy, toteż gdy poczęły docierać wieści o Piktach pustoszącymi wsie i miasta w ich własnym kraju, wszystkie bossońskie pułki wycofały się z kampanii nemedyjskiej i powróciwszy forsownym marszem na Pogranicze zdążyły na czas, by wydać Piktom walną bitwę i odeprzeć śniadoliczych najeźdźców.

Atoli owa dezercja stała się bezpośrednią przyczyną rozgromienia armii aquilońskiej przez zdesperowanych Nemedian, co ściągnęło na Bossonię okrutną pomstę ze strony rozjuszonych niepowodzeniem Aquilończyków, krótkowzrocznych i nietolerancyjnych przez swe imperialne zapędy.

Sekretnie podciągnięto ku granicy pułki aquilońskie, zaś bossońskich wodzów zaproszono na uroczyste zgromadzenie, gdy tymczasem, pod pozorem wyprawy karnej przeciw Piktom, hordy dzikich Shemitów rozłożyły się na kwatery u nic nie podejrzewających bossońskich wieśniaków.

Wciągniętych w zasadzkę wodzów wycięto, a Shemici uderzyli na swych osłupiających gospodarzy, gromiąc ogniem i mieczem bezbronny lud; równocześnie na zaskoczonych Bossończyków ruszyły pancerne zastępy aquilońskie. Kraj, jak długi i szeroki, obrócono w perzynę, a gdy imperialna armia powracała w granice swego państwa, zostawiała za sobą tylko zgłiszcza i bielejące kości.

I właśnie wtedy Piktowie ponownie przypuścili atak - wszystkimi siłami, wzdłuż całej granicy. A nie był to zwykły wypad, lecz dobrze zorganizowane uderzenie potęgą całego narodu, prowadzonego przez wodzów wyszkolonych podczas służby w aquilońskiej armii; całą kampanią dowodził Gorm - on to ją zaplanował, i choć był już starcem, jego wybujałe ambicje nic nie straciły ze swej siły i rozmachu.

Tym razem Piktowie nie napotkali na swej drodze dobrze umocnionych wiosek, których broniliby dzielni łucznicy do czasu, aż aquilońska konnica przyjdzie im w sukurs. Niedobitki Bossończyków w mig starto z powierzchni ziemi i żądni krwi barbarzyńcy, paląc i plądrując, wtargnęli w granice Aquilonii, zanim legiony wojujące znowu z Nemedią zdążyły się przemieścić na zachód.

Zingara skorzystała ze sposobności, by zrzucić jarzmo lennika, a za jej przykładem poszły Korinthia i plemiona shemicke. Całymi pułkami najemnicy - do wczoraj wasale - buntowali się i wracali do swych krajów rodzinnych, po drodze łupiąc i pustosząc kraj.

Piktowie parli nieustannie na wschód, dosłownie tratując coraz to nowe zastępy broniące im drogi. Bez oparcia w bossońskich łucznikach Aquilończycy okazali się bezradni wobec morderczej nawały strzał miotanych przez barbarzyńców; ze wszystkich prowincji imperium ściągnano legiony, by

powstrzymać impet natarcia dzikiej hordy, gdy tymczasem z puszczy wypływały nowe watahy - jedna po drugiej, jakby z niewyczerpalnego źródła.

Nagle w sam środek owego chaosu spłynęli ze swych wzgórz Cymmeryjczycy, by dokończyć dzieła zniszczenia. Złupili miasta, zrujnowali całe połacie kraju i unosząc zdobycz wycofali się do swych siedzib, zaś Piktowie zajęli opuszczone przez nich tereny.

Tak oto we krwi i ogniu padło imperium Aquilonii.

A wtedy znów z błękitnego wschodu nadciągnęli Hyrkańczycy; zachętą dla nich było wycofanie legionów imperium z Zamory, która też nie oparła się potężnemu uderzeniu i już wkrótce hyrkański król uczynił największe miasto kraju swą stolicą.

Wspomniana powyżej inwazja wyszła z prastarego hyrkańskiego królestwa Turan, leżącego nad brzegami śródładowego morza. Ale wnet z północy ruszyło następne, znacznie potężniejsze hyrkańskie uderzenie; zastępy zakutych w stal jeźdźców okrążyły północny kraniec Vilayet, przecięły mroźne pustynie, wdarły się na stepy i spychając przed sobą uchodzącą ludność miejscową natarły na zachodnie królestwa. Zrazu nie sprzymierzyli się z Turańczykami i gromili ich tak samo jak Hyboryjczyków; fale wschodnich najeźdźców zwały się i przemieszały, ale ich wrogość trwała tylko dopóty, dopóki nie zostały zjednoczone pod panowaniem wielkiego wodza, który przybył aż znad wybrzeży Oceanu Wschodniego.

Gdy nie stało armii aquilońskiej, Hyrkańczycy okazali się siłą nie do pokonania; stratowali i podporządkowali sobie Brythunię, wyniszczyli południe Hyperborei i Korinthię. Jadąc na karkach czarnowłosach barbarzyńców wdarli się między cymmeryjskie wzgórza, ale zapędziwszy się daleko od równin nie mogli wykorzystać w pełni swej konnicy - i tu Cymmeryjczycy stawili im czoła; tylko pośpieszny i bezładny odwrót po całodziennej krwawej bitwie ocalił hyrkańskie zastępy od kompletnej zagłady.

W czasie gdy działy się powyższe wydarzenia, ludy shemickie zdobyły królestwo swych dawnych panów - Koth, ale doznały porażki przy zamiarze podbicia Stygii. Ledwie Shemici zdążyli doprowadzić do upadku Koth, zostali ogarnięci przez Hyrkańczyków; ku swemu zaskoczeniu poczuli na karkach but pana sroższego niżli Hyboryjczyk.

Tymczasem Piktowie utwierdzili się na pozycji jedynych władców Aquilonii, praktycznie wycinając w pień dawnych mieszkańców królestwa, po czym wdarli się w granice Zingary, a tysiące Zingaryjczyków, uciekając przed śmiercią do Argos, zdały się na łaskę sunących na zachód Hyrkańczyków, ci zaś osiedlili ich w Zamorze, czyniąc uchodźców swymi poddanymi.

Po ucieczce Zingaryjczyków płomienie spowiły Argos i rozpoczęła się rzeź, nieodłącznie towarzysząca piktyjskim podbojom; dzika horda wtargnęła i do Ophiru i tam zwarła się z pracymi na zachód Hyrkańczykami. Ci ostatni po zdobyciu Shem rozbili nad Nilem armię stygijską i opanowali kontynent aż po królestwo Amazon, skąd poczęli tysiącami ściągać czarnych niewolników, których osiedlali pomiędzy Shemitami.

Hyrkańczycy zapewne zakończyliby swe podboje na Stygii, wcielając ją do swego imperium,

gdyby nie gwałtowne uderzenia Piktów na ich zachodnie zdobycze. Nemedia, jak dotąd nie do pobicia dla Hyrkańczyków, jęczała pod naporem wschodniej jazdy i dzikich z zachodu, kiedy to wędrujące ze swej śnieżnej krainy aesirskie plemię wkroczyło w jej granice i przystało na zaciąg do wojsk najemnych; ludzie ci okazali się być tak dzielnymi wojownikami, że nie tylko odrzucili Hyrkańczyków od granic Nemedii, ale zdołali nawet powstrzymać piktyjską nawałnicę napierającą z zachodu.

Świat w owym czasie tak się oto przedstawiał: bezkresne imperium Piktów - dzikie, prymitywne i barbarzyńskie - rozciągało się od wybrzeży Vanaheimu na północy aż po najdalej na południe wysunięte prowincje Zingary; ku wschodowi objęło całą Aquilonię oprócz Gunderlandii - najbardziej północnej prowincji, która jako peryferyjne dominium leżące pośród gór, przetrwała upadek metropolii i zachowała niezależność. Imperium piktyjskie ogarnęło także Argos, Ophir, zachodnią część Koth i wysunięte na zachód prowincje Shem.

Północną rubież wrogiego Piktom imperium Hyrkańczyków stanowią górskie pasma Hyperborei, a południową leżące na południe od Shem pustynie. Mocarstwo hyrkańskie objęło także Zamorę, Brythunię, Królestwo Pograniczne, Korinthię, większość Koth oraz wszystkie wschodnie ziemie Shem.

Granice Cimmerii pozostały nienaruszone - ani Piktowie, ani Hyrkańczycy nie byli w stanie podporządkować sobie bitnych barbarzyńców; podobnie i Nemedia, zdominowana przez aesirskich najemników, odpiera wszystkie napaści.

Na północy Nordheim, Cimmeria i Nemedia rozdzielają walczące rasy, ale na południu Koth przeobraziło się w pole nieustającej bitwy pomiędzy Hyrkańczykami a Piktami; czasami udawało się wyprzeć zachodnich barbarzyńców z owego królestwa, ale nigdy na długo - wracali w większej sile, by odbijać miasta i ruiny.

Na głębokim południu Stygia, wstrząśnięta hyrkańską inwazją, staje się obiektem napaści potężnych mocarstw ludów czarnoskórych.

Na dalekiej północy nordyckie plemiona bezustannie wojują z Cymmeryjczykami i szarpiają hyperborejską granicę.

Tymczasem Gorm dokonał żywota - zgładził go Hailmar, wódz nemedyjskich Aesirów. Pikt był naonczas starcem prawie stuletnim. W ciągu siedemdziesięciu pięciu lat, które upłynęły od dnia, kiedy po raz pierwszy usłyszał opowieść o potężnych mocarstwach z ust Arusa - a czas to długi, jak na życie człowieka, choć moment jeno w historii narodów - zbudował imperium, opierając się na zabłąkanych w puszczy klanach dzikusów - i zniszczył cywilizację. On, który narodził się w lepiance, na starość siadywał na złotych tronach i ogryzał wołowe udźce, podawane mu na złotych półmiskach przez nagie niewolnice, będące córkami królów.

Podboje i nagromadzone bogactwa nie odmieniły Piktów; żadna nowa kultura nie wzrosła niczym Feniks z ruin startej na proch cywilizacji. Śniade dłonie, które strzaskały wspaniałe dzieła sztuki podbitych narodów, nigdy nie próbowały ich skopiować. Choć osiedli pośród lśniących resztkami dawnego przepychu zdemolowanych pałaców i odziewali swe żylaste ciała w jedwabne szaty

obalonych królów, pozostali Piktowie wiecznymi barbarzyńcami - dzikimi i prymitywnymi; zajmowały ich jeno najbardziej podstawowe potrzeby życiowe; posłuszni nieomylnym instynktom ukierunkowanym na wojnę i rabunek, nie ulegali żadnym przemianom - na sztukę czy rozwój kultury nie było w ich świadomości miejsca.

Inaczej było z osiadłymi w Nemedii Aesirami - szybko przyswoili sobie wiele zwyczajów od cywilizowanych sprzymierzeńców, przekształcając je przy tym na modłę swej dziwnej, a zarazem żywotnej kultury.

Przez krótki okres Piktowie i Hyrkańczycy szczyrzyli na siebie kły ponad ruinami podbitego przez nich świata. I wtedy właśnie rozpoczęła się epoka lodowcowa - era wędrówek ludów nordyckich. Pod naciskiem sunących na południe lodowców opuszczały swe siedziby plemiona północne, spychając przed sobą pokrewne szczepy. Aesirowie starli z powierzchni ziemi prastare królestwo Hyperborei i nadciągnęli, poprzez jego ruiny i zgliszcza, by zewrzeć się z Hyrkańczykami. Nemedia od dawna już była królestwem nordyckim, a rządził ją potomkowie aesirskich najemników.

Spychani nadciągającymi falami nordyckiej inwazji ruszyli w drogę i Cymmeryjczycy, a żadne miasto czy armia nie oparły się im na ich drodze. Przetoczyli się przez Gunderlandię, niszcząc ją przy tym kompletnie, po czym przemaszerowali przez starożytną Aquilonię, wyrąbawszy sobie drogę pośród piktyjskich zastępów. Pokonali nordyckich Nemedian i zdobyli wiele ich miast, ale nie zatrzymali się; prąc wytrwale na wschód, osiągnęli rubieżę Brythunii i tam rozbili armię hyrkańską. Za nimi wtargnęły w owe krainy hordy Vanirów i Aesirów, a imperium piktyjskie kurczyło się pod ich ciosami; zdobyli Nemedię, zaś miejscowi, na poły już ucywilizowani Nordycy, uciekli przed dzikimi krewniakami, pozostawiając za sobą zrujnowane i opustoszałe miasta. Uchodzący na południe Nordycy przyjęli miano od starego królestwa - stąd też dalej zwać ich będziemy Nemedianami; dotarłszy do starożytnego Koth wyparli tak Piktów, jak i Hyrkańczyków, i dopomogli plemionom shemickim w zrzuceniu hyrkańskiego jarzma.

W całym zachodnim świecie Piktowie i Hyrkańczycy słaniali się pod potężnymi ciosami młodszych, bitniejszych ludów.

Odłam Aesirów wygnał hyrkańską hordę z Brythunii i osiadł tam, przyjmując miano od zdobytego królestwa. Nordycy, którzy podbili Hyperboreę, gromili wrogów ze wschodu tak skutecznie, że ciemnoskórzy potomkowie Lemurian wycofali się na stepy, nieustannie spychani ku Vilayet.

Tymczasem prący na południowy wschód Cymmeryjczycy zniszczyli starożytne hyrkańskie królestwo Turan i osiedlili się na południowo-zachodnim pobrzeżu śródładowego morza.

Potęga zdobywców ze wschodu została złamana. Atakowani nieustannie przez ludy z Nordheimu i Cymmeryjczyków, zniszczyli miasta, wycięli jeńców niezdolnych do długiej wędrówki i pędząc przed sobą tysiące niewolników ruszyli z powrotem ku tajemniczemu Wschodowi, obchodząc północny kraniec Vilayet; tak to zniknęli z historii Zachodu do czasu, gdy - tysiące lat później - znów nadciągnęli ze wschodu, tym razem już jako Hunowie, Tatarzy, Mongołowie i Turcy. Teraz towarzyszyły im w odwrocie nieprzeliczone rzesze Zingaryjczyków i Zamoryjczyków, którzy, osiedliwszy się razem daleko na wschodzie, utworzyli mieszaną rasę i stali się znani w następnych epokach jako Cyganie.

W tym samym czasie szczerp vanirskich awanturników przemierzył piktyjskie wybrzeże z północy na południe i spustoszywszy starożytną Zingarę wszedł w granice Stygii; kraj ten chwiał się pod uderzeniami czarnoskórych ludów południowych, a jego naród uciskany był przez arystokratyczną klasę panującą. Rudowłosi Vanierowie poprowadzili niewolników do powszechnego powstania i obaliwszy kastę rządzącą, jako zdobywcy królestwa zagarnęli władzę; z czasem podporządkowali sobie wysunięte na północ czarne królestwa i zbudowali wielkie, południowe imperium, które nazwali Egiptem. Od owych rudowłosych zdobywców wywiedli swój ród pierwsi faraonowie.

Zachód zdominowali podówczas nordyccy barbarzyńcy. Piktowie nadal trzymali Aquilonie, część Zingary i zachodnie wybrzeże kontynentu, ale na wschód od Vilayet i od Kręgu Polarnego aż po Shem jedynymi mieszkańcami byli Nordycy; wyjątek stanowili Cymmeryjczycy, którzy osiedli w dawnych granicach królestwa Turan.

Poza Stygią i Krainą Shem nigdzie nie było miast - napływające po sobie fale Piktów, Hyrkańczyków, Cymmeryjczyków i Nordyków obróciły je w perzynę; dominujący niegdyś Hyboryjczycy znikli z powierzchni ziemi, pozostawiając jeno ślady swej krwi w żyłach swych pogromców.

Zaledwie kilka nazw krain, plemion czy miast zachowało się w narzeczach barbarzyńców, by trwać poprzez wieki w coraz bardziej zniekształconych podaniach i legendach, aż cała historia Ery Hyboryjskiej zaginęła pośród mglistych mitów i bajek. Tak właśnie w języku Cyganów przetrwały nazwy Zingara i Zamora; Aesirowie, którzy zdominowali Nemedię i przewalali się Nemedianami, pojawili się później w historii Irlandii, zaś Nordycy osiedli w Brythunii byli znani jako Brythuńczycy, Brytonowie lub Brytyjczycy.

W owym czasie nie istniało nic na kształt okrzepłego imperium nordyckiego; jak dawniej, każde z plemion miało swego wodza czy króla; walczyły one pomiędzy sobą zajadle.

Co mogło być ich przeznaczeniem, nigdy się nie dowiemy, gdyż następny okropny spazm skorupy ziemskiej, kształtując lądy takimi, jakimi je znamy obecnie, raz jeszcze pograżył wszystko w chaosie. Olbrzymie połacie zachodniego wybrzeża zatoneły; Vanaheim i zachodnia część Asgardu - bezludne i pozostające od stuleci lodowymi pustyniami - także skryły się pod falami. Ocean rozlał się wokół gór zachodniej Cimmerii, tworząc Morze Północne; góry owe stały się wyspami, znanymi później jako Anglia, Szkocja i Irlandia; piktyjską puszcę i Pogranicze Bossońskie na zawsze pochłonęły morskie fale.

Na północy powstało Morze Bałtyckie, rozcinając Asgard na półwyspy, znane później jako Norwegia, Szwecja i Dania zaś na dalekim południu kontynent stygijski oderwał się od reszty świata wzdłuż linii utworzonej w jego zachodniej części przez rzekę Styx, zwaną także Nilem. Nad Argos, zachodnim Koth i zachodnimi ziemiami Shem rozlał się błękitny ocean, zwany później Morzem Śródziemnym. Ale gdy w jednych miejscach całe krainy zatoneły, rozległy ląd wynurzył się spośród fal w zachodniej części Stygii, tworząc zachodnią część kontynentu zwanego Afryką.

Zderzenia lądów spowodowały wypiętrzenie się wielkich pasm górskich w środkowej części kontynentu północnego. Całe plemiona Nordyków zostały zmiecione z powierzchni ziemi, te zaś, które ocalały, wycofały się na wschód. Terytoria wokół wysychającego powoli śródlądowego Morza

Vilayet nie ucierpiały zbyt, i tam właśnie, na zachodnich wybrzeżach, osiadły nordyckie plemiona, by wieść rolniczy żywot we względnym pokoju z Cymmeryjczykami, z którymi z czasem się przemieszały.

Na zachodzie niedobitki Piktów, raz jeszcze cofniętych przez kataklizm do poziomu dzikusów z epoki kamiennej, ze zwykłą dla swej rasy zaciekłością rozpoczęły zdobywać okoliczne ziemie, dopóki nie odrzuciły ich prace na zachód plemiona Cymmeryjczyków i Nordyków. Działo się to na długo po przełamaniu się kontynentu i naonczas istniały już tylko mgliste legendy o wcześniejszych imperiach. Wspomniane powyżej wędrówki ludów rozpoczęły się w czasach obejmowanych zasięgiem przez współczesną historię i nie ma potrzeby opisywać ich tu dokładnie; spowodował je wzrost populacji ludów stepowych, koczujących na zachód od śródładowego morza - morza znanego znacznie później, gdy już się zmniejszyło, jako Kaspijskie. Przyrost ludności stepowej osiągnął takie rozmiary, że migracja stała się koniecznością ekonomiczną; koczownicze plemiona ruszyły tedy na północ, południe i zachód, ku krainom znanym obecnie jako Azja Mniejsza, Indie, środkowa i zachodnia Europa. Wędrujące ludy przybyły do owych krain jako Aryjczycy, ale pomiędzy prymitywnymi plemionami aryjskimi istniały różnice, z których część zachowała się po dziś dzień, inne zaś odeszły w zapomnienie. Na przykład jasnowłosi Achajowie, Galowie i Brytonowie wywodzili się z Aesirów czystej krwi; Nemedianie z irlandzkich legend byli Aesirami nemedyjskimi, Danowie wzięli początek od rodowitych Vanirów, zaś Goci - przodkowie innych skandynawskich i germańskich plemion, w tym i Anglosasów - pochodzili od mieszanej rasy, w której żyłach płynęła krew Vanirów, Aesirów i Cymmeryjczyków. Celtowie - przodkowie Irlandczyków i szkockich górali - wzięli początek od rdzennie cymmeryjskich klanów, zaś walijskie plemiona Wysp Brytyjskich były mieszaną rasą cymmeryjsko-nordycką, która poprzedziła na Wyspach rdzennych Nordyków, dając tym samym asumpt do legend o starożytniejszym rodowodzie Gaelitów; z tej samej krwi wywodzili się Cymbrowie walczący z Rzymem, podobnie jak i Gimmerowie wśród Asyryjczyków i Greków oraz Gomerowie u Hebrajczyków. Inne cymmeryjskie klany powędrowały na wschód od wysychającego śródładowego morza, a w kilka stuleci później, po zmieszaniu się z Hyrkańczykami, powróciły na zachód jako Scytowie.

Autentyczni przodkowie Gaelitów - Celtowie, zwani też Cymrami - dali imię nowożytnemu Krymowi.

Starożytni Sumeryjczycy nie byli spokrewnieni z plemionami Zachodu - w ich żyłach płynęła hyrkańska i shemicka krew, stanowiąca dziedzictwo po najeźdźcach, którzy, ustępując, nie zabrali ze sobą wszystkich ogarniętych plemion; wiele shemickich szczepów uniknęło niewoli i z ich krwi - czystej lub zmieszanej z hyboryjską czy nordycką - wywodzą się Arabowie, Izraelici i inni typowi Semici. Kannanejczycy i zamieszkujący górskie rejony Semici pochodzili od shemickich przodków, spokrewnionych z Kushytami, osadzonymi pośród nich przez ich hyrkańskich panów; typową rasą tego rodzaju byli Elamici.

Przodkowie Rzymian, Etruskowie - krępi, o masywnych członkach - wywodzili się od ludu o mieszanej krwi stygijskiej, hyrkańskiej i piktyjskiej, i pierwotnie zamieszkiwali starożytne królestwo Koth.

Hyrkańczycy, wycofując się ku wschodnim wybrzeżom kontynentu, przekształcili się w plemiona znane później jako Tatarzy, Hunowie, Mongołowie i Turcy.

Podobnym sposobem można by wywieść pochodzenie innych ras nowożytnego świata; prawie w każdym wypadku ich historia jest daleko starsza, niżli to podejrzewają, jako że rozciąga się wstecz aż po zapomnianą i okrytą mgłą tajemnicy Erę Hyboryjską.

POSŁOWIE: REH

Świadom już fizycznych przymiotów Conana, mógłby się czytelnik spodziewać, że jego twórca i - nie da się ukryć - admirator był niedużym, chudym i łysiejącym człowieczkiem, przelewającym na papier swe sny o cielesnej potędze. Nic z tych rzeczy. Jeśli nawet nie był Robert Ervin Howard górą mięśni nadnaturalnych rozmiarów, jak skłonni jesteśmy wyobrazić sobie potężnego Cymmeryjczyka, to przecież nie musiał się wstydzić swej metr dziewięćdziesiąt mierzącej i przeszło dziewięćdziesiąt kilogramów ważącej postaci. Uprawiał boks, jazdę konną i rugby, był gwałtownego charakteru i łatwo się poddawał napadom melancholii, bliskiej - czy nawet tożsamej - nierównowadze psychicznej.

Dwa czynniki złożyły się na fakt, że taką właśnie, o nieulekłych osiłkach przybranych w rozmaite kostiumy, a nie inną uprawiał literaturę. Łaknął podobnych opowiadań rozkwitający rynek popularnych magazynów - to po pierwsze. A po drugie, żył w duszy Roberta Erwina Howarda mit burzliwego teksaskiego pogranicza i ożywiał fascynację wszelkimi czasami zamętu, którym najpewniej sprostają mężczyźni o sokolim wzroku, stalowych nerwach i mięśniach. Nie starczyło Howardowi krótkiego żywota, by z tej chłopięcości wyrosnąć.

„Moi przodkowie - pisał z dumą w liście do Wilfreda B. Talmana - byli wśród pierwszych amerykańskich osadników i po jakichś stu latach spędzonych w Georgii i obu Karolinach poczęli dryfować na Zachód. Wojna domowa zaskoczyła Howardów w Arkansas, a Erwinów w Missisipi i obie rodziny zrujnowała finansowo. Erwinowie wylądowali w Teksasie w 1866, Howardowie w 1885. Obie linie były niespokojnego usposobienia i jacyś moi przodkowie brali udział w każdym podboju i kolonizacji od czasów rewolucji - wojnie 1812, gorączce złota w 1849, wojnie domowej, zasiedlaniu Teksasu, powstaniu Apaczów w Nowym Meksyku, osadnictwie na Terytorium Indian i tak dalej.”

Howard urodził się w niewielkim miasteczku Peaster, ongiś centrum handlu bydłem, w 1906 i zawsze w podobnych miejscowościach mieszkał. Nie odebrał osobiście starannego wykształcenia i prace, których miał się, nim ostatecznie poświęcił cały swój czas pisaniu, były z owej najmniej efektywnej, biurokratyczno-handlowej odmiany. A zaczął pisać w wieku piętnastu lat i wnet potem dokonał swych pierwszych „sprzedaży”, jak określa się w Stanach Zjednoczonych fakt znalezienia wydawcy, chętnego wyasygnować za tekst pewną sumę pieniędzy. Owym wydawcą był w wypadku Howarda. Farnsworth Wright, magazynem - *Weird Tales*, pierwszym zaś wydrukowanym tam opowiadaniem - „*Spear and Fang*”. Niebywale płodny Howard spróbował swego pióra w niemal każdej formule literatury przygodowej - od opowiadań historycznych, przez westerny (te bodaj udawały mu się najlepiej), rozmaite odmiany kryminałów, rzeczy pirackie i podróżnicze (włącznie z ową osobliwą mutacją zwaną *spicy adventure* - „pieprzna przygoda”), historyjki bokserskie i sportowe po wszechmożliwe fantazje. Sprzedawał do wielu magazynów - *Argosy*, *Action Stories*, *Fight Stories*, *Sport Stories*, *Ghost Stories*, ale najpoważniejszym odbiorcą pozostawały *Weird Tales*

i one też, a zarazem proponowany im rodzaj tekstów, przyniosły Howardowi sławę.

Opowieści fantastyczne, inspirowane rozmaicie - przez Burroughsa, C.A. Smitha, Lovecrafta, pisywał REH niemal od początku kariery i wcześniej czy później ingrediencje grozy, magii, niezwykłości musiały przeniknąć do umiłowanego przez twórcę Conana świata męskiej przygody i stworzyć jakość tylko jemu właściwą. Stało się to po części z chwilą „wynalezienia” przez Howarda Solomona Kane’a, surowego, twardego jak kamień podróżnika, co wędrując po Afryce, spotyka tajemnice, z którymi rozprawiać się musi czasem praktyczny jego umysł, czasem - niechybna klinga rapiera. Były to opowieści bardzo Haggardowskie w aurze i jeszcze stawiały ograniczenia, jakich wyobraźnia Howarda nie chciała tolerować. Przekroczył rok później (1929) empiryczny, w większym czy mniejszym stopniu, świat Kane’a przerodził się w zupełnie imaginacyjny, umeblowany wedle doświadczeń Clarka Ashtona Smitha (z którym REH korespondencyjnie się zaprzyjaźnił) świat Ery Hyboryjskiej, czy raczej tego, co później nazwał twórca Erą Hyboryjską. Umiejscowiony w fikcyjnej prehistorii Ziemi, pełen potężnych władztw i krain niezbadanych, rycerzy i dzikich wojowników, mędrców i magów, koszmarów z jeszcze zamierchlejszej przeszłości, co trwają tu i ówdzie, i wciąż grożą, uprawniał już przeżycie przez bohaterów każdej przygody. A bohaterem pierwszoplanowym uczynił Howard Kulla, mocarnego barbarzyńcę, który krzepą, odwagą i nieustępliwością wywindował się na tron najpotężniejszego z „ówczesnych” królestw, Valusii, i dźwizy go wbrew ludzkim i nieludzkim złym mocom. Opowiadania o Kullu, choć zręczne w konstrukcji i pełne rozmaitych atrakcji, nie zyskały aprobaty Wrighta, przeto Howard, dokonawszy pewnych zabiegów korekcyjnych - przede wszystkim w czymś, co można by nazwać psychologicznym rysopisem bohatera - zaproponował światu Conana.

W 1932 roku opublikował opowiadanie „Feniks na mieczu”, będące nie czym innym, jak przeróbką „By This Axe I Rule” z cyklu przygód Kulla. Sam Howard w narodzinach Conana dostrzegał tchnienie metafizyczne: „Choć nie posuwam się tak daleko - pisał w liście do Clarka Ashtona Smitha - by zakładać, że opowiadania inspirowane bywają przez rzeczywiście istniejące duchy albo moce (gdy z drugiej strony przeciwny jestem automatycznemu odrzucaniu podobnych faktów), to przecież zastanawiam się czasem, czy nie zachodzi możliwość, aby niepojęte siły z przeszłości albo teraźniejszości - lub nawet przyszłości - manifestowały się w myślach i działaniach ludzi żyjących. Dotarło to do mnie szczególnie wtedy, gdy pisałem pierwsze opowiadania z cyklu Conana. Wiem, że przez wiele miesięcy byłem absolutnie wyprany z pomysłów, kompletnie niezdolny, by stworzyć coś nadającego się do sprzedaży. A potem ten człowiek, Conan, zaczął jakby rosnąć w mojej duszy bez najmniejszego wysiłku z mej strony i strumień opowiadań jął spływać z pióra - czy raczej maszyny do pisania - również bez trudu. Wydawało się, że nie tworzę, a raczej relacjonuję wydarzenia, które miały miejsce.”

Nawiasem mówiąc, metempsychiczne przeczucia Howarda przechodziły czasem i do konstrukcji jego opowieści - tak ma się rzecz z nowelą Dolina grozy (wydanie polskie w osobnym zeszycie, Olsztyn 1987), umieszczoną potem w tomie Wolfshead (1968).

Na ów „strumień” złożyło się ostatecznie osiemnaście skończonych i kilka szkicowych lub niepełnych tekstów, w tym jedna pełnowymiarowa powieść, zamykająca cykl, w oryginalnej wersji magazynowej pt. The Hour of the Dragon (Weird Tales 1935; pierwsze wydanie książkowe 1977), znana jako Conan the Congueror, 1950, w opracowaniu L. Sprague de Campa).

Conan, w przeciwieństwie do Kulla, chwycił, i popularność Cymmeryjczyka w ciągu całego jego półwiecznego bytowania wskazuje tendencje rosnące: najpierw *Weird Tales* opublikowały prawie wszystkie (siedemnaście) utwory oryginalnego cyklu. Potem L. Sprague de Camp i Lin Carter „zredagowali” (trudno, nie dysponując autentycznymi zapiskami Howarda, ocenić zakres tego zabiegu) i uzupełnili rzeczy szkicowe, a wreszcie - gdy rynek wciąż domagał się opowieści nowych - poczęli tworzyć pastisze rozbudowujące biografię barbarzyńcy we wszystkich, nikle choćby przez jego twórcę zasugerowanych kierunkach. Od poczynań skromnych - które między opowiadaniem moglibyśmy nazwać - przeszli do zupełnie oryginalnej twórczości „na motywach”, nie unikając również pełnych powieści. W dziele tym niedługo pozostawali osamotnieni: dziś żywot Conana opisany jest w ponad trzydziestu tomach, a wśród autorów - prócz wspomnianej pary - są Poul Andersen, Leonard Carpenter, Björn Nyberg, Robert Jordan, Andrew Offut i Karl Edward Wagner. Ma barbarzyńca z Cimmerii poświęcony sobie i nader poważny fanzin *Amra*, ma biograficznych szperaczy i rozpoczyna karierę filmową, w której użycza mu kształtu Arnold Schwarzenegger, eks-mistrz świata w kulturystyce.

Źródła popularności Conana są chyba dwa - poza tym, które złośliwie i trafnie wytknęła Jessica Amanda Salmonson (mówiąc o heroic fantasy jako fantazji eskapistycznej dla mniej dojrzałych aspektów męskiego „ja”): pierwsze zdradził Howard, uzasadniając swą preferencję dla muskularnych, nieskomplikowanych osiłków. „Są prości. Pakujesz ich w tarapaty i nikt się nie spodziewa, że będziesz sobie długo łamać głowę nad wymyśleniem sprytnego sposobu, którym będą mogli się wywikłać. Są za głupi, żeby robić coś innego niż ciąć, strzelać i walić i tym sposobem wyrwać się z opałów.” Ta drastyczna symplifikacja dotyczy ogromnej części całej literatury przygodowej, która przecież żeruje na powszechnych tęsknotach do świata klarownie jasnych wartości i niebywale prostych rozstrzygnięć: w końcu każdej fabuły awanturniczej, jakkolwiek powikłanej i wielowątkowej, następuje ów decydujący cios miecza, strzał z pistoletu czy uderzenie pięści - i znów harmonia zostaje przywrócona. Howard nie chciał, czy może nie potrafił zakłamać tego mechanizmu, który jego historie o Conanie transmitują w postaci wręcz dziewiczej i, okazuje się, słusznie uczynił.

Źródło drugie to kreacja samego bohatera: w prostocie swej nad wszelki podziw konsekwentnego, w prymitywizmie niegłupiego i - jednak! - nie wyciętego z papieru w całej panoramie reprezentowanych przez się cech. „Jest - pisał o Conanie jego twórca - kombinacją kilku ludzi, których znałem, i myślę, że to dlatego wkroczył w mą świadomość w pełni ukształcony, kiedy zacząłem pisać pierwsze kawałki cyklu. Jakies mechanizmy mojej poświadczonej uchwyciły dominujące cechy rozmaitych bokserów, rewolwerowców, przemytników, bandziorów z pól roponośnych, graczy, przyzwoitych robotników, na których się w życiu natknąłem, i przemieszawszy je, stworzyły ów amalgamat zwany przeze mnie Conanem z Cimmerii.”

Niebywała popularność Conana dobrze posłużyła i innym Howardowym bohaterom - Kane'owi, Bran Mak Mornowi, królowi piktyjskiemu, i awanturnikowi z czasów upadku cesarstwa rzymskiego, Cormacowi MacArtowi, którzy również, oderwani od twórcy, wiodą samodzielny żywot pod piórami naśladowców. Znaczny jest popyt na wszystkie pozostałe fantazje Howarda, te pisane w duchu Lovecrafta, C.A. Smitha, Merritta, wydawane obecnie tak w samodzielnych (*Skullface* 1946, 1978) jak i cyklicznych (*The Howard Collector*) edycjach. Ba, oszukuje się czytelników łasych na „nowo odkryte utwory” autora Conana różnymi sposobami - wystarczy umieszczenie w tomie

jednego z Howardowych wierszy (pisał ich sporo), by jego nazwisko największymi literami zdobiło okładkę. Operuje się sprytną frazeologią i aluzyjną grafiką, by przekonać nabywcę, że książka nie co innego zawiera niż fantazje i tak zajawka na okładce tomu *The Vultures of Whapeton* poucza, że: „Jest magia, co zmienia ludzi w szakale, wilki i sępy... Starsza niż człowiek, starożytniejsza nawet niż przesławni bohaterowie, Kull i Conan. Tchnąc z samego serca ziemi, zmusza ludzi do czynów niewyobrażalnych... Wkroczyć - jeśli się ośmielisz - do fantastycznego świata Roberta E. Howarda, by poznać przerażającą tajemnicę jego magicznej siły!” Tom zawiera natomiast westerny, jeden z nich o bandziorach znanych jako Sępy. Magia zaś, nietrudno się domyślić, co zmienia ludzi w szakale, to konwencjonalna żądza mamony.

Robert E. Howard, zwany przez wielbicieli krótko REH, zakosztował za życia tylko tej namiastki popularności, która bywała udziałem pisarzy magazynowych - zachwyty w liście fana, aprobującej oceny kolegów po piórze, względnie regularnych czeków od wydawcy. Chorobliwie przywiązany do matki, nie mogąc pogodzić się z myślą o jej nieuchronnej śmierci, zmarł samobójczo w wieku trzydziestu zaledwie lat 11 czerwca 1936 roku, ćwierć wieku przed wielkim boorem fantasy, której to popularniejszego nurtu postacią sztandarową jest bez wątpienia Conan z Cimmerii.

SPIS TREŚCI

Czerwone ćwieki

Za Czarną Rzeką

Szkarłatna Cytadela

Era Hyboryjska CZĘŚĆ II

Posłowie: REH